

Neurotyczny detektyw, zbrodnia, seks i tajemnica...

Mariusz Zielke

# Asyryjczyki

Groteskowy thriller z potężną dawką czarnego humoru



db  
qp  
PRINCIPIUM

lesiojot

Mariusz Zielke

ASURITO SATGISHI



PRINCIPIUM

## 1.

Ojciec tęsknie spogląda w okno w poszukiwaniu starych czasów. Mawia: synu, może komuna nie była najlepsza, ale spójrz tylko, co teraz się dzieje. Z każdym dniem więcej ludzi narzeka. Na szczęście coraz częściej doskwierają mu korzonki, zmuszając do skupienia uwagi na własnych czterech literach. W szpitalu dają mu zastrzyki, po których ból mija i znów mógłby ponarzekać, gdyby nie wspomnienie apetycznego tyłka siostry Anny, którego widok umiła pacjentom czas czekania na zabieg.

Gdy go odwiedzam, słyszę, jak błąka się nocami, nie mogąc znaleźć miejsca. Czasem przychodzi do mojego pokoju. Mam wrażenie, że chce mnie pogłaskać po głowie, lecz cofa rękę. Przysiada ciężko przy łóżku i mówi szeptem:

– Bardzo mi jej brakuje, wiesz? W naszej rodzinie zawsze najpierw umierali mężczyźni. Żony chowały mężów, a nie odwrotnie. To niesprawiedliwe.

Od śmierci matki minęło dziesięć lat, ale w takich chwilach i mnie chce się płakać. Biorę go w ramiona i ryczę jak bóbr. A potem opowiadam, co mi się przytrafiło.

Mimo to nadal uważa mnie za skończonego drania.

Trudno powiedzieć, od czego się zaczęło. Jeśli wszystko ma początek, to może w mojej opowieści było nim pierwsze zlecenie w sprawie kryminalnej, jakie przyjęliśmy. Choć patrząc dalej, początkiem mogła być rozmowa z pewnym psychiatrą o nadprzyrodzonych umiejętnościach. Ale w końcu wynikła ona z ucieczki z egipskiego kurortu...

W Szarm el-Szejk zamierzałem spędzić tydzień. Przyleciałem w środę wieczorem, a w nocy z piątku na sobotę egipska komórka Al-Kaidy wysadziła w powietrze hotel i bazar.

Nikt się tego nie spodziewał. Nie dalej jak dwa tygodnie wcześniej terroryści dwukrotnie zaatakowali londyńskie metro, w powszechnej opinii świata wyczerpując limit spektaku-

larnych ataków na co najmniej pół roku. Cały świat się mylił. Bomba umieszczona w ciężarówce wybuchła niespełna sto metrów od mojego hotelu, zabijając pięćdziesiąt trzy osoby. Fala uderzeniowa przewróciła mnie na balkonie, gdy wyszedłem zobaczyć, co się dzieje.

To był drugi ładunek. Pierwszy, który pozbawił życia jakieś trzydzieści osób kilometr dalej, ledwie słyszeliśmy. Stłumiony odgłos i świst przypominał sztuczne ognie.

Minutę przed drugim wybuchem jakiś pijany Angol rechotał gardłowo na ulicy, wskazując swojej dziewczynie miejsce eksplozji, skąd w ciemności unosił się słup czarnego dymu. Pokrzykiwał do przechodniów, a kiedy zobaczył mnie na balkonie, pomachał ręką i krzyknął:

– Egipskie fajerwerki. Cool.

Gromadka Japończyków, którzy za miesiąc mieli świętować rocznicę zrzucenia bomby atomowej na Hiroszimę, pstrykała z ożywieniem fotki. Flesze błyskały jak na pokazie mody. Po powrocie do Warszawy jedno ze zrobionych przez nich zdjęć miałem zobaczyć na okładce zachodniego tygodnika – angielski turysta machający do aparatu na tle odległego słupa dymu. Podpis:

*„John Fitzpatrick Bacon, za chwilę zginie od wybuchu drugiej bomby”*

Zanim ścięło mnie z nóg, zobaczyłem, jak całkiem oniemiały John Fitzpatrick Bacon podrywa się do lotu. Jakiś rozgniewany niewidzialny potwór uniósł jego ciało niczym pustą reklamówkę na pięć metrów w górę i rzucił o ścianę. O dziwo, jego dziewczyna, a także gromadka Japończyków, zostali na miejscach. Wstrząs poprzewracał ich, tak jak mnie, ale poza drobnymi okaleczeniami nikomu nic się nie stało. Jakby bomba miała wbudowany jakiś inteligentny szperacz do wybierania z tłumu najlepiej widzianych ofiar. A może zabierała ze sobą tylko wysokich, uśmiechniętych Anglosasów? Gniew Boga!

Kiedy wybiegłem na korytarz, była tam już cała masa gości hotelowych. Nawet ukraińska cycata piękność przestała dokazywać ze smagłym habibi, które to zajęcie całkowicie

zajmowało ich przez trzy ostatnie noce. Półnagi chłopak chciał otoczyć kobietę ramieniem, ale ona strzepnęła je z siebie, jakby było trędowate.

Potrącił mnie Arab w czarnej koszuli, który za paskiem miał kaburę z rewolwerem. Przedzierał się przez korytarz, krzycząc, żebyśmy biegli na plażę.

– Jak pan myśli, panie kolego, Izrael zaatakował? – zażartował gruby, spocony jegomość z trywialnym uśmiechem wymalowanym na ospowatych polikach.

– To bomby – szturchnęła go w bok drobna kobiecina w okularach jak denka od szklanek, która prawdopodobnie miała nieszczęście być jego żoną.

– Ale kto wie, czy nie izraelskie?! Na plaży zebrał się całkiem pokaźny tłum. W powietrzu wciąż unosiła się otoczona fetorem siarki mieszanka pyłu i śmieci. Arabowie padli na kolana i składali pokłony Allachowi. Pragmatyczni Europejczycy nie tracili czasu na modlitwy. Próbowali dodzwonić się do ambasad, rodzin i zachodnich stacji telewizyjnych. Grubas wyciągnął telefon.

– Zaraz będziemy wiedzieli, o co chodzi. Napiszę do kumpla esemesa. Przepowiada pogodę w telewizji – powiedział.

Czym prędzej wmieszałem się w tłum. Z oddali pomachał do mnie wysoki, chudy Murzyn. Każdego ranka na plaży namawiał do darmowego próbnego nurkowania i rozdawał skrety ze słabą egipską trawą, za co wedle miejscowego prawa groziło mu obcięcie dłoni, a kto wie, czy nie czegoś więcej.

Sudańczyk o imieniu Tahib.

Biegł teraz po plaży i uspokajał zdeorientowanych turystów.

– Nic się nie bój, my friend – zawołał. – To tylko wybuchły butle w bazie nurkowej.

Krzyczał na cały głos, żeby wszyscy słyszeli, a potem nachylił się do mnie i szepnął, że to kara Boga. Tak samo jak rok temu, gdy do morza spadł samolot, którego pasażerów potem powyjadały rekiny. Tak zasmakowały w ludzkim mięsie, że zdarzały się ataki na plażowiczów. Ale cicho – o tym nikt nie wie.

Sudańczyk przycisnął palec do ust i mrugnął okiem, częstując

mnie wypalonym do połowy skrętem.

Rano wszystko było jasne. Dwie bomby, osiemdziesięciu zabitych, dwustu rannych. Przez megafony apelowano do lekarzy-turystów, żeby zgłaszali się do pomocy. Cała ekipa rodzimych łapiduchów bawiła w Kairze na meczu piłki nożnej. Egipt wygrał trzy zero.

Ekipy telewizyjne kręciły ujęcia zburzonych budynków i stojących na rogatek czołgów. Żołnierze w czarnych mundurach z odbezpieczonymi kałasznikowami w dłoniach z powagą pozowali do zdjęć, nawet nie drapiąc się po tyłkach, jak to mieli w zwyczaju. Przedzieraliśmy się przez czterdziestostopniowy upał i wałącą na lotnisko masę uciekinierów. Beduiński taksówkarz nie włączył muzyki. Nie wiedziałem jeszcze, że to jego bracia spowodowali wybuchy. Dopiero w kraju doszły do mnie wieści o spacyfikowanych wioskach nomadów na obrzeżach Szarm. Zemsta Mubaraka była krwawa i bezlitosna.

Taksiarz skasował dziesięć dolców i natychmiast zaproponował wymienienie ich na moje okulary przeciwsłoneczne. Uśmiech żółtych zębów świadczył, że był bardzo zadowolony z transakcji.

Trafiłem do samolotu holenderskich linii. Kilkanaście godzin później w Amsterdamie miałem przesiąść się na lot do Warszawy.

W samolocie wszystkie miejsca były zajęte. Głównie Holendrzy, ale zdarzali się również Szwajcarzy, Francuzi i Niemcy. No i ja. Jeden Polak. Lepiej było się do tego nie przyznawać.

Na szczęście gość, który usiadł przy mnie, wskazał na ucho i powiedział, że przy wybuchu popękały mu bębenki, więc nie będzie w stanie ze mną konwersować. Skinąłem, że rozumiem.

Przez pięć godzin lotu nie opuszczało mnie uczucie, że znajduję się pod czyjąś obserwacją. Ukradkiem zerkałem na sąsiadów, ale nie dostrzegłem niczego niepokojącego. Dwa razy przeszedłem do toalety, obserwując twarze współpasażerów. W końcu uspokoiłem się. Uznałem, że musiało mi się wydawać. Może po takim zdarzeniu, każdy ma uczucie, że jest

obserwowany.

Ale nie wydawało mi się.

Herman Bols podszedł do mnie w poczekalni amsterdamskiego lotniska Schiphol. Miał na sobie opiętą na brzuchu koszulkę polo i jasne spodnie. Był misiowatym facetem z brodą, w typie Petera Ustinova. Równie dobrze mógł być seryjnym mordercą jak dobrodusznym Świętym Mikołajem.

– Zimno po tym cholernym upale – zagadnął, siadając obok, a ponieważ nie odpowiedziałem, dodał: – Przepraszam, lecieliśmy jednym samolotem, a widzę, że pan też podróżuje samotnie. Nazywam się Herman Bols.

Podąłem mu niechętnie dłoń.

– Proszę się nie obawiać. Nie jestem typem rzepa, który jak się uczepli, to nie można go oderwać. Nie zamierzam zatruwać panu dnia, ale uznałem, że powinniśmy porozmawiać. To zajmie tylko chwilę.

– O co chodzi? – zapytałem szorstko.

– Jestem psychiatrą, obserwowałem pana w samolocie. – Sięgnął do koszulki i wyjął wizytówkę.

– Miałem takie wrażenie. Ale nie widziałem pana.

– Cały lot siedziałem w kabinie pilotów. Jeden z nich był na bazarze w momencie wybuchu. Sąsiada rozerwało na cząstki. Pilot był cały we krwi i strzępkach ciała tamtego. Ale nic mu się nie stało. Poproszono mnie, żebym z nim porozmawiał i pilnował podczas lotu, żeby nagle coś mu nie strzeliło do głowy pod wpływem spóźnionego szoku. Jakby to czemuś mogło zapobiec.

– Skoro siedział pan w kabinie pilotów, jak pan mógł mnie obserwować?

Bols wzruszył ramionami i chrząknął.

– Mówiłem, że jestem psychiatrą... Ale nie wariatem – dodał szybko Bols. – Tłumaczenie pewnych tajników mojego zawodu i wyuczonych umiejętności byłoby bezcelowe, bo i tak mi pan nie uwierzy. Powiem tylko, że siedział pan w trzecim rzędzie obok człowieka, któremu popękały bębenki. Prawda?

Skinąłem głową, ale mnie to nie przekonało. Przecież takie informacje mógł wyczytać w karcie pokładowej. Czy jednak

była tam informacja o popękanych bębenkach? Poza tym to uczucie.

– Proszę nie starać się podważać tego, co mówię, bo to do niczego nie doprowadzi. Dwa razy przechodził pan do toalety, czytał książkę o Leonardzie da Vinci, a w trzeciej godzinie lotu próbował się zdrzemnąć. Bez powodzenia.

Mówił prawdę. Czy w samolocie była jakaś kamera?

– No dobra, wierzę, że mnie pan obserwował. Ale po co?

– Właśnie, to jest najciekawsze... – rzekł tajemniczo.

– Tak?

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia.

– Nie rozumiem. Herman Bols westchnął ciężko.

– Najgorsze w zawodzie psychiatry jest to, że ludzie traktują nas jak szarlatanów. Przyznaję, nie bez podstaw, bo ludzki umysł wciąż stanowi dla nas zagadkę. Chociaż znamy jego budowę anatomiczną, potrafimy ocenić, które receptory za co odpowiadają, gdzie zachodzą poszczególne procesy myślowe, to jednak stanowi to zaledwie ułamek procenta tego, co chcielibyśmy wiedzieć. W większości przypadków wiemy, gdzie leży problem, ale zupełnie nie mamy pojęcia, jak go leczyć. Terapia polega na metodzie prób i błędów i niestety rzadko kiedy przynosi oczekiwane skutki.

– Ja nie jestem chory. Zignorował moją odpowiedź.

– Ciężko mi o tym mówić, ale psychiatria jest wciąż na początku drogi. Leczenie psychotropami i elektrowstrząsami może wydawać się nawet efektywne, ale tak naprawdę jest tylko nieudolnym naśladownictwem innych, daleko bardziej rozwiniętych gałęzi medycyny. Bo my musimy nauczyć się leczyć dusze, a o duszy wiemy jeszcze mniej niż o umyśle.

A więc jednak wariat.

– Co to ma wspólnego ze mną? Przez następne pół godziny wykladał mi tajniki nowoczesnej psychiatrii i jej możliwości bądź niemożliwości.

– Ten przydługi wstęp poczyniłem tylko po to – zakończył – żeby panu wytłumaczyć, że nie jestem jednym z tych szarlatanów, którzy uważają, że potrafią wyleczyć chorego psychicznie człowieka. Właściwie uważam się za badacza.



– Wciąż nie powiedział mi pan, jaki problem dostrzegł u mnie?!

– Ależ powiedziałem. Powiedziałem panu, że nie mam pojęcia, dlaczego to akurat pana osoba przykuła moją uwagę. Może pan to nazwać szóstym zmysłem, parapsychologią, zwykłym przypadkiem, jak pan chce... Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że pan mi podpowie...

– Dość – syknąłem i wstałem z miejsca. – Mnie nic nie dolega!

– Jest pan pewien? – również wstał. – Proszę zostać, ja już idę. Proszę wziąć wizytówkę, żeby pan wiedział, do kogo się zwrócić, gdy już zrozumie swój problem. Pański przypadek może być dla mnie nad wyraz interesujący.

– To pan powinien się leczyć! – uciałem i ostentacyjnie wyrzuciłem jego wizytówkę do śmietnika.

– Pana wybór. Żegnam.

Patrzyłem, jak odchodzi w kierunku sali odlotów. Kiedy zniknął mi z oczu, wróciłem do czytania książki o Leonardzie. Po godzinie na tablicy pojawiła się informacja o moim samolocie.

Chwyciłem torbę, ale zanim ruszyłem w kierunku hali, nachyliłem się nad koszem i starając się nie zwracać niczyjej uwagi, wyciągnąłem wizytówkę Hermana Bolsa z kosza na śmieci.

Jakieś dziecko o nieokreślonej płci szarpnęło mamę za rękę i wskazało w moim kierunku. Nietrudno było zgadnąć, co ma na myśli.

– Patrz mamó, pan grzebie w śmietniku!

– Och, mówiłam ci, że trzeba szanować wszystkich ludzi. Nawet żebraków i śmieciarzy.

Mama zasłoniła dziecku oczy i uśmiechnęła się do mnie z obrzydzeniem.

\*

Brak portfela zauważyłem dopiero po przylocie. Straciłem jakieś trzysta euro. Na szczęście paszport i bilet oraz karty kredytowe miałem w podróźnej saszetce. A może to nie

szczęście, bo gdybym dostrzegł brak portfela na lotnisku, może mógłbym go jeszcze odzyskać.

Niewiarygodne, Herman Bols, doktor psychiatrii, Niemiec i Pan Świata okazał się złodziejem. Czyżby niewiarygodne? Niewiarygodne jest to, że ja okazałem się kretynem.

Przeszedłem przez odprawę celną i rozejrzałem się po poczekalni. Nie było tam Weroniki. Dałem sygnał, kiedy wracam, ale może jej coś wypadło. Może miała dyżur albo coś takiego.

Włączyłem telefon komórkowy. Pojawiła się koperta z wiadomościami. Powitanie z sieci, kilka reklam, w końcu Weronika: „Przepraszam, nie mogę po ciebie wyjść”.

Przeszedłem przed halę przylotów, zapaliłem papierosa i wyjąłem pomietą wizytówkę Hermana Bolsa z kieszeni. Numer wyglądał na komórkowy.

W słuchawce zaszemrało, a potem usłyszałem po niemiecku, że abonent jest w tym momencie nieosiągalny. A czego się spodziewałem? Wybrałem kolejny numer. Weronika nie odbierała. Następna na liście była Magda.

- Halo – usłyszałem jej zaspány głos.
- Cześć, tu Michał.
- Boże, wiesz, która godzina?
- Wróciłem z Szarmu.
- Skąd?
- Z Szarm el-Szejk. Przelknęła głośno ślinę.
- Zaraz, to nie tam były te zamachy?
- Zgadza się.
- Czemu nic nie powiedziałeś?

Wiedziała, że wyjeżdżam, ale jak zwykle nie powiedziałem jej, gdzie i po co.

- Nie chciałem cię martwić. – I nic ci się nie stało?
- Niestety.
- No tak. Po co dzwonisz?
- Chciałem prosić, żebyś kogoś sprawdziła.
- Nie mogło to poczekać do rana? Pewnie mogło.
- Nie bardzo, właśnie się zorientowałem, że zostałem okradziony.

Prychnęła rozbawiona.

– Wybacz, ale to zabawne. Nie spodziewałam się, że można okraść prywatnego detektywa.

Wywiadowcę gospodarczego – poprawiłem ją w myślach.

– A jednak.

Opowiedziałem jej w skrócie zdarzenie w Amsterdamie.

– Mówisz, że przedstawił się jako Bols? Herman Bols, psychiatra?

– Tak.

– Zdajesz sobie sprawę, że to prawdopodobnie fałszywe nazwisko?

– Niemniej sprawdź je. Chwilę milczała.

– Nie wkręcasz mnie?

– Madziu.

– Bo jeśli mnie wkręcasz, to wiesz co ci urwę?

– Marzę o tym.

Rozłączyłem się i ponownie wybrałem numer Weroniki. I tym razem nie odebrała. Wsiadłem do taksówki. Kierowca miał jakieś czterdzieści lat, włosy na brylantynę i niemiły zapach z paszczy.

Wścibski, ośliży typ.

Podąłem mu adres i przykleiłem się do telefonu, żeby zniechęcić do ewentualnej próby nawiązania rozmowy. Weronika wciąż nie odbierała. Wisiałem tak ze słuchawką dobre parę minut. Pewnie powinienem zamarkować rozmowę, bo taksówkarz uznał moje zachowania za warte komentarza.

– Żona?

Pokręciłem głową.

– Nie jestem żonaty. – A więc dziewczyna?

– Można tak powiedzieć.

– Nie odbiera?

A co cię to obchodzi? Mruknąłem coś, ale to go nie zniechęciło.

– Od razu widać, że dzwonisz pan do baby. – A niby skąd?

– Z oczu. Tego się nie da ukryć. Ja też byłbym zaniepokojony, gdybym wracał z daleka, a moja baba nie odbierałaby telefonu.

Spojrzałem na niego spode łba, myśląc, że jeszcze parę zdań,

a zrobię mu dobrze drażkiem zmiany biegów.

– Co ma pan na myśli?

– Od razu na myśli – rzucił taksiarz. – Ja tylko mówię, że babom ufać nie można. Wiem coś o tym. Moja co prawda chodzi jak zegarek, ale inne. Czego ja się panie w życiu nasłuchałem, to moje.

– Tak? – odłożyłem telefon, wyobrażając sobie, co zrobię z tą niewyparzoną gębą, jak staniemy na czerwonym.

– Miałem kiedyś kumpla, jeździł na taksówce. No i pewnego dnia ten kumpel postanowił zajrzeć do domu w środku dnia. No i co zastał? Żonę z fagasem. Na dodatek wielkim jak Gołota. Nie dość, że mu żonę zerznął, to jeszcze ten mój kumpel dostał wpierdol. Albo taki klient, rok temu. Wiozę go do domu, a on nagle zmienia zdanie i każe się wieźć w inne miejsce, mówi mi, żebym poczekał, schodzi po kwadransie i wtedy już rusza do domu. A następnego dnia się dowiaduję, że ten gość zarąbał swoją żonę, z którą był w separacji, i jej kochanka. Babom ufać nie można. A wie pan dlaczego?

– Dlaczego?

– Bo je swędzi.

– Co je swędzi?

– No... jak to co – wzruszył ramionami i już się zamknął.

Na szczęście dojechaliśmy bez czerwonego światła. O tej godzinie w Warszawie skrzyżowania świeciły się na żółto.

Wchodząc do domu, pomyślałem jeszcze, że może powinienem zajrzeć do Weroniki, ale machnąłem ręką.

Jak tylko przekroczyłem próg, poczułem, że coś jest nie tak. Zanim rozpatrzyłem wszystkie za i przeciw oraz oceniłem szanse dotarcia do sejfu, gdzie trzymałem broń, zobaczyłem ją.

Siedziała po ciemku na fotelu i miała na sobie tylko czarne figi oraz cieniutką jedwabną halkę. To się nazywało strój sexy.

– Zaskoczony?

## 2.

Ciało Weroniki dzieliło się na górę i dół. Góra była powszechnie akceptowana, żeby nie powiedzieć uwielbiana. Dół był doceniany przeze mnie oraz włoskich turystów. Weronika miała piękną buzię, której nie powstydziliby się gwiazda telewizyjna, zgrabne piersi, wąską talię oraz nieproporcjonalnie wielki tyłek. W mojej ocenie wielki tyłek stanowi zaletę, a nie powód do dąsów, ale ona nie potrafiła zaakceptować tej skazy swojej urody. Nazywała go kombajnem. Prawdę mówiąc, ja też tak go czasem nazywałem.

Weronika nauczyła mnie jednego: wszystkie ars amandi są głównie warte, bo tak naprawdę liczy się tylko porządne ostre rżnięcie. Całe to gadanie o grze wstępnej, pieszczotach, smarowaniu bitą śmietaną i głaskaniu piórkiem jest bez sensu, bo jak po tym nie ma ostrej jazdy, to taki seks jest do niczego. Po wszystkim nie oczekiwała żadnych czułości. Zapalała papierosa, uspokajała oddech, a potem odkręcała się na bok i miała wszystko w nosie.

Tej nocy szybko ruszyła do łazienki, wzięła prysznic, ubrała się, cmoknęła na pożegnanie i pobiegła do szpitala. – Mam dyżur. Prześpij się.

Po jej wyjściu wypilem cztery piwa, po których trzykrotnie sikałem. Miałem nieźle w czubie i spodziewałem się, że w nocy nawiedzą mnie pijackie koszmary, ale sen okazał się nadzwyczaj kojący i spokojny. Przechadzałem się po łące pełnej pasących się owieczek. W oddali siedział pasterz, który wyglądał jak Pan Bóg i machał do mnie ręką. Podszedłem do niego, ale rano już nie pamiętałem, o czym gadaliśmy.

W każdym razie obudziłem się wypoczęty. O ile nic mi się nie pokielbało, był poniedziałek, więc należało ruszyć tyłek i wziąć się do roboty. Przez chwilę kusiło mnie, żeby odsłonić żaluzje i zobaczyć, jaka jest pogoda, lecz zaraz skarciłem się za podobne myśli. Nigdy nie odsłaniałem żaluzji. Może to był zbytek ostrożności, ale kto wie, kiedy naprzeciwno zasiądzie

jakiś snajper. W końcu naraziłem się wielu dziwnym typom. Magda uważała, że popadałem w paranoję.

– Zasłonięte okna cię nie ochronią. Przecież jak będą chcieli cię zdjąć, to mogą to zrobić gdziekolwiek. A nawet jeśli wpadnie im do głowy załatwić cię w domu, to zamiast snajpera wynajmą gościa z wyrzutnią przeciwpancerną.

– Zawsze to więcej zachodu – odpierałem, zastanawiając się, czy nie wstawić szyb przeciwpancernych.

Lecz szyby przeciwpancerne były zbyt drogą rozrywką. Już i tak dużo zainwestowałem w ochronę tej dziupli. Skomplikowany system alarmowy złożony ze sznurków i puszek, podwójne drzwi antywłamaniowe, cztery zamki na pierwszych, trzy na drugich. Na klucze musiałem nosić specjalną saszetkę przy pasku. W okolicy mieli mnie chyba za jakiegoś filatelistę, który tak chroni klasery ze znaczkami. Wzbudzało to zaniepokojenie, bo wiadomo, że każdy filatelista to wariat. Uspokajał ich fakt, że nie miałem wielkiego obronnego psa.

W garażu sprawdziłem, czy nikt nie podczepił mi bomby pod podwoziem, po czym dla większego spokoju zajrzałem jeszcze pod maskę. Na szczęście, mimo postępującej miniaturyzacji, bomby wciąż musiały zachować swoje rozmiary, jeśli miały być skuteczne.

Najpierw pojechałem na pocztę, żeby sprawdzić skrytkę. Potem udałem się na kawę, kupiłem hamburgera rumuńskiemu dziecku, za co wysłuchałem steku niezrozumiałych wyzwisk od kobiety, która równie dobrze mogła być jego matką, prababką lub sąsiadką. Następnie przebiełem scyzorykiem wszystkie opony chryslerowi, który zaparkował na miejscu dla niepełnosprawnych.

Dwa dobre uczynki, limit dzienny wypełniony. Mogłem wziąć się do pracy.

Biuro S&M – Stawiński, Morgan i spółka, doradztwo podatkowe, ochrona mienia, usługi konsultingowe i detektywistyczne – znajdowało się na piętrze w budynku Biblioteki Uniwersyteckiej, najnowocześniejszego gmachu tego typu w Polsce. Biuro w takim miejscu kosztowało majątek,

jednak dzięki pewnym usługom świadczonym na rzecz uczelni i biblioteki, udało nam się uzyskać stosowny rabat. Biblioteka podnajmowała nam pomieszczenie w zamian za wysoki czynsz, ale jednocześnie zlecała usługi na zbliżoną kwotę, dzięki czemu – i wilk był syty, i owca cała. Rozliczaliśmy się bezgotówkowo.

Z całego biura najlepiej prezentowały się drzwi wejściowe. Specjalnie zdobione, przeszklone, dokładnie takie jak na filmach detektywistycznych z Humphrey’em Bogartem. Zostały sprowadzone ze Stanów, z firmy zajmującej się handlem rekwizytami filmowymi. Kosztowały majątek, ale się opłaciło. Jak tylko wymalowaliśmy szyld i zainstalowaliśmy je w biurze, szepnąłem o tym komu trzeba i wkrótce niemal wszystkie liczące się media poinformowały o pojawieniu się w kraju biura detektywistycznego z prawdziwego zdarzenia, które nawet drzwi ma takie jak na filmach. Doszło do tego, że telewizje zaczęły kręcić przed naszymi drzwiami specjalne wstawki do wiadomości o sprawach kryminalnych.

Mimo reklamy i czegoś, co można nazwać dobrą prasą, pewnie musielibyśmy się szybko pakować, gdyby nie odkrycie pewnej niszy, w której rozgościliśmy się niczym pozbawiona skrupułów teściowa. Zamiast ścigać zdradzających i zdradzanych, wzięliśmy się za wywiad gospodarczy, co w dobie raczkującego kapitalizmu okazało się strzałem w dziesiątkę.

Wszedłem bez pukania do środka i przywitałem się z Ivo.

– Cześć słodziutka.

– Cześć – mruknęła, nie kryjąc niechęci. – Jeszcze żyjesz?

– Nawet bomby się mnie nie imają – uśmiechnąłem się.

– Jak każdego gruboskórnego sukinsyna. Zasłoniłeś się jakimś małym dzieckiem?

Ivo zwykle była niemiała, ale tym razem wyczuwalny w głosie jad miał stężenie znacznie powyżej normy. Tylko jedna osoba na całym świecie potrafiła wprowadzić ją w taki wyższy stan świadomości.

– Dzwoniła Magda?

– Skąd wiesz? Na biurku masz notatkę. Mógłbyś powiedzieć tej suce, że nie jestem sekretarką?

Tak, Iwonka nie była zwykłą sekretarką. Jej problemem była

też uroda, a raczej jej brak. Wyglądała jak połączenie Martiny Kratochvilowej, znanej z nietuzinkowej facjaty czeskiej biegaczki, z niejaką Helgą Blum, najbrzydszą kapo z obozu koncentracyjnego, jaką zarejestrowano na zdjęciach.

Wielka, nieforemna, umięśniona jak facet. Dawniej odnosiła sukcesy na ringach bokserskich, ale kontuzja złamała jej szanse na tytuł mistrzowski, które bez wątpienia były całkiem spore. Jej prawy sierp potrafił zwalić z nóg stukilowego faceta. Wygrała siedemnaście pojedynków, wszystkie przed czasem, a tylko trzy przeciwniczki wytrzymały dłużej niż dwie rundy. Teraz walczyła od czasu do czasu w nielegalnych pojedynkach w klatkach. Z równym powodzeniem. Pojawiała się w moim biurze trzy lata temu, kiedy po zakończeniu przygody z hodowlą indyków, rozpocząłem karierę prywatnego detektywa.

Przeszedłem koło biurka Ivo i manekina Jamesa Masona ubranego w szary prochowiec i kapelusz. W moim pokoju stały dwa biurka. Na jednym panował artystyczny nieład, czyli bałagan jak cholera. Drugie, uporządkowane, profesjonalne – należało do Martina J. Morgana, mojego partnera i zagranicznego inwestora kapitałowego. Był obywatelem Cypru, który posiadał dziewięćdziesiąt procent udziałów w spółce S&M, zarejestrowanej na Antylach Holenderskich i mającej swoje odpowiedniki w kilku rajach podatkowych. Taka sieć powiązań pozwalała bez przeszkód i nadmiernego wścibstwa urzędów skarbowych transferować zyski tam, gdzie podatki były ludzkie. Wymyślił to Morgan.

Był prawnikiem i milionerem.

– Oczywiście do tego jest Żydem – dodawałem szeptem, gdy jakiś klient dopytywał się o szczegóły pochodzenia mojego partnera, który miał się zająć niezwykle delikatną sprawą podatkowych kłopotów owego klienta.

– To mnie pan uspokoił – na twarzy gościa odmalowywał się wyraz błogości.

Chociaż wszyscy nienawidzimy Żydów, to w sprawach fiskalnych można im przecież całkowicie zaufać.

W wypadku, gdy coś nie wychodziło, wygodnie było mieć za



partnera Morgana, który nie bywał w biurze i w ogóle strasznie trudno było go gdziekolwiek złapać, gdyż po prostu nie istniał. Przynajmniej nie w tym sensie, jak to widniało w papierach. Za to wszystkie porażki – w przeciwieństwie do mnie – przyjmował z pokorą i honorem.

– Proszę mi wybaczyć, pana Morgana znów nie ma, ale oczywiście całkowicie rozumie pańskie niezadowolenie z efektów jego pracy i upoważnił mnie do wypłacenia panu stosownego odszkodowania.

– Z pana to jest równy gość. Ale nie rozumiem, jak pan może pracować z takim fajtlapą jak ten Morgan. Na dodatek z Żydem.

– Zdradzę panu w tajemnicy, że czynię pewne starania, żeby się go pozbyć.

– Całe szczęście.

– To nie będzie proste. Przez te wszystkie lata czuję się, jakby był moim własnym cieniem.

– Przykre.

Usiadłem przy biurku i zacząłem szukać notatki, którą Ivo sporządziła dla mnie od Magdy. Ivo stanęła w drzwiach.

– Gdzie ta cholerna notatka?

– Bo ja wiem – wzruszyła ramionami. – Rzuciłam ją na wierzch, ale pewnie jak otworzyłeś drzwi zrobił się przeciąg i przysypał ją stos papierzysek. Sam jesteś sobie winien, że masz taki burdel.

– No tak – chwyciłem stos kartek i zaczynałem je sortować. To znaczy zerkałem i wyrzucałem do śmieci. Nie można było tak od razu?

Ivo chrząknęła. – Co jest?

– Jak cię nie było, nagromadziło się trochę spraw. Myślałam, że wrócisz za trzy dni, więc co pilniejsze sama zaczęłam załatwiać, ale skoro jesteś...

Podawała mi sporej grubości teczkę. W środku było kilka plików dokumentów oddzielonych od siebie kolorowymi kartonikami. Siedem. Całkiem niezłe, interes się kręci. Przejrzałem je pośpiesznie.

Pierwsza sprawa dotyczyła zakupu artykułu w jednej ze

znaczących gazet na temat przekrętu w koncernie paliwowym. Z dokumentów wynikało, że przekrętu nie było, ale wszystkie poszlaki wskazywały na to, że był. Zanim zdążą to odkręcić i ukazać się sprostowanie, sprawa nabierze właściwej wagi. Tworzenie faktów prasowych było ostatnio bardzo modne.

Za ukazanie się tekstu klient płacił pięćset tysięcy. Dużo. Artykuły zwykle kosztowały znacznie mniej, nawet w głównych gazetach. Od dwudziestu do stu tysięcy. Klientowi musiało zależeć.

– Mamy jakiegoś dziennikarza, który chciałby zmienić branżę? – zapytałem Ivo.

– Nikt nowy się nie pojawił.

– Dobra, dajmy to Chudemu.

– Już to zrobiłam.

Popatrzyłem na nią zaciekawiony. Prasa to była moja domena.

– Wziął sto tysięcy. Nie chciał więcej. Powiedział, że nie wie, co miałby zrobić z większą kasą. Musi być ostrożny, żeby się nie wydało.

– Jasno mu wyjaśniłaś, że przekrętu, o którym napisze, nie było.

– Tak. Przejrzał dokumenty i powiedział, że nie ma problemu, bo sprawa na pierwszy rzut oka śmierdzi. A drugiego rzutu nie trzeba wykonywać. Aha, zażądał jeszcze czegoś.

– Tak?

– Chce w zamian za tę przysługę zrobić wywiad z Morganem.

– Zgodziłaś się, mam nadzieję?

– Oczywiście. Powiedziałam, że jak tylko wrócisz z Szarm, odezwiesz się do niego i umówisz go z Morgim.

– Z Morgim?

– Pomyślałam, że czasem dobrze jest wprowadzać jakieś innowacje. Ludzie zmieniają fryzury, ubiory. Morgan nie ma takich szans. Dajmy mu chociaż zdrobnić sobie nazwisko.

– Zapisz w notesie, że mam zadzwonić w środę do Chudego.

– Czyli jeszcze nie wróciłeś?

– Dla niego wracam w środę – przytaknąłem. Dwie kolejne

sprawy dotyczyły firm, które chciały wejść na polski rynek. Prosiły o sprawdzenie konkurencji i potencjalnych kandydatów na przedstawicieli. Po kilku głośno zatuszowanych i odłożonych ad acta sprawach okradania globalnych koncernów przez naszych rodzimych prezesów hochsztaplerów sprawdzenie kandydatów dla takich firm było punktem honoru. Mimo że niewiele dawało. Nasi potrafią.

– Nalegają, żeby zajął się tym osobiście pan Morgan.

– No tak, Morgi trzyma poziom – skinąłem do niej głową, zdrabniając nazwisko mojego nieistniejącego partnera.

– Jak tak dalej pójdzie, niedługo wygryzie mnie z interesów.

Następne trzy zlecenia polecały nam ściągnięcie długów od nieuczciwych kontrahentów. Ivo szepnęła, że już rozesłała windyikatorów.

Siódma sprawa wyraźnie różniła się od pozostałych. Ivo zrobiła notatkę na jednej kartce. Przeczytałem ją dwukrotnie. Jakaś kobieta, którą Ivo konspiracyjnie określiła w protokole jako Pani D., prosiła o ochronę w związku z pogrózkami od mafii.

– Dlaczego nie odesłałaś jej na policję?

– Przecież jej nie pomogą.

– Ivo. Jesteśmy agencją od spraw gospodarczych

– napomniałem pouczającym tonem. – My nie zajmujemy się sprawami kryminalnymi

– Może ty nie.

– Jak to?

– Ta kobieta potrzebuje pomocy. Jest zdesperowana. -Anie pomyślałaś, że jak wpłaczesz nas wjakąś chryję z gangsterami, to wkrótce my będziemy zdesperowani?

– Mamy w zakresie usług ochronę ludzi.

– Firm. I nie przed mafią.

– Wiesz, co myślę, Michał? Kapucha urwała ci jaja. Jesteś pieprzonym eunuchem – wyrzuciła nadzwyczaj ostro i wcale nie na żarty. – Bierzesz tylko gówniane sprawy. A jak trafia się prawdziwy problem, to dajesz nogę. Nie o to chodzi w tym zawodzie.

Miała rację. Ale czy to znaczy, że powinienem zrezygnować z

pobierania opłat i działać charytatywnie?

Jeśli ktoś myśli, że prowadzenie agencji detektywistycznej wiąże się z ciągłym wiązaniem końca z końcem, powinien spojrzeć w nasze księgi. Nie narzekaliśmy na brak pieniędzy, z tego powodu miałem ciągle wyrzuty sumienia. Może to nie były miliony, lecz na kolację w dobrej knajpie i kawę w hotelu nie musiałem się szczypać. Na dodatek, ta nasza działalność wyglądała coraz bardziej brudno. Pośrednictwa korupcyjne, czyszczenie stołków, kradzież danych. Coraz bardziej przypominaliśmy bandycką agencję, a nie wywiad gospodarczy.

– Ivo, posłuchaj, nie mamy doświadczenia w takich sprawach. Lepiej będzie jak przekażemy ją ludziom, którzy się na tym znają. W przeciwnym razie możemy tylko zaszkodzić sobie i klientce.

– Pieprzysz.

– Taki Rutkowski czy Ślęzak. Oni to potrafią robić. Mają układy z glinami, znają bandziorów, wiedzą co i jak. My nawet nie nosimy broni.

– Masz broń, a Magda jest przecież gliną.

– Laboratoryjną. Magda jest analitykiem policyjnym, a nie oficerem śledczym. A sama wiesz, jak ja strzelam.

– To racja – Ivo wzdrygnęła się, zapewne na wspomnienie naszej ostatniej wspólnej wizyty na strzelnicy. Czasem zdarzało mi się cały magazynek posłać w kosmos. Za to ona miała oko jak snajper. – Wiesz, od początku myślałam, że możemy wkrótce rozszerzyć działalność. Spójrz, ty i Morgan (jak zwykle zapomniiała wspomnieć o Magdzie) jesteście od spraw finansowych, a ja od kryminalnych. Proszę, pozwól mi... Machnąłem ręką.

– Dobra, możesz się nią zająć, ale ostrożnie. Jak się umówisz z tą babką, daj znać, pojedę z tobą.

– Poradzę sobie. Jesteś kochany – ruszyła do drzwi.

– Zaraz – krzyknąłem, rozrzucając stos kartoników – Nie pamiętasz, co ci powiedziała Magda?

Zrobiła minę jak robot przeczesujący hektary bibliotek pamięci.

– Pamiętam – odparła w końcu.

- Więc?
- Właściwie to nic wielkiego. Kazała mi zapisać: „Zadzwoń, natychmiast”.

\*

Magda była wkurzona.

– Czekam od dwóch godzin na twój cholerny telefon. Czy nie możesz upomnieć tej pieprzonej jędry, że jak mówię natychmiast, to znaczy szybciej niż bardzo szybko?

To może w końcu kupiłabyś komórkę. Niechęć Magdy do telefonów komórkowych była trudna do zrozumienia. W końcu teraz każdy ma komórkę. Atak dzwoniła tylko do biura i to też niechętnie, bojąc się, że szefostwo ją namierzy. Nie robiła co prawda niczego złego, przecież tysiące policjantów dorabia na boku.

– Ona nie jest sekretarką – sam się zdziwiłem, że bronię Ivo.

– A kim? Może primabaleriną. Tak trudno ruszyć dupę i mały mózdzek i poprosić cię, żebyś przekreślił do partnerki?

– Dobra, uspokój się. Przecież dzwonię.

– Uff. Spokój? Dobrze ci mówić. Musimy się natychmiast spotkać.

– Zgoda, ale powiedz, o co chodzi.

– Nie przez telefon. Po tonie można było rozpoznać, że to nie są żarty. – Za piętnaście minut schodzę do parku – rozłączyła się.

Po kwadransie parkowałem przy parku Dreszera. Magda rozejrzała się wokół i wsiadła na miejsce pasażera. Kazała mi schować komórkę do bagażnika. Wyjęła niewielkie urządzenie z czytnikiem i sprawdziła, czy w samochodzie nie ma podsłuchu. Kiedy przechyliła się przeze mnie, poczułem zapach Mirakle i poruszenie we własnych spodniach. To tylko normalna reakcja organizmu – starałem się wytłumaczyć.

Magda wyglądała jak miniaturowa Claudia Cardinale. W najlepszych latach oczywiście. Ze smutkiem pomyślałem, że gdybym chciał wyobrazić sobie ideał piękna, wyglądałby właśnie tak, tylko powinno być go nieco więcej. Gdyby była większa, pewnie zawojowałaby żurnale mody, a gdyby nie jej głos, mogłaby zostać aktorką. Miała zaledwie metr sześć-

dziesiąt wzrostu i głos jak świętej pamięci Władysław Komar – tubalny i zupełnie niepasujący do jej drobnego ciała.

– Co się stało?

– O co chodzi z tym Hermanem Bolsem? – zabuczwała.

– Mówiłem ci. Facet ukradł mi portfel. Ale przecież to prawdopodobnie fałszywe nazwisko.

– Być może – skinęła głową. – Jednak jak wpisałam jego dane, komputer natychmiast wyrzucił mnie z systemu.

– Jak to wyrzucił?

– Zwyczajnie. Podał komunikat, że dane są utajnione, a moje uprawnienia do ich przeglądania niewystarczające.

– To wszystko? – zdziwiłem się, że chciała tak szybko się spotkać.

– Nie rozumiesz? Oznacza to, że nazwisko Herman Bols wiąże się z czymś dużo większym niż twój cholerny portfel. System poprosił mnie o ponowną identyfikację i podanie pełnych własnych danych. Ktoś z Interpolu już mnie szuka.

– Dobrze, że się wyłączyłaś.

– To nie ma znaczenia – pokręciła głową. – Wchodząc do rejestrów, użyłam kodu Starego, ale pracowałam na swoim komputerze. Najdalej jutro ktoś dojdzie, że to ja przeglądałam dane, a wtedy wyda się, że chciałam to ukryć. Pytanie, po co. Muszę więc jak najszybciej złożyć raport Staremu, żeby był na to przygotowany.

– Mówiłaś, że macie straszny burdel w tych waszych komputerach.

– Mamy, ale Interpol nie ma. Ktoś dojdzie do nas tak czy inaczej. Pamiętasz, jak ci mówiłam, że możemy sprawdzać tylko pewne samochody, bo jeśli auto będzie kradzione, to w systemie zostanie ślad, że ktoś je sprawdzał. A wtedy powstaje pytanie, czy ten ktoś nie współpracuje ze złodziejami samochodów. To najprostsza droga, żeby wylecieć ze służby.

– No to wpadliśmy.

– W naszym przypadku ktoś zada sobie pytanie, po co szukaliśmy Hermana Bolsa, który ma tajną kartotekę w Interpolu.

– Problem w tym, że nie bardzo wiemy po co.

– Właśnie. Kradzież portfela, jeszcze na dodatek nie

zgłoszona, to za mało.

– Racja.

– Zaraz pójde do Starego i powiem mu, że poprosiłeś mnie o przysługę i co z tego wynikło.

– Sam mogę mu wszystko opowiedzieć.

– Nie trzeba. – Magda podrapała się po głowie. – Jest jeszcze coś.

– Tak?

– Mówiłam ci już, że ten portfel i rozmowa na lotnisku wyglądają cienko. Musisz przygotować sobie jakąś bajeczkę na temat spotkania z Hermanem Bolsem.

– Co proponujesz?

– Nie wiem, możesz wymyślić, że faceta widziałeś już w Szarmie, że coś cię w nim zaniepokoiło, że potem rozmawialiście w samolocie, nabrałeś jakiś podejrzeń.

– Jakich znowu podejrzeń?

– Zrozum, nikt ci nie uwierzy, że sprawdzałeś go tylko dlatego, że podszedł do ciebie na lotnisku i powiedział, że jest psychiatrą.

– I że ukradł mi portfel. – I że ukradł ci portfel.

Zastanowiłem się nad tym. W sumie Magda miała rację. Sprawa wyglądała podejrzanie.

– Dobra, coś wymyślę. Czy coś ci grozi? Wzruszyła ramionami i odgarnęła pukiel włosów z czoła.

– Za użycie kodu Starego, choć to norma, pewnie dostanę nagane. Nie będę miała premii przez trzy miesiące.

– Wynagrodzimy ci to.

– Stary może w ogóle się wściec i odsunąć mnie na kilka miesięcy, a wiesz, co to dla nas oznacza?

– Brak dostępu do danych?

– Właśnie.

Podrapałem się po łepetynie.

– Mówiłaś, że gdzie się buduje ten twój Stary? -W Konstancinie – popatrzyła przenikliwie i westchnęła z wyrzutem. – Nawet o tym nie myśl.

– Dlaczego? Można by sprawdzić jego rachunki i zasugerować, że trochę za mało zarabia na dom w Konstancinie.

– I tym samym podłożyć głowę pod topór? Michaś, z całym szacunkiem, za mały jesteś, żeby dobierać się do tyłka szefowi wydziału śledczego do spraw analiz. Zjedzą cię na przystawkę i nic nie zostanie na obiad.

– Tak tylko pomyślałem.

– Lepiej zostaw to mnie. Nie będziemy się mogli kontaktować przez jakiś czas. Musisz sobie poradzić.

– Poradzę sobie.

\*

Nie wiedziałem jeszcze, że tego samego dnia zostanę porwany, a moi nowi przyjaciele przystawią mi ogromnie wielki nóż do szyi. Nie wiedziałem, że niedługo później odbędę rozmowę z generałem służb specjalnych. A tym bardziej, że będę musiał poprosić o przysługę zawodowego zabójcę. Nie mówiąc już o niepokojących pogłoskach o wyroku śmierci wydanym na mnie przez mafię.

Dlatego, niespecjalnie przejmując się sprawą wymyślenia historii o Hermanie Bolsie, pomyślałem, że zanim wezmę się do pracy, zadzwonię do Weroniki i spróbuję namówić ją na małe bara-bara w Kampinosie.

Na nieszczęście właśnie obsługiwała ofiary wypadku samochodowego, a zaraz potem czekało ją mnóstwo papierkowej roboty.

Musiała podzielić kilka trupów między trzy współpracujące z pogotowiem zakłady pogrzebowe i rozdysponować dawki pavulonu po poszczególnych karetkach. Podobno na jej dyżurze spadała efektywność produkcji gwałtownie zmarłych, co stawało się niebezpieczne dla systemu.

Przeludnienie, niewydolny system emerytalny, takie tam problemy...

– Musisz sobie poradzić beze mnie.

Tego dnia wszystkie kobiety mojego życia powiedziały mi, żebym sobie radził bez nich albo że poradzą sobie doskonale beze mnie. Najwyraźniej nikomu nie byłem potrzebny. Pozostało więc pójść się napić. I poszukać towarzystwa, a do tego celu najlepszy był Kuba.



Kuba Hernik uważał się za geniusza i nienawidził mnie za drobnomieszczański oportunizm oraz imperialistyczną służalczość. Poza tym kochaliśmy się jak bracia.

Od kiedy pamiętam był członkiem Polskiej Partii Socjalistycznej, a właściwie jej najbardziej radykalnej frakcji, która obiecywała, że kiedyś wysadzi w powietrze Sejm i porwie prezydenta. Sam nie wiem, dlaczego ponoć wszechobecne służby specjalnie nie dobrały mu się jeszcze do tyłka, ale może była to zaleta demokracji. Szanujemy wszystkich krytyków i wariatów, dopóki nie będą chcieli dobrać się do naszej kasy. Kuba Hernik i jego koledzy z PPS nie mieli zaś zielonego pojęcia o ekonomii, efektach skali i numerycznych kontach zakładanych przez naszych polityków w Szwajcarii, na Litwie i w rajach podatkowych.

– Masz jeszcze do mnie żal o tę pannę – zagaił Kuba, gdy tylko pojawił się przy moim stoliku w barze, w pobliżu cmentarza na Powązkach. Mogłem się tego spodziewać. Kuba czerpał wyraźną satysfakcję z faktu wydymania niemal na moich oczach Moniki Bukowskiej, która – jak przed laty planowałem – miała zostać moją żoną.

– Przeciwnie, jestem ci zobowiązany. Miałem zamiar się z nią ożenić.

– Wy kapitaliści – mruknął Kuba z pogardą – w upokorzeniach zaraz staracie się odnaleźć coś, co was pchnie do przodu. A wiesz, że rypałem ją przez pół roku?

– Tak, opowiadała mi ze szczegółami. Również o tym, że w pewnej chwili już ci nie stawał.

– To potwarz. Tylko raz tak się zdarzyło i to w dniu, gdy dowiedziałem się, że na boku zaczęła sypiać z Wiktorem Rozwadowskim, jak wiadomo działaczem żydokomuny, czyli najgorszym z najgorszych. Trudno mnie za to winić.

Socjaliści nie zgadzali się z narodowcami, konserwatystami i centrowcami, ale najbardziej nienawidzili teoretycznie najbliż-

szych im pseudokomunistów, których na dodatek oskarżali o łamanie szóstego przykazania z obywatelami Izraela. Taki polityczny folklor.

– Moim zdaniem to żadne wytłumaczenie. Wręcz przeciwnie, w akcie zemsty powinieneś rozprawić się z nią po raz ostatni.

– Wyjaśnijmy sobie jedno. Działacze PPS, ponieważ działają z czystych pobudek, brzydzą się aktami zemsty, a już szczególnie dokonywanymi na kobietach. W naszej ideologii zbliżenie płciowe jest najwyższą formą akceptacji. Jak mogłem dymać kobietę, która oddawała się największemu wrogowi.

– Moim zdaniem po prostu bałeś się konfrontacji z jego pytonem.

Celny cios. Kuba Hernik poczerwieniał i wykrzyknął:

– My w PPS mamy stalowe pytony. Chcesz się przekonać?

Był gotów zdjąć portki i dać całkiem pocieszne przedstawienie nielicznym o tej godzinie gościom kawiarni przycementarnej, więc lepiej było zmienić temat.

– Napijmy się. Za Trockiego!

Kuba spoważniał. Stał na baczność i oddał honor krótkim skinieniem głowy.

– Za Trockiego! – I za Che! – I za Che! I za Mao!

Skinąłem głową. Przejął pałeczkę. Wypiliśmy jeszcze za Fidela, Dzierżyńskiego, Marcosa, Pablo Nerudę i Talleyranda.

– On też był socjalistą? – zdziwiłem się.

– Więcej, był najgorszym łobuzem z możliwych i świętym wyznawcą zasady: po trupach do celu. Każdy socjalista powinien brać z niego przykład, by nie wpaść w pułapki masonerii i radykałów. Za Putina!

– Za Putina? – zawołałem zaskoczony – Przecież to...

– Żartowałem – roześmiał się Kuba. – Zapluty karzeł reakcji. Tfu. Tacy są najgorsi.

Wypiliśmy dwie butelki wódki i napoczęliśmy trzecią. Zastanawiałem się, czy uda mi się ruszyć z parkingu. Oczywiście pod warunkiem, że dojdę do auta. Przez chwilę nawet pomyślałem, że może powinienem zostawić samochód. Ale jak w takim wypadku dotrę do domu?

– Muszę lecieć – powiedziałem.

– Poczekaj. Hubert mówił, że obracasz jednocześnie trzy laski.

Hubert F. Buderski, socjopata i miłośnik motyli, nazywany też Ojcem Chrześnym Mafii Studenckiej ( OCMS) w Warszawie, zarządzał zza pleców aparatczyków zrzeszeniami studenckimi i samorządem uniwersyteckim. Całkiem pokaźny folwark. Kluby studenckie dawały spore zyski nielicznej garstce cwaniaków. Z racji zajmowania siedziby w bibliotece musiałem utrzymywać z nim kontakty towarzyskie polegające na przekazywaniu co miesiąc koperty z haraczem.

– Hubert chyba mnie nie docenia. Jest ich co najmniej dziesięć.

– Mówił o trzech, ale nieważne. Podobno jedna wygląda jak Arnold Schwarzenegger i to we wcieleniu Conana Barbarzyńcy, ale dwie pozostałe są całkiem do rzeczy. Wspominał coś o wielkim kombajnie tej drugiej, ale od pasa w górę jest jakoby OK. Za to trzecia, choć trochę mała. mniam, mniam. Mógłbyś podzielić się ze starym druhem.

– Dobra, dam ci jej numer – zapisałem mu telefon do Reginy Wegner, siedemdziesięcioletniej operatorce rentgena, która prześwieciła kilka tygodni temu mój szwankujący kręgosłup. Pocziwa, dobroduszna staruszka z godnym podziwu życiowym ciągiem. Czterdzieści lat w towarzystwie rakotwórczej aparatury i dwóch paczek papierosów dziennie. Wdowa, strasznie samotna.

– To ta mała?

– Nie, ta z wielkim tyłkiem. Wydał się nieco zawiedziony.

– Może być. Dzięki, na tobie zawsze można polegać.

– Miłej zabawy. Czołem.

– Czołem.

Podpierając się ściany, przebyłem drogę w kierunku auta zaparkowanego w cieniu klombów. Funkcjonariusze straży miejskiej wypisywali mi akurat mandat za brak opłaty parkingowej. Wrzuciłem do parkometru dwa złote i podałem im bilet. Jeden z nich warknął, że za późno, ale drugi machnął ręką i wyrzucił mandat do kosza na śmieci. Oderwałem się od muru, lecz strasznie zawiało.

– Przepraszam, jestem niepełnosprawny. Zechcą mi panowie

pomóc usadowić się w aucie?

Starszy ze strażników skrzywił się z niechęcią. Młodszy klepnął go zachęcająco w plecy i po chwili obaj chwycili mnie pod ramiona i włożyli do hondy. Starszy zaczerpnął głęboko powietrza, gdy im dziękowałem.

– Pan jest pijany. Nie może pan prowadzić w takim stanie.

– Ależ skąd, biorę tylko leki na bazie alkoholu. Mam przesuniętą kość ogonową, niedowład prawej nogi i rozwarstwione kręgi. Nawet sobie pan nie wyobraża, jak to może boleć. Gdybym wiedział, co mnie spotka, nigdy nie rozminowywałbym pól naftowych w Iraku.

– Był pan w Iraku? – zapytał z szacunkiem młodszy.

– Dwa lata. Wszedłem na minę na dwa dni przed zmianą turnusu – zachnąłem się. – To znaczy wymianą kontyngentu. Proszę, oto wszystkie świadectwa, zezwalające na prowadzenia auta w... jak się pan wyraził, takim stanie.

Podąłem im kwestionariusz z hotelu w Nama Bay, rachunek ze sklepu papierosów i zaświadczenie o zdaniu sprzętu w bazie nurkowej. Na wszystkich było strasznie dużo szlaczków i pieczętek.

– To po arabsku – powiedział starszy. – A jak pan myśli, po jakiemu piszą w Iraku? Młodszy szturchnął go pod żebro i posłał wymowne spojrzenie: chcesz zadzierać z weteranem wojennym?

– Proszę jechać, ale ostrożnie.

– Jak zwykle.

Udało mi się bez większych problemów przejechać przez centrum, uniknąć zderzenia czołowego z tirem, gdy wjechałem pod prąd w jednokierunkową oraz ominąć korek na Alejach Wojska Polskiego, przejeżdżając po szerokim chodniku dla pieszych. Na szczęście byli czujni jak przechodnie w Moskwie.

Kiedy już ucieszyłem się ze szczęśliwego dotarcia do domu, na własnym osiedlu przejechałem psa, podpalanego kundla o szerokim torsie i niezwykle przenikliwym spojrzeniu. Odetchnąłem. Gdyby przez rasowego owczarka czy teriera przetoczyła się ważąca tonę bryka, pewnie do dziś ciągaliby mnie po sądach. Na dodatek nic mu się nie stało, więc nie

musiałem w niedzielę dawać na tacę.

Kundel strząsnął z siebie kurz i patrzył ciekawie w moim kierunku.

– Nic ci się nie stało, piesku?

Zrobił przyjazną minę, zamerdzał ogonem, więc chciałem pogłaskać go po głowie, ale wtedy ugryzł mnie w dłoń, a potem w łydkę i uciekł, głośno ujadając. Niewdzięczne zwierzę.

Ruszyłem do domu, żeby przepłukać fizyczne i duchowe rany spirytusem. I wtedy się zaczęło.

Na klatkę schodową z piskiem najechało czarne bmw. Dwóch jaskiniowców wciągnęło mnie do bagażnika na oczach tuzina przypadkowych przechodniów.

Jak na komendę, wszyscy odwrócili głowy w poszukiwaniu przelatującego samolotu. Tylko jakiś jedenastolatek szarpał ojca za ramię i wołał:

– Patrz tato, patrz! Mafia porywa gangstera.

– To tylko kręcą film, synku. Film.

\*

Nigdy po alkoholu nie rzygam, ale też nigdy po wypiciu flaszki wódki nie wsadzano mnie do bagażnika bmw, które, jak przystało na auto markowe, powinno mieć bagażnik przestronny i klimatyzowany. Nic z tego. Bagażnik był zawalony łopatami, śmieciami, zapleśniały, zatęchły i śmierdzący. Rzuciło jak na kutrze rybackim przy sztormowej pogodzie.

Pierwszego pawia puściłem na wstępie, drugi urodził się w przeciągu kwadransa, przy trzecim już tylko kaszlałem i kłamię. O mało się nie udusiłem. W końcu bmw przystanęło i odziani w skóry „żołnierze” wyciągnęli mnie na łono natury.

Skrzywili się z odrazą na mój nowy zapach. Korzystając z chwili nieuwagi, rozejrzałem się wokoło. Zaparkowaliśmy na leśnej polance pooranej odciskami kół luksusowych limuzyn. Te drzewa wokół nie pierwszy raz widziały podobną scenę.

Bulterier numer jeden wyciągnął z nogawki półmetrową maczetę i pewnym, wyćwiczonym ruchem wykonał przekonujący, pełen ekspresji gest, jakby zamierzał podciąć sobie gardło. Dwa centymetry dalej i miałbym ubaw.

– Wiesz, co cię czeka?

– Możesz sobie wybrać towarzystwo – dodał drugi. – Po prawej masz Wariata, Gruchę i całą jego rodzinę, dalej Anatola z Sandomierza i Fełę, która się stawiała Pershingowi. Swoją drogą jego drużyna leży nieco dalej na zachód. Dziesięciu gniewnych murzynków. Czytałeś Agatę Christie?

– Tylko „Śmierć na Nilu” – odparłem niezbyt zgodnie z prawdą, nigdy nie przeczytałem żadnej książki do końca. – Ale oglądałem sporo filmów.

– To nie to samo. Żałuj. Teraz już nie zdążysz.

– Czy można zapytać szanownych panów, czemu zawdzięczam ich zainteresowanie?

Spojrzeli po sobie i zarechotali.

– Greczny, skubaniec – powiedział pierwszy. – Powiemy mu?

– Zabronili.

– E, przecież i tak już nikomu nie wyśpiewa? Drugi podrapał się po głowie.

– Ale zabronili.

– No dobra, tni.

Maczeta zakręciła młynka i znalazła się przy mojej szyi. Dwa centymetry.

Gdybym nie był pijany, mógłbym spróbować zdzielić pierwszego w nos i odebrać mu nóż, a następnie powalić go kopniakiem, jednocześnie wykonując woltę ostrzem na szyję drugiego. Szanse powodzenia? Cóż: zero, ale lepsze to niż czekać z założonymi rękami aż obetną mi głowę.

Jednak z powodu upojenia alkoholowego było mi wszystko jedno. Szczerze mówiąc, znów zrobiło mi się niedobrze i jedyne, czego pragnąłem, to się zdrzemnąć. Z głową czy bez niej.

W tym momencie posłyszeliśmy głośny warkot i na polanę wjechał na pełnej szybkości krzykliwie pomalowany nissan terano. Miał na dachu i bokach nadruki z emblematami koncernu paliwowego PKN Orlen i napisy świadczące o uczestnictwie w rajdzie Paryż – Dakar. Z szoferki wyskoczył mały łysiejący człowieczek w garniturze, a z naczepy dwóch bliźniaczo podobnych do moich oprawców goryli, trzymających pod ramiona gościa w worku na głowie.

– O kurwa, Mały – rzekł z wyraźną atencją jeden z moich bulterierów.

Mały zmierzył nas groźnym spojrzeniem, rzucił coś do goryli, którzy powalili zakapturzonego na kolana i sprzedali mu dwa kopniaki w głowę i plecy. Następnie niewysoki przybysz wyjął z kabury lugera i ruszył w naszym kierunku. Wyglądał na nerwowego.

– Co tu robicie?

– My tylko. – zaczął niepewnie ten od Agaty Christie.

– My tylko, my tylko – przedrzeźniał Mały. – Przecież już wam tłumaczyłem, że to mój teren. Czy ja wyglądam na takiego, który chce się powtarzać?

– Nie, nie.

– A jednak przyjeżdżam tu się rozerwać, na dodatek w interesach, i co widzę? Myszkini i Goły z jakimś zarzyganym. kim ty właściwie jesteś?

– Stawiński. Michał.

– Ożeż ty! Więc macie klienta. Czy ja mam wystawić przed tą polanką tablicę informacyjną, że to mój cmentarz? Czy nie dość zapłaciłem Mrówie za to, żeby sobie znalazł inne miejsce dla rozstrzygnięcia swoich sporów? Czy muszę wpadać tu zrelaksowany i znów się denerwować?

– To nie tak.

– Na dodatek zachowujecie się jak dyletanci – Mały pokręcił z niedowierzaniem głową i zajrzał do bagażnika bmw. – Zarzygał wam cały autobus. A gdzie folia? Gdzie zabezpieczenie? Czy wiecie, że jak gliny będą chciały, to za dziesięć lat zidentyfikują z pozostawionych przez was śladów, że wieźliście autem tego gościa? Jak tak patrzę, to na dodatek pewnie ta beemka wcale nie jest trefna.

– Skąd. Zarejestrowana. Legalna. Popowodziowa. Z Niemiec – rzucał jak karabin Myszkini, choć z każdym słowem ciszej, jakby po niewczasie docierało do niego, że pieprzy głupoty.

– Legalna? – Mały chwycił się za brzuch ze śmiechu.

– Jakie to szczęście, że wykopsałem was od siebie i poszliście do Mrówy. Jesteście lepsi niż piąta kolumna.

– Słuchaj Mały, tego gościa to my mieliśmy tylko nastraszyć.

Nie chcieliśmy wchodzić ci w drogę.

Nastraszyć. To brzmiało jak trąbka kawalerii, co prawda słyszana jeszcze w oddali. Właściwie bardzo daleko.

– Ale weszliście – Mały spoważniał. Błyskawicznie uniósł parabellum i wymierzył w Gołego. – A dlaczego mieliście go nastraszyć?

– Mrówa chce, żeby odczepił się od pewnej babki

– wyrecytował Goły. Na twarzy włączył mu się tik nerwowy, który zapierdział jak zepsuty kierunkowskaz.

– Właściwie to nawet nie sam Mrówa, ale jacyś jego znajomi.

– Od jakiej babki?

– Nie znasz jej. Nazywa się Danuta Piekus. Mały przytaknął, zdaje się, że rzeczywiście jej nie znał. Mało tego, ja też jej nie znałem. Kim, u diabła, była Danuta Piekus?

Mały skierował broń w moim kierunku.

– Masz się trzymać z dala od pani Piekus, jasne?

– Jak słońce. Już o niej zapomniałem – przyszło mi to nadzwyczaj łatwo.

Mały ponownie wymierzył w Gołego.

– No i nastraszony. Trzeba było tu przyjeżdżać i mnie denerwować? Nie mogliście go dorwać gdzieś w mieście i załatwić to jak trzeba? Przecież od razu widać, że facet jest kumaty, prawda?!

Goły i Myszkin gwałtownie pokiwali głowami, choć Mały wyraźnie do mnie skierował to pytanie. Więc też pokiwałem.

– Pokaż mi ten scyzoryk – poprosił Mały i wziął od Myszkina maczetę. – Ładna. Wyważona, elegancka.

– Prosto z Peru. Jak ci się podoba, jest twoja.

– Może być – próbował ją sobie schować za pasek, ale strasznie wystawała. Wykorzystał więc cholewkę wysokiego buta. – A teraz wy dwaj wykopcie dół. Może być tam, pod brzezina.

Bulteriery ruszyły jak na komendę we wskazanym kierunku. Mały z zadowoleniem pokiwał głową, a potem spojrział na mnie spoode łba i zagał szeptem:

– Czy ja cię skądś nie znam?

Może chodziliśmy razem do przedszkola? A może nawet byliśmy wówczas przyjaciółmi? Ale co, jeśli z przedszkola Mały



wyniósł tylko nieprzyjemne wspomnienia?

– Nie przypominam sobie.

– Kasiasty jesteś?

– Jakoś wiązę koniec z końcem.

– Ile dasz za sprzątnięcie tych dwóch? Splunął znacząco, dając do zrozumienia, jakie zdanie ma na temat Myszkina i Gołego. Mimo wszystko ta rozmowa nie przebiegała po mojej myśli. Co miałem mu powiedzieć? Że zwykłem sam załatwiać swoje problemy? To mogło być dobrze odebrane, ale co by się stało, gdyby Mały wręczył mi maczetę czy lugera i powiedział: no to załatw?

– Właściwie ostatnio popadłem w tarapaty. Urząd skarbowy dobrał mi się do tyłka – powiedziałem niepewnie.

Mały omal nie podskoczył z radości, wynikającej – jak się miało okazać – ze spotkania bratniej duszy.

– Kurwa mać. Tobie też? Od roku próbuję się pozbyć tych skurwieli. Musiałem im oddać pokój w firmie. Siedzą i grzebią mi w papierach, jadają na stołówce na mój koszt, nawet bywają na firmowych imprezach. Strasznie niekumaci. Jak im podesłałem paczkę ze zdechłą rybą i listem, że jeśli się nie odpierdolą od mojej firmy, to skończą w betonowych butach, wiesz, co zrobili?

– Pojęcia nie mam.

– Przyszli do mnie i powiedzieli, że ktoś próbuje ich zaszantażować, a może nawet zastraszyć. Zasugerowali, że powinienem zwrócić się do policji o ochronę dla nich albo lepiej wynająć jakiś prywatnych łapsów. Na dodatek zżarli tę zdechłą rybę i po tym rozboleły ich brzuchy, więc nasłali sanepid na moją stołówkę. Dasz wiarę? – Mały pokręcił głową z niedowierzaniem. – Z takimi to nie wiadomo, co zrobić. Zabijać nie ma sensu, bo przyjdą następni, może jeszcze gorsi. A poza tym w skarbowce podobno aż roi się od służb specjalnych. Nie wiadomo, z kim zadrzesz.

– Też tak słyszałem.

– Tak więc staram się ich tolerować, ale jak ostatnio wzięli sobie po komputerze na święta, niby dla dzieci, to prawie nie wytrzymałem. Robię w komputerach.

– Przyszłościowa branża.

– Gówno, nie branża. Konkurencja jak cholera, ceny spadają, marże coraz niższe i pełno złodziei za plecami. Ten tam – wskazał na człowieka w worku na głowie, który kwilił o litość – niejaki Gustaw Pawełek, magazynier. To znaczy były. Wziąłem go do roboty z ulicy i traktowałem jak syna. A jak się odwdzięczył? Ukradł mi ze dwa tysiące procesorów.

– Niewdzięcznik – przyznałem.

– To nic. Jak go wylałem z roboty, poszedł na policję i do dziennikarzy. Zgłosił donos, że niby sam kradnę procesory, żeby wyciągać kasę z ubezpieczeń, a potem wstawiam je do sprzętu, który sprzedajemy w przetargach, dzięki czemu zawsze jesteśmy najtańsi. Zamarzyła mu się, kurwa, afera gospodarza.

– Chyba nie przewidział konsekwencji.

– Kosztował mnie już worek dobrych tysięcy. Trzeba było opłacić prokuratora, gliny, którym na dodatek musiałem kupić radiowóz w ramach dobrej współpracy: biznes – policja. A na koniec tych cholernych darmożjadów dziennikarzy.

– Święta racja.

– Bóg mi świadkiem, że staram się uczciwie działać. Płacę podatki, pensje na czas, stworzyłem program emerytalny. Ale jak trafiam na takie szuje, to mnie krew zalewa. Lepiej nie patrz.

Mały ruszył w kierunku brzeziny. Zdarł worek z głowy nieszczęśnika, zamienił z nim trzy słowa, a następnie wymierzył broń i bez wahania strzelił mu dwukrotnie w głowę. Wszystko to stało się tak szybko, że nie miałem czasu się zastanowić, czego właśnie byłem świadkiem. Ludzie Małego przenieśli ciało do wykopanego dołu. Ukradkiem puściłem pawia, czego na szczęście nikt nie zauważył.

– Zasypać – polecił głośno Mały, a Goły i Myszkin pośpiesznie zabrali się do pracy.

Gangster podszedł do mnie.

– To jak? – zapytał. – Mam ich załatwić?

– Nie widzę takiej potrzeby.

Chyba nie był szczęśliwy. Pewnie wyszedł z założenia, że jak

już jednego kropnął, to dwóch następnych nie robi różnicy. A przemykała mu pod wyczulonym nosem dodatkowo okazja na zarobek na boku. Kto jak kto, ale ja powinienem go rozumieć.

– Tak czy inaczej masz u mnie dług, zapamiętaj.

– Jestem pana dłużnikiem – przyznałem. Poklepał mnie przyjacielsko po plecach.

– Ta Piekus jest ładna?

Zaskoczył mnie tym pytaniem i jak każdy człowiek zaskoczony o mało co nie dałem plamy i nie powiedziałem mu, że nie mam pojęcia. Na szczęście przeszedłem kilka kursów szybkiego myślenia, które pomagały głównie w negocjacjach, ale jak widać mogły się przydać w takich niecodziennych sytuacjach. Dzięki nim, podczas gdy w rozmowie Mały – Stawiński minęła zaledwie sekunda, w mojej głowie przebiegł cały proces przyczynowo-skutkowy rozbierający na części pierwsze gangsterską logikę.

Pytanie o urodę musiało mieć jakiś cel. Nie doszedłem, co prawda, jaki, ale – koniec końców – z równania prawdopodobieństwa wyszło mi, że lepiej było udzielić odpowiedzi pozytywnej.

– Całkiem do rzeczy.

– Masz jej numer? – znów mnie zaskoczył.

– Nie.

– A gdzie mieszka?

Numeru telefonu mogłem nie mieć, ale przecież jakiś kontakt musiałem. Gdybym powiedział, że nie, Mały mógłby zmienić swoje dość przyjacielskie nastawienie. Z niedostrzegalnym ociąganiem podałem mu adres Reginy Wegner. Było to ryzykowne, groziło wyrzutami sumienia i śmiertelną czkawką, ale cóż miałem robić?

Zadowolony poklepał mnie po ramieniu.

– Bierz beemkę i spadaj!

\*

Z perspektywy kierowcy, bmw serii 5 okazało się autem z charakterem. Przyzwyczajony do hondy nie zamierzałem zmieniać mojego wysłużonego wozu, ale jadąc nowym

nabytkiem, zrewidowałem poglądy. Japońska niezawodność i charyzma przegrywały już na starcie w zestawieniu z niemiecką precyzją i siłą. Mój nowy samochód miał pięciolitrowy silnik i przyspieszał do setki w niespełna siedem sekund. Ale dopiero później tak naprawdę się działo. Przy prędkości dwustu na godzinę wciąż miałem pod podeszwą całkiem spory zapas na dodatkowe manewry. Włosy na ramionach stawały dęba.

Zanim porzuciłem auto, sprawdziłem wszystkie schowki. Poza plikiem kuponów rabatowych w agencjach towarzyskich nie było tam niczego ciekawego. Kupony postanowiłem przekazać Kubie.

Dojechałem w pobliże domu i już zamierzałem wysiąść z auta, kiedy pomyślałem, że jednej rzeczy w zaletach bmw nie sprawdziłem: odporności na zderzenia. No i nigdy nie lubiłem tej latarni na rogu Puławskiej. Rozpędziłem się do stowy i ściąłem latarnię, przebijając się następnie przez wiatę przystanku tramwajowego. Poduszka powietrzna trzasnęła mnie przyjacielsko w głowę. Przekimałem się na niej do czasu, gdy zjawilo się pogotowie i straż pożarna. Na szczęście policja jak zwykle była spóźniona, bo znowu musiałbym dać w łapę.

Wyciągnięto mnie z samochodu i próbowano zapakować do karetki, ale zaraz sobie przypomniałem opowieści Weroniki o pavulonie i przeludnieniu.

– O nie, tylko nie to – krzyknąłem. Kopnąłem pielęgniarza w kostkę i uciekłem.

W drodze do domu powtarzałem sobie w myślach hasła: Mrówa, Goły, Myszkini, Mały, Danuta Piekus. O co w tym wszystkim chodzi?

Byłem już prawie trzeźwy.

4.

– Gdzie się podziewałeś? – Ivo wrzeszczała do komórki. Pozwoliłem jej zarzucić mnie stosem niewybrednych wyzwisk rozpoczynających się od nieodpowiedzialnego skurwiela, a kończących na psim pomiole.

– Byłem na pogrzebie. Ivo zatkało.

– Kto zmarł? – zapytała po chwili.

– Niejaki Gustaw Pawełek, robił w komputerach.

– Kim był dla ciebie?

– Nikim szczególnym, poza tym, że uratował mi niedawno życie.

Zdawałem sobie sprawę, jakie to dla Ivo było ważne. Oglądała seriale, więc знаła się na hasłach: braterska krew czy dozgonna wdzięczność.

– Nic mi nie mówiłeś. Boże, strasznie mi przykro.

– Cóż, bywa.

Ivo pomilczała minutę, jakby chciała jednocześnie uczcić cześć zmarłego i dać mi odrobinę wytchnienia.

– Dobra, jesteś usprawiedliwiony. Ale koniec żałoby, bierz dupę w troki i przyjeżdżaj do biura.

– Jestem wykończony, mam ochotę się zdrzemnąć.

– To ważne – Ivo naciskała. – Musisz przyjechać jak najszybciej.

– Nic nie jest takie ważne, żeby nie mogło poczekać do jutra.

– To jest.

– W porządku, powiedz, o co chodzi.

– Nie mogę przez telefon.

– Ważniejsze niż alarm czerwony?

Alarm czerwony mógł na przykład oznaczać wizytę policji skarbowej.

– Ważniejsze niż fioletowy – odparła Ivo. Fioletowy rezerwowaliśmy na ewentualność przybycia mojej byłej żony lub prawdziwego Martina J. Morgana, który co prawda nie istniał, ale cholera wie, czy nagle się nie narodził.

– Ktoś na mnie czeka? – Uhm.

– I to ktoś wyjątkowy?

– Uhm, uhm, uhm.

– Mam wziąć kałasznikowa?

– Mamy ich tu pod dostatkiem – odparła zagadkowo.

– Niech będzie. Włożę łeb pod kran i zaraz będę. Po wcześniejszych przygodach jechałem nad wyraz przepisowo i do biura dotarłem dopiero po półgodzinie. W sekretariacie naprzeciwko Ivo siedziało dwóch młodych mężczyzn. Byli w zielonych mundurach i mieli pełno gwiazdek na pagonach.

– Kapitan Roman i Major Wejchert – przedstawili się – Wojskowe Służby Informacyjne.

– Wywiad wojskowy? Myślałem, że chodzicie dla niepoznaki bez mundurów.

– Właśnie w mundurach nas nie poznają. Ale nie jesteśmy oficerami operacyjnymi – kapitan wyjaśnił, że on i jego kolega są asystentami pewnego wysoko postawionego funkcjonariusza, który chciałby jak najszybciej przeprowadzić ze mną rozmowę wagi bezpieczeństwa narodowego.

Mówiąc „bezpieczeństwa narodowego”, ściszył głos.

– Mam zabrać szczoteczkę do zębów?

– To nie będzie konieczne – odparł major, co wcale mnie nie uspokoiło. Gdybym miał zabrać szczoteczkę, przynajmniej byłoby jasne, że spędzę u nich parę dni. Jeśli szczoteczka nie była mi potrzebna, mogło to oznaczać, że już nigdy nie będzie mi potrzebna. Spojrzałem porozumiewawczo na Ivo, żeby dać jej znać, że jeśli nie odezwę się przed północą, należy podjąć skazaną na niepowodzenie misję ratunkową. Ivo jednak nie oderwała wzroku od sterty studiowanych z zapamiętaniem papierów.

– Cześć Ivo, wrócę przed północą – powiedziałem z naciskiem.

– Tak, tak – odparła pośpiesznie, jakby rozumiejąc, że sprawom bezpieczeństwa narodowego nie należy się specjalnie przysłuchiwać, nawet jeśli oznaczają poświęcenie pionka w jakieś skomplikowanej, piętrowej grze. Nawet jeśli tym pionkiem był jej szef, a wręcz – zważywszy na okoliczności – przyjaciel.

– Przed północą – podkreśliłem, ale nie oderwała głowy od papierów.

Zaprowadzili mnie do zaparkowanej na zakazie lancii. Limuzynę prowadził trzeci typ, także w mundurze, ale bez gwiazdek, za to z sumiastym wąsem i brakiem życia w oczach. Oficerowie milczeli i zachowywali pełną powagę. Ba, nawet nie oglądali się za kusymi spódniczkami studentek, które mijaliśmy po drodze. Prawdziwe roboty.

Mój rozmówca czekał w restauracji hotelu Ambasador. Przed wejściem stało dwóch jednakowo wyglądających typów, tym razem nieumundurowanych. Byli wysocy, potężni i mieli kamienne twarze. Oficerowie operacyjni.

Knajpa wyglądała jak wyjęta z komunistycznego folderu reklamującego uroki gierkowskiej Polski. Przyciężki wystrój, wielkie okna, okrągła, zadymiona sala, stoliki z wykrochmalonymi obrusami w kolorze imitującym biel.

Tuż przy wejściu, na stoliku dla kelnerów, umieszczono jakąś wielką maszynę szumiącą jak klimatyzator. W pierwszej chwili pomyślałem, że tym właśnie jest, ale zaraz uzmysłowiłem sobie, że poza świdrującym dźwiękiem i smrodem przypominającym rzygowiny nie wydała z siebie żadnych innych oznak życia – a tym bardziej chłodnego powietrza.

– To Kreator 666. Radziecki wynalazek z 1973 r. i prawdziwie diabelskie narzędzie. Do dziś nie wymyślono lepszej aparatury zakłócającej. Żaden podsłuch się przez nią nie przebije. Niestety ma jedną wadę – rozmiar.

Człowiek, który – widząc moje zainteresowanie – wypowiedział te zdania, siedział na środku sali przy jedynym zastawionym stoliku. Poza nim nikogo tu nie było, przez co cała ta scena wyglądała jak na filmie. Dam głowę, że o tej godzinie w Warszawie nie było ani jednego, nawet podrzędnego baru, w którym siedziałby tylko jeden człowiek, a tym bardziej w mundurze generała. Z początku go nie poznałem, wydawał się nieco młodszy niż na zdjęciach w prasie czy w telewizji. Poza tym tam zawsze włosy miał siwe, a twarz zmęczoną.

Tymczasem ciepło uśmiechał się do mnie silny, opalony mężczyzna o kruczoczarnych włosach, nie wyglądający na

swoje sześćdziesiąt dwa lata. Mimo to rysy twarzy nie pozostawiały wątpliwości – właśnie miałem uścisnąć dłoń drugiemu po Bogu – generałowi Bernardowi Stolarczykowi, dowódcy WSI.

– Telewizja pana postarza – powiedziałem. – Wygląda pan o dwadzieścia lat młodziej.

– Wiem, wiem. Ale nic nie dzieje się przypadkiem – odparł tajemniczo – Proszę siadać.

– Chce pan powiedzieć, że to efekty specjalne?

– Przed każdym programem oddają mnie w ręce charakteryzatora, zresztając każdego. Ale w przeciwieństwie do innych, mój charakteryzator ma mnie postarzyć, sprawić wrażenie bezsilności, a najlepiej choroby. W ten sposób nasi wrogowie mają mnie za człowieka słabego i są bardziej skłonni popełnić największy grzech dobrego wywiadowca.

– Jaki to grzech?

– Zlekceważenia. Brałem udział w wielu bitwach, w tym w ataku na bagnety i proszę mi wierzyć: nie ma to jak dobra zasłona dymna.

Skinąłem głową. Teraz była moja kolej, ale nie bardzo wiedziałem, co mam powiedzieć. Krępującą ciszę generał przerwał z właściwą sobie gracją. Nachylił się do mnie i szepnął:

– Może soku? Tylko niech pan nie bierze pomarańczowego. Jest nieświeży.

– Dziękuję. Prawdę mówiąc, wolałbym coś mocniejszego.

Klepnął mnie przyjacielsko i ze zrozumieniem w ramię, jakby chciał powiedzieć: to rozumiem. Kelnerka przyniosła karafkę z siedemdziesięcioprocentową śliwowicą. Zatykała gębę. Jak należy. Nie ma to jak późnym popołudniem zabić klina.

– Pewnie pana dziwi, że spotykamy się w takim miejscu, a nie w budynku WSI?

– Odrobinę.

– Kto wie, kto nas może tam szpiegować. Tu przynajmniej wiemy, a zastosowanie urządzeń zakłócających jest w tej sytuacji całkowicie uzasadnione. Poza tym kreator ma jedną wadę konstrukcyjną – bez zarzutu działa tylko w wysokich



pomieszczeniach. Bóg wie, dlaczego, ale doszliśmy do wniosku, że to taka cecha lokalna. Był pan kiedyś w Moskwie?

Pokręciłem głową przecząco.

– Tam każdy gabinet jest wysoki. A u nas – mamy nowoczesny budynek – pokoje mają po trzy czterdzieści wysokości. To za mało na kreatora.

– Nie można go dostroić?

– Nie bardzo wiemy, jak sobie z tym poradzić. Chyba tylko wynalazca to potrafił. A on poległ zaraz po pogrzebie Breżniewa. Biedaczyna zatrul się tortem, choć nie jadł słodyczy.

– Szkoda.

– Prawda? – właśnie podano specjalność zakładu: półmiski wypełnione kaczką pieczoną z jabłkami i generał zaprosił mnie do konsumpcji. Zdechłe ze starości kaczki zalatywały szpitalnym wychodkiem, za to jabłka były wyśmienite.

Generał przełknął pierwszy kęs kaczki ze smakiem i przeszedł do rzeczy:

– Nie będę owijał w bawełnę. Chodzi o Hermana Bolsa. Wiemy już, że miał pan przyjemność spotkać tego pana i że wraz z niedoścignioną panią Magdą próbowaliście się czegoś o nim dowiedzieć.

– To prawda – nie było sensu zaprzeczać.

– Wiemy też, że na waszym tropie jest już Interpol, dlatego postanowiliśmy działać szybko – widząc moje zaskoczenie wyjaśnił: – Nie, nie działamy na zlecenie Inter-polu, a tym bardziej w porozumieniu z nimi. To służba policyjna, my jesteśmy częścią sił zbrojnych. Z całym szacunkiem, daleko im do nas, choć niektórzy twierdzą, że cel mamy wspólny.

– Pokój na ziemi, szczęście wszystkich ludzi i uczynienie z tych padolów prawdziwego raj, nieprawdaż?

– Skąd pan wie, myślałem, że to najgłębiej strzeżone tajemnice. Ale dość żartów. Mamy powody przypuszczać, że pan Bols może stanowić zagrożenie dla naszego kraju, stąd moje zaproszenie.

– Z jakich powodów jest tak groźny, że pan osobiście zajmuje się tą sprawą?

– Proszę wybaczyć, ale to tajemnica. Przynajmniej na razie. Może pan uznać, że mamy braki kadrowe i dlatego to ja się z panem spotykam.

– Tak czy inaczej jestem mile polechtany czy – jak to się mówi – zaszczycony.

– Niech pan mi opowie wszystko, co wie o Hermanie Bolsie.

– Nie ma co opowiadać – nie skorzystałem z rady Magdy i powiedziałem mu wszystko, co wiem i całkowicie zgodnie z prawdą. O samolocie, dziwnych uczuciach, rozmowie z Bolsem i kradzieży portfela. Zajął mi to niecałą minutę.

Generał pokiwał głową, a potem się roześmiał.

– Chyba nie sądzi pan, że w to uwierzę?

– Taka jest prawda. Moja znajoma doradziła mi, żebym na potrzeby Interpolu wymyślił jakąś bajeczkę, ale uznałem, że panu powinienem powiedzieć prawdę. W trosce o – ściszyłem głos zgodnie z wojskowymi standardami – bezpieczeństwo narodowe. Myliłem się?

Patrzył mi uważnie w oczy.

– Nie, nie mylił się pan.

– Więc dlaczego interesuje was pan Bols?

– Powiedziałem, że to tajemnica – odparł generał i wstał. – Proszę skończyć posiłek, zapłacone.

– To wszystko?

Nie odpowiedział od razu. Kilku agentów wyszło zza ciężkich okiennych zasłon i zaczęło pośpiesznie i z wielką wprawą składać kreatora. Szum ucichł, świecące krzykliwie diody przygasły.

– Tak – generał odwrócił się do mnie i cofnął o krok. – Aha. Jeśli to wszystko prawda, niech pan lepiej wymyśli dla Interpolu jakąś bajeczkę. Oni, w przeciwieństwie do nas, nie wierzą w zadziwiające zbiegi okoliczności.

Wkurzona Weronika wzbudzała we mnie większe przerażenie niż niegdyś nauczycielka rosyjskiego, która terroryzowała całą szkołę do chwili, gdy nie wyrzucono jej z pracy za tańczenie nago na stole podczas studniówki w osiemdziesiątym szóstym.

Zarzucała mi gruboskórność, brak godności, aż w końcu plugawą zdradę.

– Skąd te oskarżenia?

– Umówiłeś się ze mną na piątą, nie pamiętasz? A teraz jest ósma. Na dodatek jesteś pijany. O tej porze?

Uznałem, że lepiej nie informować jej, że właśnie trzeźwieję. Gdybym dodatkowo opowiedział o jaskiniowcach porywaczach, Małym i generale WSI, najpewniej dostałbym w gębę za kłamstwa i musiał przeproszać przez miesiąc, na koniec wymyślając jakąś odkręcającą całą prawdę bajeczkę.

Zwiesiłem więc głowę, dając niezwykle wiarygodny pokaz trawiących mnie wyrzutów sumienia i przyjąłem potulnie wszystkie ciosy.

– Śmierdzisz jak skunks.

Dała do zrozumienia, że tego wieczora mogę zapomnieć o jakiegokolwiek przyjemności, ale jak tylko wzięłem prysznic, zmieniła zdanie. Zdarłem sobie kolana przeciągając jej ciało po całym mieszkaniu, aż do przedpokoju prowadzącego do drzwi wejściowych. Kiedy kończyliśmy to starcie, pociągała gwałtownie za klamkę, jakby rzeczywiście chciała otworzyć drzwi. Jednak – jak się domyślam, z powodów wyrzutów sumienia czy też z jakichś innych – musiałem być nie dość ostry, bo nie wydawała się ułagodzona.

– Może mi opowiesz, co się stało? Powiedziałem, że zajmujemy się w tej chwili strasznie poważną sprawą szantażowanej kobiety, której grozi prawdziwe niebezpieczeństwo. Stąd mój stan i spóźnienie.

– Przecież wy zajmujecie się sprawami gospodarczymi?

– Nawet nie wiesz, ile brudu jest w tej gospodarce.

– Domyślam się. Dlatego musiałeś się napić?  
– Nie, spotkałem kolegę ze studiów. Nie widzieliśmy się z dziesięć lat.

Machnęła ręką, odwróciła się na bok i zasnęła. Ja nie mogłem spać. Prześladowała mnie myśl, że jak tylko zamknę oczy, Weronika przebudzi się i wstrzyknie mi jakieś cholerne doktorskie świństwo, po którym już nigdy nie będę taki sam. Dopiero nad ranem jej miarowy oddech uspokoił mnie i po ukradkowym wypiciu czterech setek Jasia Wędrawniczka pogrążyłem się w objęciach Morfeusza.

Rankiem czekała na mnie jajecznica i tajemniczy uśmiech Weroniki. -Oco chodzi? Nie chciała powiedzieć.

– Zjedz. Zjadłem.

Jajecznica w wykonaniu Weroniki była jedyną w swoim rodzaju. Ze znanych mi osób tylko ona wrzucała na patelnię jajka ze skorupami, a dopiero na koniec dodawała surowy boczek i cebulę. Dzięki takim staraniom jajecznica, której podobno nie sposób zepsuć, była trudna do przełknięcia nawet dla robotnika budowlanego, a może dla niego w szczególności. Tylko prawdziwy koneser wdzięków Weroniki mógł to przetrzymać bez skrzywienia i pośpiesznej wizyty w toalecie. Zajadałem więc z apetytem, wtrącając między kęsami:

– Znakomita. Jak ty to robisz?

– Przestań się zgrywać. Przecież jajecznicę każdy potrafi zrobić.

– Prawie – mruknąłem, ale przecież nie mogłem mieć do niej pretensji. W końcu była witarianką, co oznaczało, że nie tylko nie jadła mięsa, ale nawet żadnych produktów przetworzonych. Osobiście widziałem, że wcina tylko sałatę i pomidory. Była jak żółw, na szczęście nie wypróżniała się po kątach.

– Smakowało? – zapytała, gdy skończyłem.

– Rewelacja – a kiedy wpatrywała się we mnie z tą głupią miną, uznałem, że należy wyciągnąć z niej o co chodzi – Więc?

– Co więc?

– Jaką masz dla mnie niespodziankę?

– Potrafisz mnie przejrzeć – Weronika wyraźnie zbierała się w sobie, żeby w końcu to wyrzucić, a kiedy wyrzuciła,

zrozumiałem, dlaczego tak długo to trwało. – Mój ojciec ma za dwa tygodnie sześćdziesiąte urodziny. Wyraził chęć poznania cię, a ponieważ okazja jest wyjątkowa, uznałam, że może będzie to najmniej krępujący moment na wizytę u moich rodziców.

No tak. Ale przecież nie mogłem powiedzieć jej, co o tym myślę.

– Twój ociec jest myśliwym – szepnąłem. – I co z tego?

– Strzela do zwierząt. Zastrzeli mnie – zażartowałem, ale błagałem Weronikę w myślach, żeby przyjęła moje obawy na poważnie.

– Już kupił pociski na słoniu – przyznała ze śmiechem.

– Naprawdę obawiam się o swoje życie. A wiesz, jak je cenię.

– Dlatego postanowiłam ci to ułatwić. Powiedziałam rodzicom, że zerwałam z tym detektywem, z którym umawiam się od roku i który nawet nie chce słyszeć o poznaniu mojej rodziny, a zapatrzyłam się w biznesmena prowadzącego agencję podatkową. Między nami jeszcze do niczego nie doszło, więc możesz czuć się całkowicie bezpiecznie. Jesteśmy na etapie wstępnego rozpoznania. Można więc powiedzieć, że będziesz występował in blanco.

– Chyba incognito – że też lekarze nie mają pojęcia o łacinie. A może to nie z łaciny?

– Właśnie.

– Dobrze – mruknąłem, choć wcale mi się to nie podobało. Miałem ochotę dodać, że skoro incognito, to fajnie by było, jakby któryś z nadobnych gości nakrył nas w krzakach. Cnotliwa Weronika puszcza się z dopiero co poznanym poborcą podatkowym na sześćdziesiątych urodzinach ukochanego ojczulka.

Do firmy dotarłem około jedenastej. Ivo dłużej zapamiętała w komputerze, ale jak tylko mnie zobaczyła, poderwała się z miejsca.

– Spokojnie, dzisiaj chciałbym przejść obok dnia – powiedziałem.

– Ale ja już wszystko mam.

– Jak to wszystko? Ivo spojrzała na mnie z zadumą.

– Wszystko, o co prosiłeś. Nie pamiętasz wczorajszej rozmowy?

– Jakiej rozmowy?

– Dzwoniłeś o szóstej. Kazałeś mi sprawdzić parę osób i cennik znanych zawodowych zabójców. Kogo najpierw zdejmujemy? Małego, Gołego, Myszkina czy Bolsa?

– Mówiłem ci o Bolsie?

– Kazałeś mi tylko sprawdzić w Internecie. Ale nie było problemu – podała mi stertę wydruków. – Jest tego całkiem sporo. Pan Bols jest znany, przynajmniej w wirtualnym świecie. Co do pozostałych, wyszło różnie. Ale i tak wykonałam kawał dobrej roboty.

– Oczywiście. Możesz liczyć na premię.

– Wystarczy, że dotrzymasz obietnicy.

– Jakiej obietnicy?

– Pamiętasz sprawę zastraszanej kobiety. Jesteśmy z nią umówieni za dwie godziny.

Zakląłem szpetnie.

– Prosiłam cię, żebyś nie przeklinał przy mnie.

– Przepraszam. Czy ta kobieta nie nazywa się przypadkiem Danuta Piekus? – właściwie byłem przekonany, że odpowiedź Ivo będzie twierdząca. Pani D., jak ją określiła w notatce, czyli pani Danuta. Pani Danuta Piekus.

Dlatego nie prosiłem jej o sprawdzenie tego nazwiska. Teraz szykowałem się do frontalnego ataku, żeby wybić w końcu z głowy mojej sekretarki tę sprawę. Jak mogłaś wpakować nas w coś, co będzie grozić mi obcięciem głowy i tak dalej. Definitywny koniec. Rozumiesz.

Ivo jednak szperała w pamięci przez dłuższą chwilę. Robiła minę, jakby słyszała już to nazwisko, ale nie bardzo wiedziała w którym kościele.

– Nie. Dorota Sadowska – powiedziała w końcu.

– Dorota Sadowska? Jesteś pewna, że na drugie nie ma Piekus.

– Sadowska, tylko Sadowska.

Wzruszyłem ramionami. No to po raz kolejny zrobiłem z siebie głupka.

– Oczywiście, że z tobą pojedę. Zanim zagłębiłem się w swojej kanciapie, przyszło mi coś do głowy. Ścisłej mówiąc, wpadłem

na pomysł, jak bez nadmiernego wysiłku popełnić samobójstwo. Poprosiłem Ivo, żeby wzięła notatnik.

– Pamiętasz sprawę tego producenta komputerów, który ciągle przegrywa przetargi?

– Hektor – przytaknęła niemal natychmiast. – Twierdzą, że konkurencja stosuje dumping i oni za każdym razem stoją na straconej pozycji. Ich zdaniem nie da się zejść poniżej pewnej granicy kosztów, którą oni już zastosowali. Tymczasem jeden z konkurentów zawsze jest tańszy. Odrzuciliśmy to zlecenie.

– Dlaczego?

– Dostałeś cynk, że ich konkurent jest powiązany z mafią.

Roześmiałem się. Coś tu zaczęło grać. – I co? Nie oponowałaś, że rezygnujemy?

– Oponowałam – oburzyła się Ivo. – Ale postawiłeś na swoim. Jednak tamta sprawa to coś zupełnie innego niż z tą kobietą. Tam zagrożenie było iluzoryczne, poza tym dotyczyło firmy, a nie konkretnej osoby. Tu jest realne. Trzeba jej pomóc.

– Tak samo jak tej oszukiwanej firmie – powiedziałem, kiwając ze zrozumieniem głową, jakby rzeczywiście dopadły mnie wyrzuty sumienia, choć pojęcia nie mam, co to takiego. – Wybacz, chyba rzeczywiście stałem się strasznym skurwielem i zatraciłem... jak to nazwałaś, poczucie misji?

– Można tak powiedzieć.

– No, więc wracamy do tej sprawy. Zadzwoń do Hektora i powiedz, że jeśli nadal są zainteresowani, pomożemy im rozwiązać problem przegrywanych przetargów.

– Na pewno są zainteresowani. Ostatnio czytałam, że znów jakieś duże zamówienie przeszło im koło nosa. Jak im pomożemy?

– Przekaż Hektorowi, że konkurencja prawdopodobnie stosuje pewne nieczyste zagranie. Kradną z własnych magazynów podzespoły komputerowe, a potem wstawiają je do oferowanego sprzętu, dzięki czemu są w stanie znacząco obniżyć cenę. Hektor może zastosować ten sam zabieg nawet na większą skalę. Niech sobie wyniosą z magazynu kilka tysięcy procesorów, zgłoszą to na policję i do ubezpieczenia, a potem powstawiają je do sprzętu. Dzięki temu będą bardzo

konkurencyjni, a o ile się nie mylę, procesory nie mają numerów seryjnych, więc nikt nie ma prawa ich złapać, pod warunkiem że pracownicy nie zaczną sypać.

– To przestępstwo.

– Dlatego nie rozmawiaj z nimi przez telefon.

– Rozumiem. Jesteś geniuszem. Zasłużyłem na to pełne wiary i namiętnego uwielbienia spojrzenie.

– Wiem.

Wchodziłem już do siebie, gdy zobaczyłem w myślach wkurzoną gębę Małego. Mówią, że zdenerwowany przeciwnik popełnia błędy. Jeśli tylko damy mu szanse je popełnić.

– Aha. Dowiedz się, ile kosztują szyby kuloodporne. Albo lepiej przeciwpancerne.

– Jaki wymiar i ilość?

– Standardowe, kilkanaście sztuk. W gabinecie usiadłem przy biurku Morgana, żeby wygodnie poprzeglądać materiały zebrane przez Ivo. Nie wiedziałem, od czego zacząć, ale ponieważ najbardziej tajemnicza była sprawa Bolsa, postanowiłem otworzyć tę teczkę.

Bols był nie tylko doktorem, ale też profesorem psychiatrii. Wykładał na uniwersytetach w Bremie i Bonn, a od 1990 prowadził prywatną praktykę w Hamburgu. Numery telefonów były jednak zupełnie inne niż na wizytówce, która tkwiła w mojej kieszeni. Wybrałem pierwszy z nich. Jak tylko się przedstawiłem, sekretarka zachichotała i odezwała się po polsku.

– Miło słyszeć rodaka. Chce pan gadać z Helmutem?

– Mnie również miło – odpowiedziałem grzecznie i poprawiłem ją – z Hermanem Bolsem.

– Tak, wiem. My tu wszystkich Niemców nazywamy Helmutami, a Niemry Helgami. Taka rozrywka na obczyźnie. Zdaje się, że ma pan szczęście, akurat wrócił z jakiegoś tournée po wariatkowach.

– Co pani o nim sądzi?

– Ja tam nie chcę się wypowiadać.

– Czy pan Bols ma jakiś problem? Oskarżono go może o kleptomanię albo coś podobnego?



– On ma wiele problemów. Ale o kleptomanii nie słyszałam.  
– A słyszała pani coś o Interpolu? Ściszyła głos.  
– Była jakaś chryja dwa miesiące temu, po której siedział u nas przez dłuższy czas policjant w cywilu. Może był z Interpolu. Ale straszny mruk i prawdę mówiąc, chyba gestapowiec. Mam wrażenie, że chętnie by mnie skremował, choć nie jestem Żydówką.

- Może mnie pani przełączyć do pana Bolsa?
- Musi pan tylko powiedzieć, w jakiej sprawie.
- Proszę przekazać, że rozważyłem jego propozycję.
- Tylko tyle?
- Tylko.

W słuchawce przez dłuższą chwilę zapanował międzynarodowy szum na łączach, tylko nieco cichszy od lokalnego, krajowego. Potem usłyszałem głos, który wydawał mi się zupełnie inny niż ten słyszany w Amsterdamie, ale może specjalnie go zmieniał.

– O jaką propozycję chodzi? – zapytał po angielsku.  
– Zastanawiałem się nad tym, co powiedział mi pan w Amsterdamie i doszedłem do wniosku, że poznałem pana problem.

– Mój? – zdziwił się Niemiec.  
– Tak, pański. Przy okazji diagnozowania samego siebie odkryłem we własnej kieszeni brak trzystu euro.

I chciałem pana poinformować, że za chwilę będzie miał pan na karku nie tylko Interpol, ale też wywiad. I żeby wszystko było jasne, nie chodzi o te marne trzysta euro, ale o fakt.

– Interesujące.  
– Stanie się jeszcze bardziej interesujące, kiedy znajdę w Hamburgu kogoś, kto nauczy pana dobrych manier i wybije z głowy okradanie cudzoziemców. Szczególnie biedniejszych sąsiadów.

Bols zamiast odpowiedzieć, zaczął się śmiać.

– Przepraszam – rzekł. – Jak pan zaczął mówić o Interpolu i wywiadzie wziąłem pana za pacjenta. Ale teraz już rozumiem. Sam czułem się podobnie.

– Jak to?

- Ten facet okradł również mnie.
- Ten facet?
- Misiowaty, koło pięćdziesiątki, z brodą, zdrowy wygląd.
- Tak.

– Ja mam siedemdziesiąt lat, jestem chudy i wyglądam na umierającego. Jeśli stracił pan tylko trzysta euro, powinien być pan szczęśliwy. Mnie zabrał znacznie więcej.

– Rozumiem – a więc to nie był pierwszy raz pana Bolsa, czy kimkolwiek on był. To wyjaśniało zainteresowanie Interpolu. Ale gdzie tu miejsce wywiadu?

– Straciłem całą walizkę, włącznie ze wszystkimi dokumentami, kartami i pieniędzmi. Nowy pan Bols utworzył swoje poradnie na moje nazwisko w Rostoku, Paryżu, Londynie, a nawet w Chicago.

– Podróżnik z niego.

– Tak. Wygłosił kilka odczytów na uniwersytetach, o mało co nie zrujnował szpitala psychiatrycznego w Dubaju i powypisywał przed terminem kilku groźnych seryjnych zabójców przesiadujących w zamkniętym zakładzie w Petersburgu. Muszę panu wyznać, że pętla na mojej szyi zaczęła się zaciskać. Policja nic nie potrafiła pomóc, nawet Interpol nie dał rady. Ale teraz chyba mogę już odetchnąć.

– Jak to?

Zamiast odpowiedzi zaniósł się śmiechem.

– Proszę mi wybaczyć – wybełkotał między jednym kaszlącym rechotem a drugim – Mam atak.

Odłożył słuchawkę.

## 6.

Miałem nadzieję, że Dorota Sadowska okaże się przynajmniej niezłą laską.

Niestety, czekało mnie niemiłe zaskoczenie. Sadowska nie tylko nie wyglądała jak dwudziestoletnia studentka trzeciego roku hotelarstwa w prywatnej szkole biznesu, ale też znacznie odbiegała od tak zwanej przeciętnej i to w najgorszym kierunku. Wyglądała jak rasowa gospodyni domowa po pięćdziesiątce. Mała, korpulentna czy też przysadzista, o baryłkowatym kształcie i gębie bez wyrazu. Jej nieforemne cielsko zdobiła szmaciana spódnica w kratę i bluzka z błyszczkami rodem z lat osiemdziesiątych. W przedpokoju na wieszaku wisiała jesionka i moherowy beret.

Jak tylko zobaczyłem naszą nową klientkę, od razu pomyślałem, że powinienem jej przesłać całą filmotekę detektywistyczną. Takie jak ona nie stanowiły klienteli firm zajmujących się podobnymi usługami. Nie mogła liczyć na nasze zainteresowanie, bo poza absolutnym brakiem seksapilu nie miała w sobie także ani krzty tajemniczości. Na dodatek mało kto życzyłby jej dobrze.

Nie ma mowy – pomyślałem sobie o dalszych losach naszej współpracy, gdy tylko przekroczyłem próg jej przeciętnego mieszkania w bloku na Bielanych. Zastanawiałem się, jak przemówić do rozsądku Ivo, jednak sama Sadowska przysłała mi niespodziewanie z pomocą.

Tymczasem trzeba było wypić herbatkę i poczęstować się ciasteczkami. Atmosfera była wyjątkowo ciężka. Mieszkanie urządzono bez gustu, z przewagą ciemnych kolorów i przytłaczających zasłon. Na dodatek było

strasznie cicho, co podkreślało jeszcze uporczywe stukanie filiżanki o spodek, które wywoływały roztrzęsione dłonie pani Sadowskiej. Po cholere trzymała herbatę na kolanach?

– Proszę się uspokoić – powiedziała Ivo. – Rozumiemy pani zdenerwowanie, ale teraz na pewno pani pomożemy.

– Tak – mruknąłem.

– Przepraszam – bąknęła tylko Sadowska i zmieniła temat. – Smakujcie państwu herbatka?

– Pyszna – powstrzymałem gestem Ivo, żeby się nie wtrącała.

– Wiem, że obawia się pani ataku ze strony nieznanymi sprawców nasłanych przez tak zwaną mafię. Czy może pani sprecyzować, o co chodzi?

– Co sprecyzować?

– Dlaczego nabrała pani takiego przeświadczenia? Skąd te obawy?

– Odbieram dziwne telefony – wyznała Sadowska i podkreśliła: – Bardzo dziwne.

Odczekałem parę sekund, licząc, że się rozkręci, jednak najwyraźniej uznała, że stwierdzenie: „bardzo dziwne” wystarczająco nas zmrozi.

– Na czym polega ich „dziwność”?

– Na milczeniu – wypaliła bez wahania.

– Na milczeniu?

– Tak. Ten ktoś, kto dzwoni, nie odzywa się. Omal się nie roześmiałem. Nie wiedziałem nic o stanie cywilnym pani Sadowskiej, ale to wydawało mi się najrozsądniejszym wyjaśnieniem:

– A może to ktoś, proszę mi wybaczyć, do pani męża?

– Wzięłam to pod uwagę – Sadowskiej nie zbiło z tropu moje przypuszczenie. – Jednak on nie żyje od dziesięciu lat.

– Przykro nam – westchnęła Ivo, patrząc na mnie, jakby chciała potrenować umiejętności bokerskie z wykorzystaniem mojego ciała jako worka treningowego.

– Tak, dziękuję. Ale rozumiem te pytania. Sama pomyślałam, że może to jakaś kobieta, która nie wie, że zmarł i po dziesięciu latach postanowiła odnowić starą znajomość. Ale po kilku głuchych telefonach rozpoznaję już ten oddech. Jest zdecydowanie męski.

– No cóż... – sam nie wiem, czy zamierzałem powiedzieć jej o różnych orientacjach seksualnych i postępującej zgniliznie, ale kiedy tylko otworzyłem usta, Ivo tak mocno kopnęła mnie w kostkę, że musiałem zacisnąć szczęki z całej siły, żeby nie

zawąć.

– Jak zmarł – wtrąciła szybko Ivo, żeby dać mi ochłonąć – pani mąż?

– Na raka, ale moim zdaniem go otruto.

– Jak to?

– Któregoś dnia nagle zasłabł, a kiedy trafił do szpitala, początkowo powiedziano mi, że to nic groźnego, prawdopodobnie lekkie zatrucie pokarmowe albo jakieś problemy z przemianą materii. Następnego dnia już nie żył, a sekcja zwłok wykazała, że miał zaawansowanego raka płuc.

– To możliwe – odezwałem się z ogromnym i całkowicie szczerym bólem. Kostki.

– Możliwe, ale powiedziano mi też, że to z powodu papierosów. Za dużo palił.

– I co z tego?

– Mój mąż w ogóle nie palił. Papierosy, które miał w kieszeni marynarki, gdy zabierało go pogotowie, kupił dla mnie. Dlatego sądzę, że jego śmierć została ukartowana – zapaliła papierosa.

– Jak pan widzi, mój mąż zmarł na raka płuc z powodu palenia, którym się brzydził, a ja dziesięć lat po jego śmierci wciąż palę i nic mi nie jest.

– Rozumiem. Wykluczając kochankę, co jeszcze panią niepokoiło w tych telefonach?

Sadowska wzruszyła ramionami.

– Nic.

– Czy coś jeszcze sprawiło, że zaczęła się pani obawiać o swoje życie?

– Nie, właściwie to nie. Mam co prawda wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, ale ponieważ ostatnio nie wychodzę z domu, to wrażenie mija. Te telefony napawają mnie wystarczającym strachem.

– Dlaczego przyjęła pani, że to mafia chce panią zlikwidować?

– Przecież mafia działa w ten sposób.

No tak. Chciałem jak najszybciej zakończyć tę farsę, gdy Sadowska przemogła się i postanowiła dorzucić coś jeszcze.

– Ale podejrzeń nabrałam po śmierci mojego współnika.

– Wspólnika?

– Nazywał się Andrzej Stelmach. Od pięciu lat prowadziliśmy wspólną spółkę.

– Jak zginął?

– Na zawał.

– Skąd wniosek, że został zamordowany?

– Przeczucie. Był chory na serce od dwudziestu lat. Dlaczego miałby tak nagle umrzeć?

Logika pani Sadowskiej była nie do podważenia. To znaczy lepiej było jej nie podważać, bo w pewnej chwili mógłbym się tak zdenerwować, że sam bym ją zastrzelił.

– Z jakiego powodu musiał zginąć?

– Pojęcia nie mam, ale podejrzewam, że przez naszą firmę. Teraz chcą wykończyć mnie, żeby przejąć nad nią kontrolę.

– A czym się zajmuje firma?

– Przetworem drewna.

– Drewna?

– Tak. Rozdrabniamy bale dla przemysłu papierniczego i meblarskiego.

– Dlaczego mafia się tym interesuje? O ile wiem, ich domeną są nocne kluby, narkotyki, hazard, paliwa.

– Drewno też jest paliwem.

– Rozumiem – pokiwałem głową z udawanym zrozumieniem. Jednak trzeba było spadać jak najszybciej. – Zainstalujemy w pani telefonie podsłuch i aparaturę namiarową. Ktoś od nas będzie też dyskretnie czuwał nad pani bezpieczeństwem. Proszę się nie obawiać. Ktokolwiek miałby ochotę panią skrzywdzić, będzie miał z nami do czynienia. Jeśli chodzi o koszty.

Ivo ponownie chciała mnie stuknąć w kostkę, ale w porę usunąłem nogę i trafiła w drewnianą nogę stołu. Musiało boleć, ale na jej twarzy poza rutynowym uśmiechem nie zagościł nawet cień rozczarowania. Za to moja gęba była rozwarta od ucha do ucha.

– Co do kosztów umówimy się z panią, jak wyeliminujemy problem – wtrąciła jednak Ivo, przez co moje usta nagle poczuły ograniczenia wkurzonych mięśni policzków.

– Jak to miło.

– Oczywiście – dodałem niechętnie. – Zajmiemy się ochroną, nic już pani nie grozi.

Kobietę wyraźnie podniosły na duchu moje zapewnienia. Mam w sobie coś, co wzbudza u innych zupełnie bezpodstawną wiarę w moje siły. Kiedy się żegnaliśmy byłem przekonany, że nigdy więcej nie spotkamy już pani Sadowskiej i prawie się nie myliłem. Sadowska zdążyła jednak mnie jeszcze zaskoczyć.

– Przepraszam, ale skoro już nawiązaliśmy współpracę, czy nie moglibyście pomóc mi w czymś jeszcze?

– W czym takim?

– Sąsiedzi z dołu strasznie hałaśliwie... – wyraźnie nie wiedziała, jak to nazwać, więc poszła po linii najmniejszego oporu – uprawiają miłość. Początkowo mi to nie przeszkadzało, było nawet miłe dla ucha, ale od kiedy nabrałam pewności, że sąsiadka nie jest zamężna, nie przyjmuje gości, a mieszka tylko z dobermanem, to akty te napawają mnie obrzydzeniem. Sama bym się tym zajęła, ale nie potrafię powiedzieć komuś w oczy, co myślę o takich zachowaniach.

– Zajmiemy się tym.

Schodząc schodami mimo stanowczych protestów Ivo lub też jej aprobaty (szczerze mówiąc, nie pamiętam, jak zareagowała), wywiesiłem na klatce kartkę informującą, że od jutra cały blok znajdzie się w strefie nasłuchu sił NATO i wszystkie głośniejsze zachowania, w tym akty nierzędu, mogą być rejestrowane przez system komputerowy. Jeśli więc mieszkańcy nie chcą być nagrywani, powinni zachowywać się względnie cicho po jedenastej wieczorem.

To może rozwiązać problem hałaśliwych kochanków, choć z pewnością nie załatwi kwestii kontaktów międzygatunkowych, ze szczególnym uwzględnieniem spółkowania z dobermanami.

\*

Ivo nie patrzyła na mnie przez całą drogę. Udawała, że prowadzi i choć w istocie prowadziła, tak naprawdę jej myśli krążyły zupełnie gdzie indziej.

– No dobrze – rzuciła w końcu. – Może nie wypadła wiarygodnie, ale uważam, że naprawdę potrzebuje pomocy.

- Psychiatry. Nawet mogę jej kogoś polecić.
- Od kilku tygodni żyje w ciągłym napięciu. Trudno ją winić za to, że zachowuje się nieco dramatycznie.
- Ivo, przecież to wariatka. Jedyne, co jej grozi, to spadający na głowę sufit w drugiej fazie snu i pożerająca ludzi lodówka przy nocnym podbieraniu słodczy.
- Myślę, że rzeczywiście ktoś chce ją zabić. Mam przeczucie.
- Sam mogę to zrobić, żeby utwierdzić cię w tym przekonaniu.
- Jesteś okrutny.
- Racjonalny. Nie chcę więcej słyszeć o sprawie pani Sadowskiej. Możesz co najwyżej napisać do niej list, że z powodu śmierci w wypadku samochodowym zmuszeni jesteśmy zrezygnować z jej sprawy. Zapewne uzna to za kolejny dowód na istniejący na jej życie spisek.
- Nie wierzysz w spiski?
- Wierzę. Ale nie w ten. Kto chciałby ją zabijać?
- Może jacyś dostawcy drewna?
- Tak, już widzę, jak tartak „Drwalek” nasyla mafię, żeby ta pozbyła się konkurencji ze strony szanownej pani Sadowskiej. Ivo, oprzytomnij. Sadowska dzięki twojej uprzejmości pożarła dwie godziny naszego cennego czasu, ale nie damy jej skonsumować ani minuty więcej. Czy dobrze się rozumiemy?
- Tak – mruknęła Ivo.
- Nie poświęcisz jej już ani chwili, chyba że po godzinach.
- Obiecuję.



Skąd się biorą takie typy?

Weronika już smacznie spała, gdy pobudzony szklaneczką tequili zabrałem się za czytanie pozostałego materiału zebranego przez Ivo, czyli szeregu informacji na temat Gołego, Myszki, Małego i Mrówy.

Najbardziej nieszczęśliwie wyglądał przypadek Myszki, którego w wieku pięciu lat znaleziono w opuszczonej rzeźni, wśród całego inwentarza szczurów i myszy. Chłopak został tam porzucony przez wyrodną matkę, której tożsamości nigdy nie ustalono. I tak dobrze dla niego, a źle dla reszty świata, że nie zapakowano go w beczkę i nie zakopano pod ziemią, co było powszechnie stosowaną procedurą w naszym przesiąkniętym katolicką moralnością społeczeństwie.

W jaki sposób przeżył pięć lat w społeczności gryzoni toczonej nieustanną walkę z ludzkością, pozostanie na zawsze tajemnicą. Być może szczury uznały go za jakiegoś swojego boga albo Mesjasza i nie zagryzły, składając za to w darze resztki zepsutego pożywienia. W końcu pięcioletni bobas dla myszy był jak King Kong dla Polinezyjczyków.

A może zdegenerowana matka przekazała mu w genach nadzwyczajną odporność na różnego rodzaju problemy tego świata?

W każdym razie w opuszczonej rzeźni ekipa sanepidu wspomagana zawodowym szczurołapem znalazła w końcu lat siedemdziesiątych zdrowego, choć wyraźnie niedożywionego pięcioletka. Gówniarz nie mówił i nie chodził, w zamian pisał na różnych poziomach abstrakcji i pęzał po ziemi jak gryzoń.

Rehabilitację przeprowadzono w wojskowym ośrodku badań specjalnych nad Zalewem Zegrzyńskim, gdzie chłopca nauczono chodzić, mówić, a nawet śpiewać, po czym poddano serii brutalnych eksperymentów. Ivo dotarła do stenogramu z posiedzenia naukowego komitetu sterującego, który mówił o

wyjatkowej – jak na szczura – inteligencji młodzieńca nazwanego Myszkinem, szybkim rozwoju i nadrabianiu braków, jednak te niezwykle symptomy skutecznie skasowano za pomocą elektrowstrząsów i terapii szokowej. Po nieudanej próbie uczynienia z Myszkina szczególnego okazu szczura laboratoryjnego, piętnastoletniego już wówczas chłopaka wyrzucono z nieoznakowanej furgonetki na rogu ulicy Brzeskiej i Żąbkowskiej w Warszawie.

Ivo nie udało się znaleźć żadnej wzmianki o chłopaku, odnoszącej się do faktów pomiędzy rokiem 1980 a 1990, w którym to Warszawą wstrząsnęła seria brutalnych zabójstw taksówkarzy. Dwa lata później Myszkina oskarżono i osądzono za zabicie sześciu przedstawicieli tego szacownego zawodu. Dostał karę śmierci, ale ponieważ w Polsce obowiązywało już wówczas moratorium na jej wykonywanie, Myszkin spędził kolejne dwa lata w celi. Jakiś czas później ułaskawił go prezydent. Tu Ivo poczyniła własną adnotację, że w tym okresie wielu zabójców starało się uzyskać karę śmierci, której nie wykonywano, a następnie prosiło o ułaskawienie od prezydenta. Taka decyzja skutkowała – dzięki dobrze przemyślanej luce w prawie stanowiącej ukłon od zainspirowanych przez mafię parlamentarzystów – zamiast zamianą kary na wieczne więzienie, wypuszczeniem z aresztu.

W ten właśnie sposób Myszkin w roku dziewięćdziesiątym piątym ponownie pojawił się na warszawskiej Pradze, ale od tego czasu nie zabił ani jednego taksówkarza. Za to niecały rok później związał się z gangsterem Małym, który zanim stał się szanowanym biznesmenem handlującym nowymi technologiami, opanował proceder pobierania haraczy od branży usługowej w centralnej Polsce, z czasem dywersyfikując działalność w kierunku prostytucji i obrotu nielegalnym alkoholem.

Prawdopodobnie na zlecenie Małego Myszkin wykonał kilkanaście wyroków śmierci, aż w końcu ich drogi – z nieznanego powodu – rozeszły się. Od tego czasu Myszkin działa w gangu mokotowskiego przestępcy o pseudonimie Mrówa. Cechuje go brutalność, wyjątkowa, choć ograniczona

do pewnego poziomu inteligencja i zamiłowanie do powieści Agaty Christie. Kariery Małego, Mrówy i Gołego nie były już tak szczególne. Wszyscy wywodzili się z nizin społecznych, charakteryzowali się zwykłą dla tego stanu siłą przebiccia i hołdowali zasadzie: po trupach do celu. Nadzwyczaj dosłownie.

Dzięki swojej uprzejmości Ivo sprawdziła również cennik niezależnych zawodowych morderców, którzy gotowi byli zająć się typami spod ciemnej gwiazdy. Wedle jej informacji za pozbycie się dwóch mafijnych żołnierzy żądano zaledwie po kilkaset złotych, ale już zamordowanie Mrówy wymagało zebrania przynajmniej kilkuset tysięcy. Mały ceniony był znacznie bardziej – od miliona wzwyż. Dolarów.

Jako ciekawostkę Ivo dołączyła porównawczą notkę dotyczącą mojej skromnej osoby.

„Gdyby ktoś chciał się na przykład pozbyć osoby pokroju Michała Stawińskiego, musiałby dysponować gotówką w wysokości jedynych stu pięćdziesięciu złotych”.

Mimo godziny trzeciej w nocy zadzwoniłem do Ivo, a ta odebrała po pierwszym sygnale.

– Nie śpisz?

– Poza tym, że odbieram durne telefony, to śpię.

– Dlaczego sprawdzałaś, ile jest warte moje dupsko?

– Jak widać niezbyt wiele. Znając twoje skąpstwo, uznałam, że będzie ci szkoda tych milionów na Małego czy Mrówę, więc może w zamian będziesz chciał zlecić własne spektakularne seppuku za jedyne sto pięćdziesiąt złotych.

– Skoro jestem wart tylko tyle, nie powinienem się przejmować, prawda?

– Nie byłabym taka pewna. Oczywiście żaden szanujący się morderca nie schylił się na ten poziom, ale jest wielu mniej wymagających i szukających drogi przebiccia zwyrodnialców.

– Jak wielu?

– Nie potrafisz do tyłu policzyć. Cała masa pistoletów bez sukcesu rzuca się na tego typu zlecenia w poszukiwaniu sławy i referencji.

– Więc nie mogę się czuć bezpiecznie?

– Ludzkie życie jest coraz mniej warte. To mnie pocieszyła.

Gdy odłożyłem słuchawkę telefonu, wiedziałem już, że najwyższy czas skontaktować się z Profesorem. Z samego rana.

Cichcem przemknąłem do sypialni, ale i tak natknąłem się na rozbudzoną Weronikę. Patrzyła bez zrozumienia.

– Do kogo dzwoniłeś?

– Do Ivo.

– O trzeciej w nocy?

– Ona nigdy nie sypia.

Weronika skinęła głową, ale wciąż patrzyła badawczo.

– Czy powinnam o czymś wiedzieć?

– Niby o czym?

– Nie masz przypadkiem żadnych skrzywień? Nie pociągają cię mutanty?

– Poza sprawami zawodowymi, w żadnym wypadku. Skinęła głową, ale nie dała mi się tak łatwo zbyć. Zrobiła krok w moim kierunku i chwyciła mnie za krocze, sprawdzając, czy rozmowa telefoniczna z Ivo wywołała w nim jakąś nadzwyczajną reakcję.

– Masz szczęście – rzekła, a ja liczyłem na to, że dotyk aksamitnej dłoni pobudzi do życia mojego najlepszego przyjaciela, co stanowiłoby dodatkowy dowód mojej niewinności. Przyjaciel jednak schował się głęboko ze strachu przed Małym, Myszkim, Gołym, Mrówą i milionem innych popaprańców.

## 8.

Profesor umawiał się tylko w miejscach publicznych i zadaszonych. W knajpach zawsze wybierał stolik najbliższej toalety, jak najdalej od okna i zasłaniał się „Rzeczpospolitą”, gazetą o formacie, który krył niemal całe jego ciało.

– Jediną wadą tej gazety jest brak możliwości dyskretnego przewracania kartek. Ale z drugiej strony podobno wszystko, co ciekawe, piszą na czołówce.

Nie należał do olbrzymów, a jednak był uważany za jednego z najgroźniejszych ludzi w tym kraju. Perfekcyjny, niezawodny i nie lubiący się powtarzać. Zanim stoczył się na samo dno i poturłał nieco dalej w głębinę wyjątkowo cuchnącego bagna, wykladał etykę na uniwersytecie. Zapytałem go kiedyś, jak może pogodzić dawne przekonania z obecnie wykonywanym zawodem. I wiecie, co odpowiedział?

– Ludzie nie zasługują na to, żeby żyć. Naprawiam świat. To jest głęboko moralna misja.

Trzykrotnie zmieniał tożsamość, nie wylewał ani kropli alkoholu z kieliszków wypełnionych po brzegi i nigdy nie podnosił głosu. Był typem rewolwerowca. Brak tężyzny fizycznej nadrabiał przewagą psychiczną. Wrogom patrzył głęboko w oczy, a jego wzrok był prawdziwym siewcą strachu. Zimne, przenikliwe spojrzenie, które przekazywało tylko jedno przesłanie: za chwilę będziesz trupem. Miałem wrażenie, że mnie lubi, również przez wzgląd na stare czasy i dawną znajomość, ale i tak wołałem w jego obecności poruszać się powoli, a każde sięgnięcie za pazuchę uprzedzać wyczerpującym wyjaśnieniem moich zamiarów.

Mój przyjaciel potrafił być nieobliczalny i nadzwyczaj szybko reagować na zagrożenie. Widziałem, jak kiedyś Profesor podciął gardło bramkarzowi z dyskoteki, który miał ochotę dać mu łomot, a ten zauważył fakt pośpiesznie uciekającego życia dopiero, jak byliśmy trzy przecznice dalej. Na zewnątrz całe zdarzenie wyglądało tak, jakby Profesor chciał jedynie uspokoić

i przeprosić rzekomo obrażonego ochroniarza. Spojrzał mu prosto w oczy, jego ciało zrobiło krok, dłoń oparła się na ramieniu, dłoń cofnęła się, ciało zrobiło krok w bok, żeby uniknąć strumienia tryskającej z krtani krwi i krok do tyłu w moim kierunku, klepnęło mnie w ramię i odciągnęło od umierającego na stojąco bohatera. Oniemiały, stojący trup – czekając na windę do piekła – zastanawiał się, co właściwie się stało.

Profesor siedział teraz tuż przy stoliku wyjątkowo okazałej babci klozetowej w restauracji Giovanni. Chudy, sprężysty i łysy z ruchliwym wąsikiem przypominał Bena Kingsleya. Na mój widok uśmiechnął się, a to nie był częsty widok.

– Pierwszy raz ofiara sama pcha mi się w łapy – szepnęła, ściskając moją dłoń. – Czego się napijesz?

– Piwo – rzuciłem do ładniutkiej kelnerki, która posłała mi całkowicie zniechęcające wysokie spojrzenie. – Jak to ofiara?

Choć Profesor nigdy nie żartował, jakoś przyjąłem jego powitanie jak żart.

– Nic nie wiesz?

– Niby o czym?

– Cóż, nie dalej jak godzinę temu doszła do mnie wieść, że wydano na ciebie wyrok. Myślałem, że to dlatego chcesz się spotkać.

– Poniekąd dlatego, ale nie wiedziałem, że wyrok już został wydany. A przez kogo?

– Wiesz, że nawet gdybym wiedział, nie mógłbym ci powiedzieć. Tajemnica zawodowa. A więc spodziewałeś się takiego obrotu sprawy. Komu załazłeś za skórę?

– Słyszałeś o gangsterze Małym? Robi też w komputerach.

Profesor oderwał znudzone oczy od karty dań i próbował spojrzeć w moje, ale w porę uciekłem przed jego wodnistymi gałkami.

– Mały? Słyszałem, ale to nie on wydał wyrok.

– Skąd ta pewność?

– Mały nie działa w ten sposób. Wici na twój temat poszły w sieci, na jednym z forów militarnych, a Mały nie używa tego kanału. Gdyby to on chciał cię zabić, wynająłby konkretnego

fachowca albo posłał swoich chłopaków, których przecież ma pod dostatkiem. Nie bawi go takie pospolite ruszenie.

Dzięki różnym doświadczeniom wiedziałem, o czym mówi. Większość zleceń dla zawodowych morderców w naszym kraju przechodziła przez Internet. Zamiast podejmować ryzyko spotkań i zdemaskowania swoich planów, klient wystawiał podpisany jednostronnie kontrakt na ofiarę, określając jej dane, czasem zamieszczając zdjęcie, i spokojnie czekał na wykonanie zadania. Rozpoczynało się polowanie. Coś jak dajcie mi głowę Alfredo Garcii. Nie wiem, jak to było rozliczane, ale podobno skuteczność była równie duża, jak liczba pomyłek.

Zabójcy pokroju Profesora jednak działali w starym stylu, tylko z zawodowego zainteresowania śledząc internetowe aukcje.

– Ile jestem wart?

– Na razie tylko tysiąc.

– Aż tyle – mruknąłem. – Moja sekretarka wczoraj zasięgnęła języka i dowiedziała się, że może się mnie pozbyć już za sto pięćdziesiąt.

– Może to ona złożyła zlecenie?

– Nie. Ivo byłaby może do tego zdolna, ale dopiero gdybym rzeczywiście wykitował.

– Zawiedziona kochanka?

– Od roku jestem wierny. No, prawie.

– Co nie znaczy, że nie masz na sumieniu zawiedzionych kochanek. Ale skoro nie wiedziałeś, dlaczego chciałeś się spotkać?

– Tak jak ci mówiłem, obawiam się, że Mały może zechce mnie sprzątnąć.

– Co mu zrobiłeś?

– Sprzedałem jego patent na tańszą produkcję komputerów konkurencji.

Profesor pokiwał głową.

– Zasłużyłeś na śmierć.

– Zrobiłem coś jeszcze gorszego.

– Tak?

– Dałem mu namiary na siedemdziesięcioletnią babkę jako

na niezłego kociaka.

– No to już jesteś trup. Mały najpierw dyma, a potem pyta o wiek. Przynajmniej ostrzegłeś tę babkę?

– Przecież nic jej nie zrobi.

– Nie znasz Małego.

– Chyba teraz rzeczywiście się wkopałem.

– Bez wątplenia. Czego oczekujesz ode mnie? Nadeszła najtrudniejsza część tej rozmowy. Zupełnie niepostrzeżenie, więc naprawdę musiałem zebrać się w sobie, żeby to wydusić:

– Chciałem poprosić cię o ochronę. Profesor popatrzył, jakbym kompletnie ocipiał. Ale zaraz na jego oblicze powrócił obraz bezkresnego znudzenia.

– Przecież ja zajmuję się czymś zupełnie odwrotnym, zapomniałeś?

– Właśnie dlatego do ochrony masz najlepsze predyspozycje.

– Co nie znaczy, że taka praca mnie interesuje. Poza tym, jak miałbym to wyjaśnić w branży?

– Możesz powiedzieć, że zainteresowałeś się zleceniem, ale cena ci nie odpowiadała. Licząc na to, że wzrośnie, postanowiłeś mnie tymczasem poochroniać.

– To ma sens. Ale i tak nie jestem zainteresowany.

– Dobrze zapłacę, poza tym zamierzam cię przekonać jeszcze w inny sposób.

– Jaki?

– Załatwię ci randkę z Magdą.

Czekałem na odpowiedź jedną dziesiątą sekundy. Była krótka i treściwa.

– Zgoda.

Zanim się pożegnaliśmy, wyjaśniłem mu jeszcze, że poza Małym możemy mieć problemy również z Mrówą oraz Interpolem i WSI. Na dźwięk haseł Mrówa i Interpol nawet nie mrugnął, ale kiedy powiedziałem o wywiadzie wojskowym, wyraźnie pokraśniał na obliczu.

– Zaczyna się robić ciekawie. Zawsze chciałem się z nimi zmierzyć. Nie mógłbyś jeszcze podpaść Radiu Maryja?



Przez resztę tygodnia nie wydarzyło się nic ciekawego. Zadzwonił ojciec. Obwieścił, że ktoś ukradł mu kłódkę od garażu, ale nic więcej nie zginęło. W jego głosie pobrzmiwał zarzut, jakbym to ja był winien kradzieży.

– Powinieneś się cieszyć, że to tylko kłódka, a nie samochód – pocieszyłem go.

– Samochód mam ubezpieczony – mruknął. – Wiesz, ile kosztuje dobra kłódka?

– Kocham cię, tato. – I co mi z tego?

W Internecie znalazłem z tuzin Danut Piekus. Była wśród nich terapeutka, analityk giełdowy, członkini bractwa przyjaciół Ukrainy, operator kamery będąca autorką zdjęć do filmu „Rznięcie w tartaku 86”, właścicielka firmy Ekopower oraz pracownica Eskort Girls, spółki zajmującej się luksusowymi usługami towarzyskimi dla biznesmenów.

Pozostałe niczym się nie odznaczały. W sieci zapisały się jako absolwentki tego czy innego liceum, autorki prac magisterskich, a jedna była świadkiem wypadku drogowego w Lubuskiem. Nie miałem pojęcia, o którą mogło chodzić Mrówie i jego cynglom. Jakbym miał typować, postawiłbym na tę od Eskort Girls, bo do takiej najbardziej by mnie ciągnęło. Ale przecież obstawianie wcale nie powinno mnie interesować. W końcu sprawdzałem to nazwisko z nudów, grzebiąc wytrwale w zmęczonym zmienną pogodą nosie.

Zaraz po spotkaniu z Profesorem zadzwoniłem do Reginy Wegner. Miałem duszę na ramieniu z powodu moich dwóch niepoprawnych żartów i szczerze obawiałem się gorzkich wyrzutów siedemdziesięciolatki, na które nie miałbym słowa usprawiedliwienia i które prawdopodobnie wpędziłyby mnie w stan klinicznej melancholii trwającej aż do niedzieli. Na wypadek, gdyby jeszcze nie stało się nic złego, miałem przygotowaną dla niej dwutygodniową wycieczkę do Barcelony, pamiętając, jak operatorka rentgena pragnęła zobaczyć to

miasto. Regina Wegner nie odbierała jednak telefonu i nie miała automatycznej sekretarki, żebym mógł zostawić jej wiadomość.

Interpol nie wpadł jeszcze na mój trop, WSI także milczało, gangsterzy – choć może czaili się gdzieś w ciemnościach – nie rzucali się w oczy, a też nie przejmowałem się ich ewentualną obecnością, dając szczerą wiarę umiejętnościom Profesora. Kto wie, może wokół mnie gęsto ścielił się trup i ląki spływały krwią, a ja o tym nic nie wiedziałem.

W piątek zadzwoniła Magda, która nie mogła doczekać się już końca kwarantanny.

– Dzwonili z Interpolu? – zapytała szeptem.

– Nie.

– Cholera, może trzeba byłoby im dać znać, gdzie cię szukać, żeby to się wreszcie skończyło. Wymyśliłeś bajeczkę?

– Coś tam mam – przez chwilę zastanawiałem się, czy powiedzieć jej o WSI, Mrówie, Małym i innych sprawach, ale uznałem, że lepiej się nie wychylać. Przynajmniej nie przez telefon.

– Pracujemy nad czymś?

Lubiłem jak mówiła: pracujemy, nawet jeśli nie przykładała do tego palca.

– Mamy kilka spraw, ale chyba nie chciałabyś o nich wiedzieć.

– Aż tak dobrze?

– Znakomicie.

– Chciałabym cię już zobaczyć.

– Ja też za tobą tęsknię.

Zaraz potem dostałem esemesa od Oli Klaus, mojej byłej żony. Niedługo po rozwodzie wyszła za byłego kierowcę wyścigowego, który obecnie prowadził sieć agencji nieruchomości i był obrzydliwie bogaty. Treść nie była szczególnie wyczerpująca: „?” i oznaczała, że Ola prosi mnie o telefon. Byłem zmuszony do niej oddzwonić i jak zwykle chodziło o naszego syna Jacka.

Bóg mi świadkiem, że nie mam nic do dzieci i że chciałbym pokochać własnego syna. Ale ten dzieciak zupełnie nie

zachowywał się jak mój syn. Podejrzywałem nawet, że nim nie jest, ale wykonane ukradkiem badania genetyczne wykazały jednoznacznie, że się myliłem. Trzeba było się z tym pogodzić i spełnić rodzicielski obowiązek. W filmach zwykle jest tak, że kochających ojców próbuje się oduczyć rodzicielskich instynktów, uniemożliwiając im widzenia z pociechami. To filmy. Moja rzeczywistość wyglądała tak, że od czasu do czasu Ola Klaus na siłę wciskała mi naszego syna Jacka i gdybym nie upierał się do zwrotu przesyłki po spędzeniu z nią kilku uroczych chwil, prawdopodobnie zapomnieliby o jej istnieniu.

– Dlaczego nie dzwonisz? Jacek ciągle o ciebie wypytuje.

– Przepraszam, mam dużo pracy – odpowiedziałem polubownie, nie wiedząc, czy czasem nie nagrywa.

– Weźmiesz go na weekend?

Mój ukochany syn Jacek. Wykopywał dziurę w piaskownicy i mówił:

– Może jakieś dziecko w nią wpadnie i złamie nogę. Albo ukradkiem rozsypywał gwoździe na drodze, śmiał się, trzymając za boki, gdy inne dziecko przewracało się na chodniku, gołą ręką zabijał osy i z rozrzewnieniem wpatrywał w ukąszenia, które nie czyniły mu szkody. Mój sześciolatek, socjopata z zadatkami na seryjnego mordercę. Czasami myślałem, żeby oddać go na wychowanie Profesorowi.

– Pewnie – powiedziałem więc Oli. – O niczym innym nie marzę.

Weronika była zachwycona perspektywą spędzenia kilku niezapomnianych rodzinnych chwil z moim synem. Prawdę mówiąc, też się cieszyłem, licząc, że obcowanie z Jackiem wybije jej z głowy macierzyństwo. Pomyślałem, że może powinienem wziąć go ze sobą na sześćdziesiąte urodziny jej ojca. Pewnie nasikałby do wazy z kompotem albo poprzebijał opony w samochodach gości, a potem wypchał kieszenie ich płaszczy papieskimi kremówkami.

W sobotę poszliśmy do zoo, gdzie liczyłem, że wpadnie do zupełnie niezabezpieczonego (jeśli nie liczyć tabliczki, że wpadnięcie do dołu grozi śmiercią, czego przykładem są trzy ubiegłoroczne ofiary i przypadek z zeszłego tygodnia chłopca,

który stracił rękę) wybiegu niedźwiedzi brunatnych. Bałem się jednak go popchnąć, bo co by było, gdyby się dogadał z bestiami i w takim towarzystwie zechciał następnie uciąć sobie ze mną pogawędkę.

Nic takiego się nie stało, za to sprowokował małpy. Jedna z nich obsikała moje spodnie od Armaniego i buty Carlo Rossi. Weronika pokładała się ze śmiechu i pieszczotliwie czochrała mojego syna po główce.

Odstawiliśmy go Oli około siódmej. Stanowczo za wcześnie, gdyż zaraz zaczęła mówić o zaległych alimentach.

Wkrótce po serdecznym rozstaniu z moją byłą poszliśmy na wyjątkowo wyuzdany francuski film nowej fali, po którym Weronika szepnęła mi do ucha, że ma ochotę, żebym wydymał ją we wszystkie dziurki. Ostatecznie jednak, mimo mojego szczerego pragnienia uczynienia zadość jej życzeniu, udostępniła tylko jedną, najzupełniej standardową.

Ponieważ wypilem pół butelki Finlandii, ćwiartkę rumu do herbaty i dwa niepozorne koniaczki w kinowym barze, a ponadto byłem w formie, obrabiałem ją przez bite trzy godziny, aż w końcu straciłem czucie w biodrach i poczułem się jak eunuch.

Gdy Weronika zasnęła, wszedłem do Internetu i przez godzinę czytałem blogi nastolatków z Powiśla, którzy założyli klub gwałcicieli na wzór pewnej japońskiej sekty. Dzieciaki podrywały laski na ładne oczy i zapewnienia o wielkiej miłości, a potem dzieliły się z kolegami.

W niedzielę rano znudził mi się rodzinny wypoczynek i pod pozorem pilnego wezwania udałem się do pracy. Weronika nawykła do nagłych wezwań w swojej profesji nie zwietrzyła podstęp. Choć może po prostu nie chciało jej się przerywać jakiegoś perwersyjnego snu, który wywołał rumieniec na twarzy i stłumione jęki z wysuszonej krtani.

Tuż po wejściu zadzwoniłem do Kuby i zaraz tego pożałowałem. Zdążyłem powiedzieć cześć, gdy odłożył słuchawkę.

– Kuba, to ja – powiedziałem w drugim podejściu, ale on znów walnął słuchawką o widelki.

Za trzecim razem to Kuba odezwał się pierwszy:

– Nie chcę z tobą gadać, czy to jasne? I oczywiście rozłączył się.

W czwartym podejściu był gotów do rozmowy. Przez chwilę obaj milczeliśmy.

– Przepraszam za Reginę, to był żart – powiedziałem w końcu.

– Żart? Czy ja zasłużyłem na tak okrutną zemstę? Czy ty jesteś człowiekiem?

– Co się stało?

– Jeszcze pytasz, skurwysynu? Po dłuższej wymianie uprzejmości Kuba wyjaśnił mi w końcu, że zadzwonił do Reginy zaraz po tym, jak się rozstaliśmy i umówił się z nią jeszcze tego samego wieczoru. Jej głos wydał mu się nieco przywiedły, ale uznał, że to jeden z nielicznych czynników ubocznych. Jak zobaczył panią Wegner, miał ochotę powiadomić swoich przyjaciół z czerwonych brygad, że ma na pieńku z wyjątkowo podłym kapitalistycznym sukinsynem – detektywem z Polski. Ale kiedy pogadał przez godzinę z dowcipną operatorką rentgena, natychmiast mi wybaczył. Nie wiedział wówczas, że wkrótce będzie miał wątpliwą przyjemność spotkać groźnego gangstera niewielkiego wzrostu.

Pomógł Reginie w wyniesieniu śmieci, zrobił zakupy, a ona pozwoliła mu zostać na noc i udała się na dyżur do szpitala.

– O dwunastej, kiedy przeżywałem pewien radosny sen, odezwał się dzwonek do drzwi, chyba musiał dzwonić bardzo długo, bo facet, któremu otworzyłem, był już zniecierpliwiony. Miał ze sobą bukiet róż i próbował zajrzeć mi przez ramię. I wyobraź sobie, że ten gość mówi, że chce się spotkać z jakąś Piekus, o której nigdy nie słyszałem. A kiedy mu powiedziałem, że tu taka nie mieszka, wali mnie w jaja tak mocno, że odbiera mi oddech, przystawia wielki jak chuj pistolet do czaszki (PISTOLET, ROZUMIESZ, CO MÓWIĘ! ! ! ) i każe spadać w podskokach. Ale kiedy orientuje się, że w mieszkaniu nikogo poza mną nie ma, zmienia zdanie i pyta mnie, gdzie jest ta Piekus. Zgodnie z prawdą odpowiadam, że nie mam pojęcia, na co on zerka na jakiś karteluszek, upewniając się, że dobrze trafił i tłumaczy mi zwięźle, że jeśli mu nie powiem, gdzie jest pani Piekus, to zamiast niej zaraz mnie wydyma. – I co?

– Jak powiedział, tak zrobił. Boże, co za potwór z tej twojej starej, bo to chyba jej sprawka.

– Nie do końca. – A więc twoja?

– Też nie. W każdym razie nie tak, jak myślisz.

– Myślę, że zupełnie nie masz pojęcia, co myślę.

I odłożył słuchawkę. Zdaje się, że straciłem przyjaciela. Przynajmniej na jakiś miesiąc czy dwa, kiedy obrazi się na wszystkich pozostałych i wkroczy na sinusoidę darowania win. Na wszelki wypadek do grona potencjalnych wrogów należało dopisać czerwone brygady.

W poniedziałek rano umówiłem się z Magdą. Przyszła w dużych czarnych okularach, które zasłaniały niemal całą jej twarz. Ponieważ przygrzało do trzydziestu pięciu stopni, niewiele więcej zakrywała, co – wskutek sobotnich harców z Weroniką i własnej nadpobudliwości – bolało mnie jak cholera. Ja byłem w popielatych spodniach od garnituru i bawełnianej grafitowej koszuli z krótkimi rękawkami. Miałem ze sobą teczkę z dwoma pistoletami i granatem.

– Już wiedzą – szepnęła.

– Kto?

– Interpol. Wezwali mnie wczoraj, mimo niedzieli. Dwóch niemiłych facetów, którzy rozmawiają wyłącznie po francusku.

– To dobrze. Nie znam francuskiego.

– Mają tłumacza. Ciągłe próbował zajrzeć mi za dekollet. Pchało mi się na usta, czy mu pokazała, ale ugryzłem się w policzek, choć zamierzałem w język.

– Co im powiedziałaś?

– Że to ty poprosiłeś mnie o znalezienie Bolsa, ale nie wiem dlaczego. Powiedzieli, że jeśli coś ukrywam, mogę pożegnać się z pracą.

– Ale przecież niczego nie ukrywasz.

– Jeśli dojdą do innego wniosku, zastrzelę się, ale wcześniej ciebie – mówiła, zdaje się, poważnie. – Ta praca to całe moje życie.

– Też tak kiedyś mówiłem.

– Lepiej wymyśl jakąś dobrą bajeczkę. A teraz opowiadaj.

Zrelacjonowałem jej wszystko, co zdarzyło się od poniedziałku. Zachichotała, kiedy doszedłem do sprawy afery i Chudego.

– Ten artykuł wywołał niezłe zamieszanie. Nie wiedziałam, że to nasza sprawa.

Tak, NASZA. Powiedziałem jej o pijaństwie z Kubą, porwaniu przez Myszkina i Gołego, pogłoskach o Mrówie, zetknięciu z

Małym, wizycie u Sadowskiej i spotkaniu z Profesorem. Oraz przewidywalnym, zmierzającym ku tragedii obrocie spraw.

– Czy ty jesteś całkowicie pojebany? – westchnęła. Skrupulatnie zapisywała hasła w notesie. – Nie można cię zostawić na tydzień, żebyś nie wywołał trzeciej wojny światowej albo chociaż jakiegoś zupełnie fantastycznego incydentu międzygalaktycznego?

Wspomniałem jej też o wizycie Jacka.

– Diabełek w formie?

– Jak zwykle. Zabił szczura w kuchni.

– Tego, którego zdecydowałeś się hodować, gdy wszystkie mordercze zakusy spaliły na panewce?

– Dokładnie. Nawet go polubiłem. Biedaczek. Jakiś rok temu z piwnicy do mojej kuchni przedostał się szczur. Przegryzł ścianę z betonu i panoszył się za wymyślnymi zdobieniami. Mimo że poodrywałem boazerię, poprzesztawiałem meble, zalepiłem dziurę wapnem ze szklami i wyłożyłem trutki, szczur przedostawał się i buszował w najlepsze przez kilkanaście miesięcy. W końcu przyzwyczailem się i zaakceptowałem jego obecność. Dałem mu na imię Rupert.

Miał wyjątkową zdolność przetrwania. Nie był tylko przygotowany na pojawienie się Jacka. – W jaki sposób zginął?

– Skąd mam wiedzieć. Z Jacusiem nie zdążyliśmy pogawędzić o Rupercie, bo oddałem małego mamie, zanim zauważyłem, co stało się ze szczurem. Po powrocie z kina znaleźliśmy go przy śmietniczce w butelce po kefirze. Ale wyglądało na to, że wcale nie znalazł się tam przypadkiem ani też na siłę wtrącony przez Jacka. Jakby z przerażenia popełnił samobójstwo.

– Nie dziwię się.

Pożegnałem się z nią na tyle czule, na ile pozwalały pozory.

Dwie godziny później w drzwiach mojego gabinetu pojawili się funkcjonariusze Interpolu wraz z tłumaczem. Obaj gliniarze byli wielcy jak mamuty, zmęczeni i ubrani w nieprzewiewne garnitury.

Upał dał im się we znaki. Przedstawili się jako Cranbery i Grand. Tłumacz, przebiegły mały typ w lekkich spodniach i koszulce polo, nie wymienił swojego nazwiska. Po przydługim



wstępie, w którym wyjaśnili, czym jest Interpol i dlaczego jego misje są tak ważne dla bezpieczeństwa całego świata oraz nas tu zebranych, przystąpili do sesji z pytaniami. Tłumacz wyjął z kieszeni dyktafon. Nie zapytał, czy może nagrywać.

– Dlaczego sprawdzał pan mister Bolsa? – przełożył tłumacz pytanie Cranbery’ego.

Wyjaśniłem, że w drodze powrotnej z Szarm Bols przykuł moją uwagę, a potem spotkałem go w Amsterdamie i przeprowadziłem z nim kilkugodzinną rozmowę, która wprawiła mnie w zakłopotanie, a potem zaniepokoiła.

– O losy całego świata i moje osobiste, w szczególności – dodałem znacząco.

– Co tak pana zaniepokoiło?

– Mister Bols dużo mówił o cierpieniu. Początkowo wydało mi się to całkiem naturalne, w końcu dopiero co przeżyliśmy koszmar zamachów, na dodatek w potwornym upale. Potem jednak zauważyłem, że mój rozmówca czerpie z tych wspomnień nie do końca dla mnie zrozumiałą przyjemność.

Agenci popatrzyli po sobie, zaszeptali i powiedzieli niemal jednocześnie jedno słowo po francusku, które brzmiało nadzwyczaj seksownie. Jakby to słowo miało genezę w ich szczególnym alfabecie.

– Przyjemność? – przetłumaczył tłumacz, rumieniąc się na policzkach.

– Tak – pokiwałem głową z udawaną zadumą. – Najwyraźniej cała nasza rozmowa była jak bilet na pociąg wspomnień, które wydawały się być dla Bolsa niezwykle wartościowe. Wyglądał jak dziecko, które nagle odnajduje zagubioną zabawkę i nie jest w stanie się od niej oderwać. Potem znów ją wyrzuci, zgubi, ale w tej chwili tylko ona jest ważna.

Agenci, mimo włączonego dyktafonu, zaczęli zapisywać coś gorączkowo w notesie. Wyglądali na zachwyconych. Postanowiłem więc kontynuować.

– W pewnej chwili powiedział do mnie bardzo zastanawiające zdanie. Nie pamiętam dokładnie, ale chodziło o to, że zawsze tuż przed eksplozją bomby człowiek słyszy oszałamiający świst.

Zapytałem mister Bolsa, czy miał już do czynienia z bombami, a on odpowiedział bardzo zagadkowo: nie raz, przyjacielu, nie raz. To tyle.

– Tyle?

– Tak. Rozstaliśmy się. Ponieważ jestem detektywem, uznałem, że należy sprawdzić tego człowieka, zanim podejmie się jakieś pochopne kroki, typu zawracanie głowy policji.

– Ależ to żadne zawracanie.

– Tyle się słyszy o różnych wariatach, którzy przeszkadzają w pracy organom ścigania fałszywymi donosami. Nie mogłem pozwolić na to, żebym stał się jednym z nich. Moja reputacja by na tym ucierpiała.

– Oczywiście, mimo to szkoda, że nie podział pan nos. Podobno detektywi potrafią zwietrzyć spiszek nawet tam, gdzie go nie ma.

– Właśnie.

– Tym razem jednak miałby pan swojego nosa.

– Chcecie powiedzieć, że Bols miał coś wspólnego z zamachami w Szarm?

Jeden z agentów wzruszył ramionami. Z ociąganiem sięgnął do neseseru, pogrzebał i wyjął kartkę A4. Był to wydruk komputerowy zeskanowanego zdjęcia oczyszczonego ze skaz. Przedstawiał misiwatego faceta, którego spotkałem w Amsterdamie.

– Czy to mister Bols?

– W każdym razie tak się przedstawił – odparłem, domyślając się, że doszedł do nich sygnał o moim telefonie do prawdziwego Bolsa.

Agent pokiwał głową. Wyjął kolejne zdjęcie. Przedstawiało zniszczony hotel w jakiejś tropikalnej scenerii. Mogło to być Szarm, ale równie dobrze setka innych miejscowości. Na tle rumowiska widnieli arabscy żołnierze w czarnych mundurach oraz gromadka gapiów. Agent wskazał długopisem rozmazaną postać. Następnie wyjął kolejne zdjęcie.

– To powiększenie po obróbce komputerowej – wyjaśnił.

Zdjęcie przedstawiało misiwatego faceta bliźniaczo podobnego do fałszywego Bolsa.

– To jeszcze o niczym nie świadczy – mruknąłem.

– To nie – agent pogmerzał w neseserze i wyjął całą serię fotek. Przerzucałem je z rosnącym zdumieniem. Zdjęcia pochodziły z różnych stron świata i na każdym z nich pojawiała się postać sobowtórów Bolsa.

– Boże.

– Boże – przytaknął agent i pośpieszył z wyjaśnieniami. – Ta fotka przedstawia Londyn dwa tygodnie wcześniej. Pan Bols przed wejściem do stacji metra. Godzinę później wybuchnie tam bomba. Kolejne zdjęcie – Madryt, dworzec autobusowy, rok temu. Mister Bols przed zabytkami, które zaraz nie będą już takie piękne. A to na koniec.

Ostatnie zdjęcie przedstawiało dwa wysokie wieżowce. W jeden z nich właśnie wbijał się pasażerski samolot. Drugi już dymił. Kilkanaście minut później oba miały zniknąć z powierzchni ziemi, zabierając z sobą kilka tysięcy istnień.

– Nowy Jork, 11 września 2001 roku. A tu widzi pan mister Bolsa.

Muszę powiedzieć, że udało im się mnie zaskoczyć. Nie wiem, czy zaszokować, ale zaskoczyć na pewno. Kilka zamachów w różnych stronach świata i wszędzie zdjęcie mojego nowego przyjaciela Bolsa. Zawsze miałem szczęście do popaprańców.

– Cóż, jak widać mister Bols lubi się fotografować – wtrąciłem niepewnie, nie bardzo wiedząc, czy mogę sobie pozwolić na żarty.

– Istotnie, prawdziwy z niego model – agent dorzucił dalszą serię zdjęć.

Bejrut, Pakistan, Indonezja. W pewnym momencie zacząłem zastanawiać się, czy się ze mnie nie nabijają, więc poprosiłem agentów o okazanie legitymacji służbowych. Kto wie, czy za chwilę któryś z nich nie warknie do mnie: jesteś w ukrytej kamerze, niszcząc moją świetnie zapowiadającą się karierę. Wyciągnęli je bez ociągania i wyglądały nadzwyczaj autentycznie. Jeśli były podrobione, to nie przez telewizyjnych partaczy. Choć z drugiej strony, nigdy dotąd nie widziałem identyfikatorów Interpolu.

– Nieprawdopodobne, prawda?

– Nieprawdopodobne – przytaknałem. – Dlaczego go jeszcze nie złapano?

Agent wzruszył ramionami.

– Jego zdjęcia znajdują się w każdej zapchlonej budce odprawy paszportowej. Wszystkie posterunki policji w stu piętnastu krajach dysponują tą podobizną. Niekiedy nawet poszukujemy go przez anonse w mediach. Mimo wszystkich tych prób nigdy nie udało nam się go zatrzymać. Jest jak duch.

– Myślą panowie, że mogą wam pomóc?

– Nie – agenci pokręcili głowami wraz z tłumaczem. – Ale pan pierwszy dał nam pośrednie świadectwo związków mister Bolsa z zamachami. To niezwykle cenne.

Pochyliłem głowę zawstydzony. Żebym jeszcze powiedział prawdę.

Agenci i tłumacz wręczyli mi swoje wizytówki, po czym oświadczyli, że mogą zapewnić mi ochronę, stawiając pod blokiem czołg ONZ, jednocześnie odradzając takie rozwiązanie, gdyż jeszcze nigdy w historii jeden czołg nie rozwiązał problemu o skali globalnej. Przyznałem im rację i stwierdziłem, że czołg nie wpłynie na spokój moich snów, może za to poważnie zdenerwować sąsiadów.

– I tak mam już z nimi na pieńku – wyznałem z rozbijającą szczerością.

Agenci zebrali się do wyjścia, a tłumacz nachylił się nade mną, wysepił papierosa, po czym powiedział szeptem, że w dalszych planach mają zamiar pójść na dziwki i czy nie chciałbym się z nimi zabrać.

– Po tym co usłyszałem? – zażartowałem i poklepałem go przyjacielsko po plecach, życząc miłej zabawy.

Tłumacz uśmiechnął się niezręcznie.

– Jako detektyw ma pan pewnie do czynienia z przedstawicielkami tej szacownej profesji.

– Owszem.

– Nie mógłby pan nam czegoś polecić, bo prawdę mówiąc w tych sprawach moje doświadczenie wydaje się znikome, a kwestia jest zdecydowanie międzynarodowa?

Dałem mu namiar na najlepszego alfonsa w mieście, nie

wspominając jednak, że jego owieczki – poza mistrzowskimi umiejętnościami w wiadomym fachu – mają niezwykłą zdolność ogałania klientów z zawartości portfeli. Jak już szargać imię Polski, to na całego.

Rano ponownie zadzwonił ojciec.

– Kolejny raz ukradli mi kłódkę – powiedział bez wstępuw.

– Przykro mi tato, ale nie mogę przyjechać. Zajmuję się teraz międzynarodową aferą.

– Co mnie obchodzi międzynarodowa afery? I tak pewnie jej nie rozwiążesz, więc zamiast trwonić czas, mógłbyś zająć się moimi złodziejami. W końcu jesteś detektywem.

– Od spraw gospodarczych – wtrąciłem pośpiesznie. -Akłódky to nie gospodarka? Obiecałem, że przyjadę, jak tylko będę mógł. Weronika od dwóch dni była zawałona pracą i zmęczona, więc nie dpuczyłem od ponad sześćdziesięciu godzin. Zdarzały mi się już w życiu dłuższe okresy wstrzemięźliwości, ale od kiedy związałem się z Weroniką, moje życie seksualne stało się nadzwyczaj ustabilizowane. Poza zupełnie wyjątkowymi sytuacjami, jak wyjazdy służbowe do takiego Szarm, gdzie radziłem sobie rękodziełem lub ochoczą pomocą różnej maści dam do towarzystwa, przynajmniej raz dziennie oddawałem pokłon boskim kształtom mojej ukochanej.

Przez godzinę bawiłem się komputerowym programem, pozbawiając odzienia Magdę, a właściwie jej zdjęcie, co mnie podnieciło na tyle, że musiałem się przewietrzyć.

Było przed dwunastą, nie wypadalo się urznać, jednak na rogu Karowej zobaczyłem wyjątkowo przygnębionego żula, którego postanowiłem zaprosić na piwo.

Wydawał się nieco wystraszony i bardzo nieufny, mimo że odpowiedziałem twierdząco na jego pytanie, czy przypadkiem nie jestem aniołem. Dlatego pierwsze piwo wychylił duszkiem, gdybym miał zamiar zaraz pozbawić go życia. Drugie wysączył do połowy i zdecydowanie spokojniejszy zaczął zastanawiać się nad sensem życia.

Pokazał mi zdjęcie swojej szesnastoletniej córki, której nie widział od prawie roku. Matka zabroniła mu jej widywać, co uznałem za całkiem zasadne, gdyż po kolejnym piwie był gotów

mi ją sprzedać za skrzynkę czystej. Choć małolata była całkiem do rzeczy, odmówiłem, bo byłem prawie pewien, że mój nowy przyjaciel nie ma żadnych praw własności do owej szesnastolatki, więc skrzynka wódki poszłaby w błoto.

Gdy później spacerowałem po parku, dobiegł mnie jakiś aksamitny głos wołający:

– Michaś, Michaś, czy to ty?

Wołała trzydziestoletnia kobieta z wielkim dwuosobowym wózkiem, której za Chiny nie mogłem sobie przypomnieć, ale najwyraźniej ona pamiętała mnie całkiem dobrze.

– To jest Pawełek, a to Romek – wskazała najpierw na lewo, a potem na prawo.

– Bliźniaki – stwierdziłem z zadowoleniem, że zupełnie nie są do mnie podobni i uspokoiony tym spostrzeżeniem próbowałem zrobić jednemu puci-puci, ale wydarł się jakby zobaczył Godzillę.

– Czasami są nieufni w stosunku do obcych.

– Znając siebie, wcale się nie dziwię. Zachichotała w taki sposób, jakbym powiedział żart stulecia, a nie banalną przygrywkę. Pomyślałem, że gdybym wypił jedno piwo więcej i wyłączył wszystkie ludzkie odruchy, mógłbym ją teraz zerznąć w pobliskich krzakach na oczach bliźniaków. Ale może właśnie wypilem o jedno piwo za dużo, skoro pojawiła się taka myśl. Poza tym włączył mi się straszak zainstalowany przez Weronikę i postanowiłem czym prędzej wrócić do biura i zaspokoić się w toalecie przy lekturze świerszczyka o dźwięcznym tytule „Dam Dam” .

Ivo siedziała już w sekretariacie. Powinna przyjść dużo wcześniej, ale być może miała zły dzień. Tak, była wyjątkowo posępna. Pewnie nasza superglina znów jej dopiekle.

– Co u Magdy?

– Nie żyje.

– Nie żartuj.

– Mówię poważnie, ona nie żyje – powiedziała niemal ze łzami w oczach.

– Widziałem Magdę kilkanaście godzin temu, miała zadzwonić...

Ivo odrzuciła gazetę.

– Czy gdyby chodziło o Magdę, tak bym wyglądała? Sadowska, o niej mówię. Dorwali ją.

– Rozumiem. Przykro mi – próbowałem przybrać minę skruszonego, ale niespecjalnie mi to wyszło. Spokojnie, najpierw poznajmy wszystkie okoliczności. – Jak to się stało?

– Przejechał ją samochód.

– No tak – pokiwałem głową. Kolejny nieszczęśliwy przypadek? Tylko jak to wytłumaczyć mojej sekretarce?

– Sprawca zbiegł – szepnęła.

– Dość często się to zdarza. Pewnie teraz zgłasza kradzież samochodu.

– Auto znaleziono w lesie. Spalone.

– Cóż, lepiej w ten sposób zatrzeć ślady. Ale posłuchaj, to wcale nie musi być sprawka mafii.

– Jak to?

– Wypadki się zdarzają.

Po raz pierwszy doszło do niej, o co mi chodzi.

– Jednak jesteś skurwysynem.

– Chcę tylko powiedzieć, że nie każdy wypadek jest od razu wykonaniem wyroku śmierci. A już szczególnie wypadek samochodowy.

– Tak, a już szczególnie, gdy sprawca ucieka z miejsca wypadku, ale wcześniej jakby nie zauważył całego zdarzenia, cofa się i przejeżdża po raz drugi martwe już ciało przypadkowej ofiary. Ajego pasażer, żeby ulżyć cierpieniu potrąconej kobiety, wybiega z kałasznikowem i posyła jej cały magazynek, robiąc z serca ser szwajcarski. Rzeczywiście, wypadki się zdarzają.

– Przepraszam, nic nie mówiłaś o kałasznikowie.

– Sadowska zginęła potrącona przez samochód, reszta nie ma przecież znaczenia.

Była wyraźnie podłamana i to całkowicie szczerze. U byłej bokserki i czynnej zawodniczki walk w klatkach to rzadka przypadłość. Musiałem coś zrobić.

– Nieprawda, ma – powiedziałem.

– Co masz na myśli?



- Spróbujemy złapać tych drani.
- My?
- Tak, my.
- Mówisz poważnie?
- Najzupełniej.

Ivo uśmiechnęła się smutno. No to udało mi się ją teraz pocieszyć. Trzeba by się tylko zastanowić, jak tu dalej zatrzeć ślady, żeby sprawa okazała się nierozwiązywalna.

Starając się przekonać Ivo o szczerości moich dobrych chęci, zacząłem dzwonić po Danutach Piekus. Na pierwszy ogień wybrałem Eskort Girls, gdzie powiedziano mi na wstępie, że firma zajmuje się tylko porządnymi, ekskluzywnymi i wyrafinowanymi usługami dla wyższych sfer.

– Właśnie do takich się zaliczam – odparłem, czując coś w rodzaju dumy, gdy uzmysłowiłem sobie, że owo wyznanie zabrzmiało nie tylko wyjątkowo naturalnie, ale też szczerze.

Recepcjonistka zapewniła, że wszystkie ich dziewczęta porozumiewają się w przynajmniej trzech językach, a najlepsza zna ich 21. Nazywają ją Oczko.

Najbieglej porozumiewają się po francusku, a przy tym zupełnie nie gestykują, jeśli wiem, co ma na myśli. Powiedziałem, że owszem, jednak ten język jest mi zupełnie obcy, na co odparła, że dziewczęta są znakomitymi nauczycielkami.

– Interesuje mnie pani Danuta Piekus. Recepcjonistka na chwilę zaniemówiła, a potem powiedziała chłodno:

– Łączę.

Danuta Piekus szybko przeszła do rzeczy.

– Biorę trzysta dolców za godzinę, tysiąc za całą noc. Żadnych fanaberii ze zwierzętami, chyba że chodzi o ogiera, ale tylko czarnego, żadnych hulank w mrowisku, żadnych dzieci. Numerek w kakao dodatkowo dwieście dolców, poza tym wszystko w cenie. Bicze, przypalanie woskiem, żyletki, co tylko sobie zażyczysz, kotku.

– A gdybym chciał tylko pogadać?

– Zadzwoń do mnie na 0-700. I odłożyła słuchawkę. Przeczucie mówiło mi, że to nie o tę Danutę Piekus chodziło Mrówie, Myszkiniowi, Gołemu i ich nieznanemu zleceniodawcy.

Następna w kolejce była terapeutka. Zajmowała się masażami leczniczymi. Sesja godzinna kosztowała dwieście pięćdziesiąt złotych.

- Po azjatycku plus stowa – powiedziała.
- Jak jest po azjatycku?
- Ze wszystkim.
- Jak to ze wszystkim?
- Ze wszystkim – podkreśliła. – Oczywiście z prezerwatywą.
- Rozumiem.

Kolejna dziwka. Nie mogłem być tego pewien, ale chyba ponownie źle trafiłem.

Przyjaciółka Ukrainy była nieosiągalna, ponieważ w ramach dobrosąsiedzkiej współpracy robiła dobrze parlamentarzystom na Litwie. Z kolei operatorka kamery i autorka zdjęć do „Rznięcia w tartaku 86” przebywała aktualnie w Hollywood, gdzie kręciła profesjonalnego pornosa i nie była osiągalna.

Piekus, analityk giełdowy, zapytała mnie, czy mam coś wspólnego z „tym Stawińskim”.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparłem, nie bardzo wiedząc, o jakiego Stawińskiego chodzi.

– W takim razie możemy porozmawiać. Powiedziałem jej, że jestem prywatnym detektywem i mam powody przypuszczać, że może grozić jej niebezpieczeństwo, na co pani Piekus odparła, że znalazłem całkiem niezły sposób na podryw. Co prawda w tej chwili spotyka się z wiceprezesem giełdy papierów wartościowych, ale w wolnej chwili może znaleźć czas dla detektywa. Muszę jednak pamiętać, że żeby się z nią umówić, powinienem najpierw zamówić kolację w dobrej restauracji i rezerwację apartamentu w Bristolu. Podkreśliła: „apartamentu”.

– Czy wszystkie Danuty Piekus to dziwki? – zapytałem Ivo, która właśnie podawała kawę.

– Może wszystkie mają wrażenie, że rozmawiają z alfonsem.

Ta Ivo. Szkoda gadać.

Numer do właścicielki firmy Ekopower wybrałem od niechcienia. Próbowałem w Internecie znaleźć jakąś informację na temat spółki, ale dla tego kanału dystrybucji wiedzy była dziewczyna. Ekopower? Może to znaczy ekologiczne rznięcie?

– Słucham? – metalicznie brzmiący głos był jakoś wrogo nastawiony. Nie wiem, dlaczego nabrałem takiego przeświad-

czenia, ale możecie zaufać moim przeczuciom.

– Z panią Piekus proszę.

– Moment.

Zmęczony głos odpowiedział po dłuższej chwili.

– Tak?

– Nazywam się Stawiński – zacząłem i wyjaśniłem, że jestem z firmy zajmującej się wywiadem gospodarczym, ale w tej chwili pracuję nad sprawą kryminalną, więc powinna wiedzieć, że rozmawia z prawdziwym detektywem. Takim jak na filmach.

– Niczego ode mnie nie dostaniecie – przerwała mi pani Piekus.

– Ależ...

– Tanie groźby nie robią na mnie wrażenia.

– Ale ja nie mam zamiaru.

– Jeśli jeszcze raz pan zadzwoni – przerwała mi kobieta – wezwę policję. Możecie mnie straszyć, ale nic nie uzyskacie. Nic, słyszy pan?

W słuchawce zadudnił pulsujący dźwięk przerwane połączenia. Zdaje się, że znalazłem swoją Piekus. Ivo była wyraźnie podekscytowana, kiedy zrelacjonowałem treść niedawnej rozmowy czy raczej próbę jej nawiązania.

– Uspokój się, nie musi to znaczyć, że jest jakoś powiązana z Sadowską.

– Mam przeczucie.

Zapewniła, że natychmiast zacznie szukać informacji na temat TEJ Piekus i jej firmy. Ale najpierw musimy załatwić coś jeszcze.

– Co takiego?

– Za chwilę odbędzie się sekcja zwłok Sadowskiej. – I co z tego? Przecież i tak nas nie wpuszczą.

– Ne, ne, ne – pokręciła palcem. To znaczy paluchem. – Sadowska przekazała swoje ciało Akademii Medycznej. Możemy uczestniczyć w sekcji jako wolni słuchacze. Kosztuje po sto złotych od osoby.

– To może pójdzie jedno z nas? – zasugerowałem.

– Nie bądź sknerą.

Sala do sekcji zwłok w klinice na Banacha wyglądała jak na filmach z Frankensteinem. Wysoka na dwa piętra, mroczna i zadymiona z powodu bliskości palarni dla studentów. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego lekarze tyle jarają. Przecież sami wymyślili, że papierosy są trujące. A może właśnie dlatego? Może to wszystko zgrabna bajeczka, żeby koncerny tytoniowe zbiły kapuchę na owocach zakazanych i instynktach samobójczych zbuntowanej młodzieży?

Zapaliłem z dwoma długonogimi blondynami. Nie zwracając uwagi na moją skromną osobę, licytowały, który z ich kochanków ma większego. Szczerze mówiąc, liczyłem na nawiązanie luźnej, towarzyskiej znajomości, ewentualnie zakończonej niezobowiązującym tête-à-tête w toalecie dla personelu, ale kiedy w swoich opisanych wyżej rozważaniach doszły do długości pół metra jako optymalnej, stwierdziłem, że moje nadzwyczaj pospolite osiemnaście centymetrów i czterdzieści trzy milimetry (i pół) nie ma czego tu szukać.

Ivo była zdegustowana, gdy pojawiłem się koło niej.

– Już się pośliniłeś?

Chyba nie trafiła na mój dobry humor, bo postanowiłem jej dopiec, zanim ugryzłem się w język.

– Powiedz, jak ty możesz wytrzymać bez seksu? To spojrzenie wystarczyło zobaczyć tylko raz, żeby przy następnej okazji zmiatać w podskokach. Ostatnio, kiedy nie zdążyłem, poluzowała mi dwa zęby trzonowe, a wyglądało, jakby uderzała od niechcenia.

– Jesteśmy w miejscu publicznym – ostrzegłem.

– I co z tego?

– Chyba nie uderzysz mniejszego? Może to i brzmi zabawnie, może baba-bokser to zawsze baba. Większość ludzi z pobłażaniem traktuje kobiety, które chcą dorównać mężczyznom w męskich zawodach czy sportach i nie bardzo daje wiarę ich umiejętnościom. Ja przekonałem się

niejednokrotnie, że na ringu Ivo może być równie groźna jak Mike Tyson. Przekonało się też o tym dwóch gości z baru dla górników, gdy staraliśmy się ich odwieść od zamiaru strajkowania. Teraz już nie bierzemy takich zleceń, ale kiedy rozkręcaliśmy biznes, nie gardziliśmy żadnym zadaniem.

Ivo weszła wtedy na stół i powiedziała, że skoro nie możemy dogadać się w negocjacjach, to załatwmy sprawę po staremu.

– Ja przeciwko najlepszemu z was. Jeśli mnie pokona na gołę pięści, możecie strajkować – rzuciła rękawicę.

Oczywiście górnicy uznali, że za dużo wypięła. Ale udało jej się ich rozbawić. Szef komitetu strajkowego postawił mi nawet kielicha.

– Masz jaja chłopie – szepnęła. – Nie dość, że jest brzydsza od mojej starej, to jeszcze chyba w młodości kopała się z koniem.

Czekali chyba aż ją ściągnę z tego stołu. Ja jednak wypiełem postawionego przez górnika kielicha i poprosiłem o szklanke żołądkowej do popicia. Wtedy szef komitetu zaklaskał, starając się wszystkich uciszyć.

– Założmy, że na to pójdziemy. Ale w zakładach jest tak, że jak my coś stawiamy na szali, to wy też powinniście. Co stawiasz chłopie, jeśli ten babol przegra? A właściwie, gdy przegra?

Wzruszyłem ramionami, Ivo warknęła i bałem się już, że zaproponuje zwycięzcy swoje ciało, a wtedy na pewno nie byłoby chętnego. Zapewniłem więc pośpiesznie, że jeśli wygrają, przekonamy właściciela kopalni, żeby spełnił ich postulaty.

– Dajesz gwarancję?

– Daję.

Podrapał się po głowie, bo w końcu wcale nie był pewien, czy chcą spełnienia tych postulatów, a ja nawet nie byłem pewien, czy jakiegokolwiek postulaty mają.

– W porządku – powiedział. – Ale pamiętaj, że jeśli ci się nie uda, zrobimy ci przyjemność sztachetami podporowymi.

– Nie mogę się doczekać.

Po krótkiej konsultacji górnicy wyłonili swojego zawodnika. Zaniepokoiło mnie to, że wcale nie był wielki i nie ważył

dwustu kilo. Miał jakieś metr siedemdziesiąt, był nabity i wysportowany. Od razu było widać, że lepiej z nim nie zaczynać.

– Nazywamy go Piorun, po śląsku Pieron – powiedział szef komitetu. – Jeszcze nigdy z nikim nie przegrał. Ma diabła w łapie i był w spadochroniarzach. Lepiej pomódl się za swoją paniusią, bo choć Pieron na pewno będzie bił lżej niż może, to i tak czeka ją hospitalizacja.

Chyba udało mu się wzbudzić mój niepokój. W knajpie poodsuwano stoliki, robiąc na środku prowizoryczny ring. Pieron obwiązał sobie ręce ręcznikami.

– Nie chcę cię uszkodzić, choć takiej facjacie nic już nie zaszkodzi – powiedział Pieron i cmoknął do Ivo.

– Stawaj – mruknęła w odpowiedzi, niczym Michał Wołodyjowski i też obwiązała sobie dłonie ścierkami.

W trzeciej sekundzie walki naprawdę zacząłem obawiać się o swój tyłek. Pieron ruszył na Ivo jak Lewis na Gołotę. Gdyby Boga nie było, to by już nie żyła. Ciężkie jak młoty ramiona górnika szyły powietrze niczym błyskawice. Nie zamierzał bawić się w jakieś techniczne gierki, po prostu chciał ją czym prędzej znokautować i pewnie by mu się udało, gdyby Ivo nie umiała tańczyć jak baletnica, choć zupełnie na to nie wyglądała.

Trzy razy zesła z linii ciosu, zamarkowała jedno uderzenie, odskoczyła, gdy dwa potężne zamachowe zamajaczyły jej przed nosem, aż wreszcie górnik stanął w miejscu lekko zniechęcony, a nawet zdyszany, i opuścił ręce.

– Co jest? Będiesz tak uciekać? Nie raz to widziałem. Nie raz – kiedy Ivo starała się bez powodzenia nauczyć mnie podstaw boksu – miałem okazję doświadczyć tego niespodziewanego ataku. Właściwie za każdym razem pamiętałem tylko szybkie, wydechane przez usta syczące oddechy i czarne kule rękawic treningowych z przerażającą szybkością zbliżające się do moich oczu. W czasie wspólnych treningów moje postrzeganie było ograniczone do wycinków spoza podwójnej gardy, teraz mogłem w pełni podziwiać kunszt Ivo. Ta kobieta miała talent.

Przyskoczyła do górnika w ułamku sekundy, zamarkowała

uderzenie na górę i zdzieliła go w wątrobę. Westchnął tak ciężko, że z obawą zerknąłem na jego spodnie. Dwa następne uderzenia spadły na uszy mężczyzny, a kiedy z rezygnacją opuścił ręce, dostał haka prosto w podbródek. Mistrz olimpijski w boksie, niejaki Kulej, zwykł mawiać, że nie ma ludzi nie do powalenia. Są tylko źle trafieni.

Drżące od napiętych mięśni oszołomione ciało zważyło się na deski.

W knajpie zapanowała złowieszcza cisza, którą po chwili przerwały nieśmiało nawoływania mające pobudzić Pioruna do dalszej walki. Ale Piorun nie miał ochoty ruszać się z wygodnego posłania.

– Nie licz się – zasyczał szef komitetu strajkowego. – Zrobiła to przez zaskoczenie.

Podszedł do Pioruna i próbował go ocucić. Ivo bez najmniejszej zachęty z mojej strony podskoczyła i jednym precyzyjnym sierpem posłała szefa komitetu strajkowego na miejsce obok Pioruna.

– Który następny? – warknęła. Górnicy jednak nagle zainteresowali się swoimi piwami. Nikt więcej nie miał ochoty oberwać od baby. Domyślam się, że ich żony tej nocy przeżywały wyjątkowo ciężkie chwile. Ale cóż, taka robota.

Dyrektor kopalni wypłacił nam sowitą premię, a Ivo dostała podwyżkę. Ręka bolała ją jeszcze przez tydzień, mimo że zapewniłem, iż jej to wynagrodzę. W drodze powrotnej powiedziała mi, że kocha to robić.

– Nic nie dorównuje uczuciu, gdy stajesz nad pokonanym przeciwnikiem, który na dodatek jest mężczyzną.

Feminizm w wydaniu hardcore. Teraz ręka Ivo zrobiła zamach i zbliżyła się do mojej twarzy, ale tylko po to, żeby otrzeć toczącą się przez czoło kropelkę potu.

– Zaczyna się – szepnęła.

Na dole pojawiło się trzech lekarzy w niebieskich kitlach, wyglądających jak aktorzy z serialu. Następnie wprowadzono wózek z przykrytymi prześcieradłem zwłokami. Nie rozpoznałem ciała Doroty Sadowskiej, ale chyba nie rozpoznałaby go rodzona matka.



Główny lekarz zaczął mówić do mikrofonu, podając datę, temperaturę oraz inne okoliczności całego zdarzenia.

– Ofiara wypadku – rzekł w końcu, a po chwili wahania dodał: -1 porachunków gangsterskich. Lat pięćdziesiąt dwa, płeć żeńska, objawy miażdżycy i nadkwasoty. Waga sześćdziesiąt osiem kilo, wzrost metr pięćdziesiąt trzy.

Lekarze zaczęli kroić ciało, podając dodatkowe informacje i objaśniając studentom, jak należy przygotować, a następnie poddać denatkę koniecznym zabiegom. Mnie najbardziej podobało się, że w krótkich odstępach czasu cięcia ciała przepijali markowym spirytusem, co – jak się domyślam, miało powstrzymać odruchy wymiotne.

Podczas gdy wyliczali trzydzieści cztery dziury po kulach w klatce piersiowej, rozejrzałem się po sali widokowej.

Poza nami znajdowało się tu czterech studentów w fartuchach i dwie blondynki, które spotkałem na papierosie. Wciąż szeptały sobie coś do ucha. Dokładnie naprzeciwko zauważyłem chudego mężczyznę i drobną kobietę o zmęczonej twarzy. Facet był w garniturze, a kobieta w garsonce. Wyglądali jak agenci ubezpieczeniowi albo przedstawiciele handlowi bankrutujących tanich linii lotniczych.

– Są gliny – szepnąłem do Ivo, wskazując skinieniem głowy tę dwójkę.

– Zauważyłam.

Cała ta sekcja była do niczego. Czego mogliśmy się z niej dowiedzieć? Zaraz po wyjściu pomyślałem więc, że przyszliśmy tu tylko po to, żeby spotkać gliniarzy. Podeszli do nas przy wyjściu z kliniki.

– Podinspektor Stańczyk i komisarz Merkel – przedstawił mężczyzna. – Jesteście tymi detektywami?

Skąd wiedział? Kto dał im cynk, że mieliśmy do czynienia z Sadowską? Ivo wzruszyła tylko ramionami, po czym stanęła na uboczu, jakby chciała powiedzieć:

– Ja jestem tylko sekretarką.

Podąłem Merklowi dłoń, ale gest pozostał bez odzewu. Komisarz nieznoszącym sprzeciwu głosem wyjaśnił, że nie życzy sobie naszej ingerencji w ich śledztwo, w przeciwnym

razie zostaniemy aresztowani za jego utrudnianie. Wypytał nas o okoliczności znajomości z denatką, wysłuchując mojej relacji bez większego zainteresowania. Nawet nie zapytał, czy mamy alibi. Zdaje się, że mieli za zadanie w jak najszybszym trybie umorzyć śledztwo.

Kiedy już dał to wyraźnie do zrozumienia i przyjął potwierdzenie na piśmie, nachylił się nade mną i wyraził nadzieję, że nigdy więcej się nie spotkamy.

- Rozumiemy się?
- Bez słowa.
- No to możemy pójść się napić.

Nie lubię glin. Może wynika to z doświadczeń z dzieciństwa, a może po prostu za dużo się naczytałem powieści detektywistycznych. Tak w książkach, jak w życiu pojawienie się glin nie wróżyło niczego dobrego. Pod warunkiem, że zabójca nie był synem czy sąsiadem ofiary, bo takie sprawy rozwiązywali nadzwyczaj sprawnie, poza tym z ich działań wynikał tylko chaos.

Być może przemawia przeze mnie zawiść albo niezatarte wspomnienia nieudanych, choć podejmowanych trzykrotnie i z wielką determinacją prób wstąpienia do akademii policyjnej w Szczytnie. Być może wciąż mam w pamięci jedyny policzek od ojca, gdy mając dziesięć lat, powiedziałem przy jego kolegach, że zamierzam zostać milicjantem. Być może w serce kłuje mnie igła urażonej męskiej dumy, gdy moja platoniczna miłość do studentki geografii legła w gruzach w wyniku ujrzenia na jej boskim ciele ochoczo podrygującego jurnego byczka z pobliskiej jednostki prewencji.

Tak czy inaczej nie lubię glin. A teraz miałem się z nimi napić? Cóż, jak mawiał mój nieodżałowany przyjaciel ze studiów, John Lipiński (Bóg wie, co teraz się z nim dzieje) , nieważne z kim, byle do dna.

Udaliśmy się do pobliskiego studenckiego klubu Proxima, gdzie dwaj bramkarze nie zamierzali nas wpuścić i byli wyjątkowo oporni nawet na zawołania policja i okazanie stosownych legitymacji.

– Nie wpuszczamy w adidasach – rzekł większy, choć to określenie niewiele mówi, bo obaj byli olbrzymi.

Ulegli dopiero po przystawieniu czterdziestki piątki pod nos i nadzwyczaj obrazowo przedstawionej przez Merkla wizji rozpryskującego się mózgu na murze, który to efekt wywołują kule dum dum załadowane do rzeczonoego rewolweru i który będą mogli nieomylnie zaobserwować, jeśli nadal pozostaną na naszej drodze.

Ai tak otworzyli drzwi bez specjalnego przekonania. O tej godzinie, w środku tygodnia, kluby studenckie za moich czasów już umierały. Piętnaście lat później wyglądało to zupełnie inaczej. Wszystkie stoliki były zajęte, bar obleżony, a na parkiecie królowało kilkanaście par w rytmie samby. W rogu, tuż przy drzwiach jakaś blondyna ocierała się namiętnie o biodro przystojnego bruneta. Szczęściarz, tej nocy będzie mu dane.

Widząc, że nigdzie nie ma wolnych miejsc, Merkel zrobił krok, jakby chciał się wycofać, ale powstrzymałem go i złapałem przebiegającego obok kelnera.

– Zaprosił nas Hubert Buderski – szepnąłem. – I zapewniał, że znajdzie się jakiś stolik.

Z początku myślałem, że kelner da mi w gębę, ale strząsnąwszy moją dłoń ze swego ramienia, ruszył na zaplecze i po chwili wyniesiono nam stolik i cztery krzeselka. Na butelkę wódki nie trzeba było długo czekać. Merkel posmakował i stwierdził:

– Lewa.

– Podróbka jak cholera – przytaknąłem. – A czego się spodziewałeś?

– Fakt. O co chodzi z tą Sadowską? Wzruszyłem ramionami i opowiedziałem mu wszystko zgodnie z prawdą. Że wynajęła nas do ochrony, ale w gruncie rzeczy uznaliśmy, że powinna się chronić sama przed sobą.

– Więc sama się przejechała i wywaliła sobie cały magazynek w pierś?

– Wcale nie byłbym zaskoczony – mruknąłem.

– Muszę to zapisać – roześmiał się Merkel. – W razie braku podejrzanych, zawsze można postawić taką hipotezę.

Ivo wyjaśniła uspokajająco, że zlecenie od Sadowskiej od samego początku wydawało się dziwne. Opowiedziała o jej podejrzaniach odnośnie męża, swojego partnera z firmy, sąsiadki.

– Wcale się nie dziwię, że ją zlekceważyliście. – Jednak, nie żyje – wtrąciłem.

– Tak, nie żyje.

Pomiędzy Ivo a Merklelem nawiązała się wyraźna nić sympatii, czego nie można powiedzieć o mnie i jego partnerce. Wyglądała mi na zdziwę, a na dodatek lesbę. Piła jednak równo z nami, co zdecydowanie zapisałem jej na plus, choć przez ów fakt musiałem zamówić jeszcze dwie flaszki wódki, i – jak miało się okazać – jeszcze za nie zapłacić.

– Uregulujesz rachunek – Merkel szepnął w moje ucho i wsunął coś do kieszeni marynarki, co dla kobiet miało znaczyć, że właśnie przekazał mi połowę forsy za gorzałę. Jak się później okazało, był to pliczek ulotek agencji towarzyskich, nigdzie na świecie – o ile się nie mylę – nie służących za środek płatniczy.

Wzruszyłem ramionami. W końcu gliny mało zarabiają.

Czekając na taksówkę, Merkel ślinił się do Ivo i mile lechtał ją po poczuciu wartości.

– Byłem twoim fanem. Widziałem wszystkie walki. Te legalne. Właściwie powinienem prosić o autograf. Sam trochę boksowałem – rzucał co chwila, na co Ivo jaśniała na gębie.

Wsiedli, ku mojemu zaskoczeniu, do jednej taksówki. Druga pozostała dla mnie i Stańczyk, która miała już na tyle w czubie, że zanim zdążyliśmy wsiąść, pobrudziła lekko przetrawioną kiełbasą z grilla skórzaną tapicerkę. Wywołało to zrozumiały wybuch gniewu kierowcy, ale został on szybko uciszony stową z mojego portfela i widokiem glocka, którego na szczęście policjantka nie była w stanie wydobyć z kabury.

Kiedy taksówka odjechała, Stańczyk spojrzała na mnie spode łba.

– Chcesz się różnić?

– Nie.

– To dobrze – powiedziała z ulgą.

I puściła już regularnego pawia na trawnik.

Odprowadziłem ją do stacji metra, gdzie poradziłem, żeby poczekała na pociąg, choć ostatni już dawno odszedł. Kiedy zasnęła na ławce, związałem jej na supeł sznurówki obu butów, żeby rano miała niespodziankę, a następnie udałem się na piechotę do domu, pogwizdując wesoło znane standardy.

O czym myślałem? Że Warszawa jest piękna nocą. Że kandydaci na prezydenta patrzący na mnie z billboardów

sprawiają wrażenie całkiem uczciwych, co przecież było niemożliwe. Wreszcie, że zimne piwo czekające na mnie w lodówce, będzie smakować doskonale.

I może trochę o stosunkach międzyludzkich.

Nie wiem, czy komisarz Merkel wydymał Ivo i prawdę mówiąc, nic mnie to nie obchodzi. Ale cokolwiek zrobił, na Ivo podziałało to jak słońce na nasturcję, co mnie bardzo zaniepokoiło. Była rozpromieniona i pełna energii. Kiedy wszedłem do biura, drukarka laserowa pracowała ze zdwojoną energią, wypływając z siebie gęsto zadrukowany stos kartek.

– Drukujesz encyklopedię? – mruknąłem i ruszyłem do gabinetu. Mnie humor wcale nie dopisywał.

Zasiadłem za biurkiem Morgana, wypilem trzy piwa i dla poprawy humoru zadzwoniłem do mojego klubu AA. Odebrał brat Robert.

– Dawno cię nie widzieliśmy – zawołał wyraźnie ucieszony, że ja to ja. – Brakuje nam twojego poczucia humoru.

– Amnie waszego – odparłem równie wesoło, przypominając sobie, jak dolali mi jakiegoś świństwa do zbun-krowanej w mojej szafce klubowej flaszki Balentines'a . Przez trzy dni nie mogłem pić. O mało nie skończyło się to tragicznie dla jednego z sąsiadów, który gdyby mnie złapał za – przyznaję, dokonanie czynu świadomie złośliwego – obsikanie koła jego nowiutkiego porsche cayenne, na pewno pozbawiłby mnie życia i spędził resztę życia w pierdłu. Całe szczęście biegałem szybciej.

– Przyjdiesz dzisiaj?

– Dzisiaj piątek?

– Środa. Zdecydowaliśmy się spotykać częściej. Właściwie mamy teraz sesje codziennie, gdyż klub się powiększył. Znacząco.

– Wciąż oglądacie pornosy?

– Przerzuciliśmy się na filmy religijne. Co u ciebie?

– Po staremu. Uszedłem z życiem z dwóch zamachów bombowych, nawiązałem parę dobrze rokujących znajomości z bandytami, a wczoraj zamordowano mi klientkę. Niestety nie uregulowała rachunku.

– A to pech. Pijesz?

- Więcej wylewam.
- I całe szczęście. Wiesz, do czego to wszystko prowadzi?
- Do zagłady?
- Właśnie.

Chociaż przestali pić, to fajni z nich goście. Wielu prawników, lekarzy, biznesmenów. Ilu to klientów mi naraili. Ale tym razem brat Robert nie nagrał mi żadnej sprawy. Może powinienem czasami pokazać się w klubie?

Ivo weszła ze stosem kartek i szerokim, zupełnie do niej niepodobnym uśmiechem. Kolejna poszła na uzasadnione podejrzenie, że Merkel zepsuł mi pracownika. Poprosiłem więc, żeby dała mi jeszcze chwilę. Spiorunowała mnie wzrokiem, ale wyszła.

Wygrzebałem z marynarki stos ulotek agencji towarzyskich, wśród których zaplątały się dwie prywatne wizytówki komisarza Merkla. Pierwsza przedstawiała mojego nowego znajomego jako konsultanta ministerialnego:

*Rzeczpospolita Polska  
Komisarz Waclaw Merkel,  
doradca ministra gospodarki*

Druga była podobna, ale mówiła o ministerstwie infrastruktury:

*Rzeczpospolita Polska  
Komisarz Waclaw Merkel,  
doradca ministra infrastruktury*

A więc nasz komisarz miał swoje własne, brudne interesy. Powinienem chyba uprzedzić Ivo, choć z drugiej strony w końcu sam mogłem się tym zająć.

Na obu wizytówkach widniały szczegółowe namiary: Komisarjat numer 6, ulica Dworkowa 22, telefon, fax, email.

Chwyciłem pierwszą z brzegu ulotkę i wybrałem numer.

– Tu Lidka, zostaw wiadomość. Zostawiłem. Wybrałem drugi numer. Sytuacja się po -



wtórzyła.

– Halo – odezwał się w końcu jakiś żywy głos.

– Dzwonię z... ogłoszenia.

– Tak kotku – kobieta zamodulowała barytonem. – Nie mogłeś lepiej trafić.

– Mam ochotę na coś specjalnego i gotów jestem dobrze zapłacić. Mogę zamówić wizytę domową.

– Klient nasz pan. Powiedz tylko, gdzie i kiedy.

– Za godzinę. Dworkowa 22.

– Będę.

– Uhm, nie zdziw się, to jest komisariat.

– Specjalizuję się w obsłudze komisariatów. O kogo mam pytać?

– Merkel. Komisarz Waław Merkel. Również za czwartym razem miałem szczęście. Tym razem głos był wyjątkowo piszczący, ale jego właścicielka starała się być namiętna. Kobieta nie była zaskoczona, że chodzi o komisariat.

– Mam zabrać koleżanki?

– Nie. Chodzi tylko o mnie. Nazywam się Merkel. Komisarz Waław Merkel.

– Brzmi jak James Bond.

– Tak do mnie mów. Za trzy godziny.

Piąta i szósta okazały się automatycznymi sekretarkami. Podobnie jak przy dwóch pierwszych telefonach zostawiłem wiadomość, że oczekuję wizyty domowej przy Dworkowej 22. Pewnie nic z tego, ale kto wie.

Siódma, powiedziała, że oddzwoni. Podałem jej numer do komisariatu i poinformowałem, żeby prosiła z komisarzem Merkiem.

Ósma oburzyła się na moje pytanie.

– Jesteśmy profesjonalną agencją, oczywiście, że możemy przysłać Azjatkę, a nawet Murzynkę.

– W takim razie proszę o dwie: Murzynka i Azjatka. Dworkowa 22. Powiedzmy, na trzecią po południu.

Dziewiąta zdziwiła się nieco moim życzeniem, ale powiedziała, że da się zrobić.

– Znam jednego pana, który specjalizuje się w zaspokajaniu

gejów.

– Czy aby jest przystojny? – zapytałem, odpowiednio modulując głosem, jakbym połknął surowe jajko w skorupce.

– Ładniutki i ma dużego.

– Już nie mogę się doczekać. Tylko proszę pamiętać, że sprawa jest delikatna. W końcu spotkamy się w komisariacie.

– Dyskrecja to jego specjalność.

– Niech przyjdzie o czwartej.

Zadzwoiłem jeszcze do czterech i odpocząłem zadowolony z wypełnienia całego dzisiejszego grafika komisarza Merkla. Jedną z jego wizytówek włożyłem do koperty wraz z listem mówiącym o tym, że jego autor może pomóc przy załatwieniu kontraktu na dostawę broni do Jemenu i tak spreparowaną przesyłkę zaadresowałem do attache prasowego ambasady amerykańskiej, który – dacie wiarę – nazywa się James Bond.

Druga wizytówka mogła mi się przydać, więc schowałem ją do portfela.

Wtedy zadzwonił redaktor Chudy, o którym zapomniałem na śmierć, a co ważniejsze zapomniałem o umowie z nim.

– Jeśli teraz mnie spuścisz, możesz zapomnieć o dalszej współpracy – powiedział.

– Ależ nigdy cię nie spuszczam.

– Ten twój brzydał mówi, że ciągle cię nie ma i nie chce mi podać nowej komórki.

– Bo mnie nie ma, a komórkę mi ukradli – skłamałem bez zmrużenia oka, co przyszło mi łatwiej ze świadomością, że rozmawiam z notorycznym kłamczuchem, który na dodatek swoje urojenia przelewa na papier i sprzedaje w kilkuset tysiącach egzemplarzy.

– Nieważne. Co z Morganem?

– Aaa, chodzi ci o wywiad.

– Aaa – zmałpował. – Właśnie.

– Niestety, Morgan jest na Cyprze.

– Zawsze jest na Cyprze. Mogę porozmawiać z nim przez telefon. Podaj tylko numer.

– Za dużo byś stracił, rezygnując z osobistego spotkania.

– Pozwól, że sam to ocenię. Wywiązesz się z umowy czy nie?

- Oczywiście. W przyszłym tygodniu.
- Zawsze mówisz: w przyszłym tygodniu.
- Tym razem na pewno będzie w przyszłym tygodniu.
- Posłuchaj.
- Mam coś w zamian – przerwałem mu.

Milczał przez chwilę, jakby się zastanawiał, czy złapać haczyk.

- Co takiego?
- Z dobrych źródeł wiem, że komisariat na Dworkowej 22 korzysta z usług kilku kontrolowanych przez mafię agencji towarzyskich.
- I co z tego? Wszystkie komisariaty z tego korzystają. Gliny też ludzie.

– Ale te agencje są kontrolowane przez mafię. Prawdziwą, nie jakąś przyszywaną.

– Wszystkie są. I co ty wiesz o mafii? Takie historie już się ludziom znudziły. Poza tym jak mam to udowodnić.

– Właśnie tu tkwi wartość mojej informacji. Wiem, że w dniu dzisiejszym możesz na własne oczy zaobserwować ów niecny proceder we wspomnianym przeze mnie komisariacie. Wystarczy, że weźmiesz ze sobą fotografa. Jak będzie miał kamerę, to może nawet to sfilmować, a potem sprzedać do jakiejś telewizji. Takie wspólne akcje, o ile się nie mylę, są jeszcze w modzie. Nakład pójdzie jak świeże bułeczki. Znów będziesz pupilkiem swojego Generała.

– Nie blefujesz?

– Czy kiedyś cię oszukałem?

– Niech sobie przypomnę, ostatnim razem twierdziłeś, że masz dowody na dostawę francuskich głowic dla armii Saddama. Ośmiesziliśmy się, cała Polska się ośmieszyla.

– Dobrze, dobrze. Tym razem to pewniak. Możesz mi zaufać.

Chudy wiedział, że jak mówię pewniak, to jest to pewniak. Chyba że nie jest.

– Ech, te gliny. Narkotyki, woda, dziwki. Cholerny świat.

– Kto wie, może też chodzi o handel żywym towarem.

– Boże. Co też się narobiło.

– Co racja, to racja. Facet, który kręci tym interesem, nazywa

się Merkel. Komisarz Wacław Merkel. Ma podobno jakieś lewe interesy w ministerstwie gospodarki i infrastruktury. Dodatkowo interesuje się nim ambasada amerykańska. Sam James Bond.

– Nie mów.

– Poważnie.

– Jeśli to prawda, mam u ciebie dług. Podziękował i rozłączył się. Zemsta bywa słodka. Ivo zajrzała do mojego pokoju po raz czwarty tego dnia.

– Tym razem musisz mnie posłuchać – powiedziała głosem nie znoszącym sprzeciwu.

– Jestem gotów – westchnąłem. – Co masz?

– Sprawdziłam tego Ekopowera.

– Kogo?

– Firmę pani Piekus.

– Ach tak.

– Pamiętasz, podejrzewaliśmy, że może to mieć związek z Sadowską.

Od razu podejrzewaliśmy.

– Nie wszystko, co się dzieje w równoległych ramach czasowych, musi się ze sobą wiązać. Czy myślisz, że pan Bols też jest powiązany z Sadowską. Albo ta afera paliwowa?

– Paliwowa? Być może – powiedziała z miną, jakby znalazła właśnie pełną butelkę czterdziestoletniej whiskey, co do której byłem pewien, że ją wypilem.

– Myślę, że Piekus nic nie ma do Sadowskiej.

– No to spójrz.

Pokazała mi niedawno wydrukowaną dokumentację. Na górze był wyciąg z sądu rejestrowego firmy Ekopower, zarejestrowanej w Warszawie, której pięćdziesiąt procent udziałów miała pani Danuta Piekus.

– No i...

– Spójrz na statut.

Statut jak statut. Produkcja energii odnawialnej, czystego prądu, nowoczesne technologie, handel zestawami pielgrzyma, kosmetyka. Wszystko tam było. Tak się robiło, żeby potem nie zmieniać statutu jak się trafi interes z innej działki. My też

mamy w statucie kilkadziesiąt pozycji, a przynajmniej połowy jeszcze nie wykorzystaliśmy.

– Tutaj – podkreśliła Ivo, podtykając mi pod nos wyciąg. – Punkt czwarty.

– Obróbka drewna do produkcji biokomponentów – przeczytałem i wzruszyłem ramionami.

– Nie widzisz analogii? Przetwarzanie drewna. Na dodatek, jak rzucisz okiem na raport roczny – poszperała w papierach. – O tutaj. To zobaczysz, że obrót drewnem stanowi 90 proc. przychodów firmy. Przypominasz sobie, czym się zajmowała Sadowska?

– Obróbką drewna – powiedziałem.

– Nawet podejrzewała, że to przez to jej grożą.

– Ale komu zależy na firmach obrabiających drewno?

– Do tego też dojdziemy. Wydrukowałam wszystko o branży drzewnej – poklepała papierzyska. – Myślę, że mafia ci zagroziła, bo przypuszczała, że po zajęciu się Sadowską szybko dojdiesz do Piekusowej. Gdybyś się poważnie tym zajął, mogło tak się stać. A tego nie chcieli.

– Więc należy.

– Spotkać się z panią Piekus – dokończyła – i dowiedzieć, dlaczego nie chciała z tobą rozmawiać, dlaczego mówiła o groźbach, dlaczego zakazano ci z nią się spotykać i skąd zbieżność w czasie obu tych spraw.

Następnego ranka zadzwonił ojciec, ale wyłączył się. Pewnie kończyły mu się darmowe minuty. Oddzwoniłem po niespełna kwadransie.

– Co tak długo?

– Byłem w kiblu. Znów ukradli ci kłódkę?

– Nie, ale próbowali. Złapałem jednego. Szczeniak ma trzynaście lat. Przynajmniej tak twierdzi, bo wygląda na szesnaście.

– Nic mu nie zrobią. Za kłódkę wątpię nawet, żeby posłali go do poprawczaka.

– Dlatego postanowiłem sam się tym zająć.

– Jak to?

– Zamknąłem gówniarza w komórce u babci. Chciałbym, żebyś go przesłuchał.

– Co takiego? Tato, przecież to dzieciak.

– Takie dzieciaki mordują teraz emerytki. Wiesz, co miał w kieszeni?

– Co?

– Scyzoryk.

– O ile się nie mylę, jak miałem trzynaście lat, sam podarowałeś mi scyzoryk. Mam go do dziś.

– Ale ty nie wyciągałeś go na starszych i nie mówiłeś, że wyniesiesz komuś serce i zjesz na śniadanie, bez przypraw.

– Tak ci powiedział?

– Słowo w słowo. Myślę, że jest wysoko w hierarchii jakiejś bandy wyrostków. Musisz go przesłuchać.

– Długo go trzymasz w tej komórce?

– Od wczoraj wieczorem.

– Tato, posłuchaj, musisz go wypuścić, bo inaczej ta banda może próbować go odbić.

– Bez obaw, wynająłem Azerów do ochrony?

– Tych od sołtysa? – zapytałem. Jakiś rok temu sołtys we wsi babci wynajął stodołę azerskiej mafii. Nie wiem, co robili, czy

kradli, handlowali dragami, czy też może sprowadzali dziwki. Mnie osobiście wydawało się, że nic nie robią, poza powolnym przemieszczaniem się luksusowym mercedesem wśród furmanek i pól pszenicy. Może czekali na swoją szansę?

– Tych samych. Zaproponowali, że mogą pozbyć się szczeniaka, ale powiedziałem, że mój syn jest detektywem i najlepiej dokończy całą sprawę. Nie myliłem się, prawda?

– Tato, igrasz z ogniem, musisz go wypuścić.

– Więc nie przyjedziesz?

– Tato.

– Pies cię jebał – rozłączył się.

Zadzwoiłem na policję do rodzinnego miasta, zrelacjonowałem sprawę i obiecałem, że dobrze zapłacę, jeśli załatwią to po cichu i postarają się o pomniejszenie roli mojego ojca w całym tym zamieszaniu.

– Dobrze, to znaczy ile? – zapytał posterunkowy.

– Dziesięć tysięcy.

– Piętnaście – rzucił posterunkowy – Będzie nas trzech. Po pięć na łebka. Spuścimy łomot szczeniakowi gratis.

– Niech będzie. Tylko proszę o dyskrecję.

– Zrobi się.

Weronika wyciągnęła mnie na zakupy do galerii handlowej. Nie znosiłem wspólnych zakupów, ale nauczyłem się robić dobrą minę do złej gry. Jedną korzyść, że w takiej galerii aż roilo się od zgrabnych, wyzwolonych i akceptujących poządlive spojrzenia naturystek. Co prawda

w galerii przechadzały się w stosownym odzieniu, ale wystarczyło tylko odrobinę wysilić wyobraźnię, by bez zbędnego skrepowania dojrzeć ich ukryte wdzięki.

Nie mając pojęcia, o czym tak naprawdę myślę, Weronika poszukiwała prezentu dla ojca. Popierałem żarliwie wszystkie jej pomysły, począwszy od repliki piętnastowiecznego żaglowca w skali 1 do 250 tys. , a skończywszy na obrazie myśliwskim pędzla Hieronima Warchoła, przy czym zważywszy na mierną jakość owego dzieła, nazwisko autora prawdopodobnie było pseudonimem.

– Jesteś gotów przystać na byle co, żeby tylko jak najszybciej

się mnie pozbyć.

– Ależ skąd – odparłem, patrząc ukradkiem w kierunku pewnej szatynki, która, dam głowę, mrugnęła do mnie okiem, jednocześnie drapiąc się po biodrze i odwijając kusą i tak spódniczkę, żeby pokazać seksowną bieliznę.

– Nie podoba mi się twoje podejście – rzekła Weronika. – Nie wykazujesz inicjatywy.

– Bo myślę od początku, że powinniśmy mu kupić coś, co naprawdę go ucieszy.

– Co takiego?

– Strzelbę. Mówiłaś, że ma tylko sztucer Mausera i dubeltówkę. Moim zdaniem powinniśmy mu sprawić winchestera, będzie wniebowzięty.

– Jest tu sklep z bronią?

– Jasne.

Sprzedawca w sklepie z bronią zapytał, czy mamy pozwolenie, na co odparłem, że oczywiście i wręczyłem mu stosowne zaświadczenie w postaci dwustu złotych. Chyba mało, bo zgarnął je z wyraźnym ociąganiem, bełkocząc coś o ciężkich czasach.

– Szukamy strzelby winchestera.

– Kaliber 12, świetny wybór. Kosztuje sześć dwieście.

– Ile?

– **SZEŚĆ TYSIĘCY DWIEŚCIE.** To winchester, nie jakiś badziew. Sprzedajemy rocznie jeden, dwa egzemplarze tego cacka. Prawdziwy rarytas.

– W cenniku jest sześć sto – zaoponowała Weronika.

– Cena się zmieniła – mrugnął do mnie porozumiewawczo. – Kurs dolara.

– Niech będzie. Przyjmujecie karty?

– Oczywiście. Sześć sto kartą i stowa gotówką. Po udanym zakupie udaliśmy się do toalety, gdzie Weronika poprosiła, żebym zrobił to jak Michael Douglas z Jeanie Tripplehorn w „Nagim instynkcie”, co też – w miarę możliwości – wykonałem. Było to, o ile dobrze pamiętam, najdroższe dymanko w moim życiu. Sześć sto plus trzysta łapówki. Kończyliśmy szczęśliwie, gdy w kabinie obok przystąpiła do rzeczy druga para, która – sądząc po odgłosach – wykonywała



numer Everetta McGilla i Rae Dawn Chong z „Walki o ogień”.  
Ciekawe, ile musiał dać?

Weronika przykazała mi jeszcze kupić butelkę single malta i już byłem wolny. Jak tylko upewniłem się co do tego faktu, zadzwoniłem do Magdy.

– Nareszcie – westchnęła. – Już myślałam, że wstąpiłeś do Armii Zbawienia.

– Niewiele brakowało. Co powiesz na hot doga? W pobliżu targowiska na rogu Wołoskiej i Odyńca podają najlepsze hot dogi na świecie, a przynajmniej w tej galaktyce, które są o niebo lepsze od bułek z parówkami serwowanych na Statoil. Magda uwielbia hot dogi, a ja uwielbiam patrzeć, jak je pochłania. W spożywaniu hot dogów nie ma sobie równych i myślę, że obserwowalbym to z równym uwielbieniem, nawet gdybym sobie nic nie wyobrażał.

– Nie patrz tak – skarciła mnie Magda przy drugim hot dogu.

– Jak?

– Jakbyś sobie coś wyobrażał.

– Broń Boże.

Magda skończyła hot doga i otarła sobie usta chusteczką. Smacznie. Nie wiem czemu, ale ten gest wydał mi się równie seksowny.

– Dobra, opowiadaj.

Zacząłem od Sadowskiej, przeszedłem mimochodem do spotkania z Merkle i tylko wspomniałem, że postanowiłem mu się zrewanżować za serię upokorzeń, ale to wystarczyło, żeby zmrozić Magdę.

– Co zrobiłeś?

– Nic takiego – wzruszyłem ramionami.

– Co? – powtórzyła pytanie z naciskiem. No cóż, powiedziałem jej. Ale tylko o dziwkach, żeby trochę postopniować napięcie.

– Zwariowałaś? Czy ty naprawdę nie masz umiaru w produkowaniu sobie dozgonnych wrogów. Przecież to glina. Jak się wkurzy, to cię zastrzeli i nawet się do tego przyzna, bo mu nic nie zrobią.

– Zabezpieczyłem się. Nasłałem na nich Chudego.

- Na kogo?
- No, na ten cały komisariat.
- Kurwa mać – Magda nie musiała mówić nic więcej, żeby wyrazić opinię na temat mojej dedukcji. – Jesteś pojebany, kończę z tobą.
- Przecież nie możesz mnie tak zostawić.
- Niby jak?
- Mam na głowie Interpol, wywiad wojskowy, ktoś wydał na mnie wyrok, wplątałem się w jakąś nikomu niepotrzebną aferę drzewną, zabito mi klientkę, nie mogę liczyć na pomoc policji, a ty chcesz mnie zostawić?
- Mało tego. Złożę na ciebie donos za próbę przekupienia funkcjonariusza na służbie.
- Nigdy nie przekupiłem gliny – zaparłem się. – A te hot dogi.
- Ty płacisz – wstałem pośpiesznie od plastikowego stolika i rzuciłem do barmana – Ta pani zapłaci.
- Magda zrobiła to z uśmiechem, a potem mnie dogoniła.
- Wiesz, że pierwszy raz postawiłam facetowi hot doga? Dlaczego ty to wszystko robisz? Przecież nie musisz być taki kurewsko. konfliktowy.
- Taki mam charakter – wzruszyłem ramionami. – Jakoś wydaje mi się, że przez życie trzeba iść z uśmiechem. Poza tym jestem draniem i nie kryję się z tym. Ale jak mam okazję zrobić coś dobrego, coś dla kogoś, to staram się to robić, pod warunkiem, że jest w tym wszystkim jakieś ryzyko, bo inaczej zdechłbym z nudów i poczucia spełnienia.
- Tylko byś się nabijał.
- Ale wcale nie jest mi do śmiechu. Poza tym wszystkim, poza gangami, Małymi, Mrówkami, Myszkinami i specsłużbami, czuję, jakby mi się wszystko waliło na głowę. Ojciec czuje się coraz gorzej, pakuje się w tarapaty. A Weronika chce mnie przedstawić swojemu staremu.
- Co w tym złego?
- Wiesz, jaki będzie następny krok – mruknąłem.
- Poprosi cię o rękę. To znaczy każe, żebyś ty ją poprosił.
- Właśnie.
- I co z tego? Tak trzeba, tak już jest.

- Zapomniałaś, że raz już miałem żonę.
- Uhm. Rzeczywiście, masz prawo mieć złe doświadczenia.

Ile to razy ona cię zdradziła?

– 360. Przynajmniej do tyłu policzyła. Dawała nawet policjantom, zamiast łapówek za przekroczenie prędkości.

Jak się nieopatrznie obejrzałem na jakimś przyjęciu, mogłem być pewien, że ciągnie druta pierwszemu chętnemu.

– Pamiętam, jak opowiadałeś o balu mistrzów sportu.

– Żona tego skoczka narciarskiego o mało nie wydrapała mi oczu, krzycząc, żebym trzymał swoją sukę na smyczy i koniecznie założył kaganiec.

– Skąd miałeś wiedzieć, że ta historia o szczękościsku twojej byłej jest prawdziwa. Poza tym ta narciarka też mogła trzymać swojego ogiera na uwięzi. W każdym razie wszystko skończyło się dobrze. O ile się nie mylę, przyszyli mu?

– Napisała do mnie, że nawet działa lepiej niż dawniej.

– Całe szczęście, że ty nigdy nie pozwoliłeś Oli na tego rodzaju pieśczoły. Byłaby wielka strata.

Spojrzałem na nią uważnie. WIELKA strata. Jak się mówi takie rzeczy, to nie tylko po to, żeby strzępić język. Czyżby Magda czuła do mnie miętę?

– Naprawdę myślisz, że byłaby WIELKA strata?

– Tak tylko powiedziałam. No tak. I po mięcie.

Szliśmy Odyńca w kierunku alei Niepodległości. Cisza i spokój, co jakiś czas mijaly nas pelzajace z przepisowa prędkością auta. Minęliśmy kilka billboardów prezentujących kandydatów na prezydenta.

– Na kogo będziesz głosować?

– Bo ja wiem.

W alejach mieliśmy się rozstać. Magda spojrzała na mnie z uczuciem. Współczucie to też uczucie? – AWeronika?

– Co Weronika?

– Nie zdradza cię?

– Chyba nie. Nie. Na pewno.

– Więc może warto spróbować.

– Tylko jak zaakceptować, że zabija tylu niewinnych. Przecież pracuje w pogotowiu. A jej ojciec zabija zwierzęta.

– Instynkt. Całkowicie ludzki. Nikt nie jest doskonały. Pomogę ci w sprawie tego drewna.

Chyba chciała się już ze mną pożegnać. Zbliżyła się o krok i znów poczułem Mirakle. Przez głowę przebiegło mi tysiąc myśli. Że gdybyśmy mogli być razem, zapomniałbym o tym wszystkim, mógł rzucić pracę, zapomnieć o indykach, świniach, brudzie i cierpieniu.

I właśnie wtedy poczułem ten niepokój. Uczucie, które zawsze nawiedzało mnie, gdy miało się coś stać. Najczęściej coś złego.

Jakby mój anioł stróż dawał mi niewidzialnego kopa w tyłek.

Bmw serii 5 wychynęło jakby znikąd. Przecięło Odyńca jak rakietę. Musiało pędzić co najmniej dwieście na godzinę, bo widzieliśmy je tylko jakieś trzy sekundy. Pojawiło się i... znikło, przemykając koło nas, przecinając Niepodległości na czerwonym świetle, cudem unikając zderzenia z prawidłowo jadącymi autami i rozmazując się w drodze do Puławskiej.

– Pirat – mruknęła zde gustowana Magda. Nie wiedziała tego, co ja.

Bo jak tylko pojawiło się bmw zauważyłem w środku dwie znajome gęby. Mimo że widziałem je tylko raz, bez trudu rozpoznałem w nich Myszki i Gołego. W momencie, kiedy ich zobaczyłem, wyglądali na wściekle wręcz szczęśliwych. Gdy przejeżdżali koło nas, miny mieli wyraźnie zdezorientowane. Chwilę później, mknąc dalej przez Niepodległości, byli już bezgranicznie przerażeni.

Trzy klatki niemego filmu.

Najwyraźniej zamierzali podjechać do nas na pełnej prędkości, zahamować z piskiem opon i korzystając z efektu zaskoczenia, wpakować mnie samego lub mnie i Magdę, a może tylko moją partnerkę, do bagażnika. Dalsza część tej historii nie pisałaby się jasnymi barwami.

Jednak skutek zaistnienia nieprzewidzianych okoliczności bmw serii 5 nie zahamowało z piskiem, a nawet nie zahamowało w ogóle, tylko pomknęło dalej.

Minutę później usłyszeliśmy w oddali głuchy łomot, jakby ktoś dzielił tłuczkiem do mięsa puszkę po piwie. W okolicach Kazimierzowskiej wybuchł snop czarnego dymu.

– Ma za swoje – mruknęła Magda. – Muszę lecieć.

Skinąłem głową, rozglądając się w poszukiwaniu twórczego powodu niedawnego zamieszania z bmw. I wkrótce go zobaczyłem.

Profesor przeszedł przez Odyńca w szarym prochowcu i kapeluszu i usiadł na ławce blisko trawnika. Wyciągnął „Rzeczpospolitą”, lecz zanim zagłębił się w lekturze, podniósł rękę do ronda kapelusza i musnął je palcem.

Tego gestu Magda już nie widziała.

– Przeciąłem im przewody hamulcowe i założyłem blokadę skrzyni biegów sprzężoną z napinaczem linki gazu – poinformował Profesor, gdy przeszliśmy już w pobliże kibelka w knajpce. – Koreańska technologia nie ma sobie równych. Może i samochodów to oni nie potrafią robić, ale z ich psuciem dają sobie doskonale radę. Zadziałało już na trójce, jednak te barany chciały się popisać i postanowili przyciąć do dwustu. Przy takiej prędkości hamowanie z piskiem jest naprawdę w dechę. Efekt widziałeś. Musieli być piekielnie zaskoczeni, że nie działa środkowy pedał. Ani żaden inny.

– Dzięki – szepnąłem. – A więc Myszkina i Gołego możemy wykreślić z listy. uhm, podejrzanych.

– Nie liczyłem na to – Profesor pokiwał przecząco palcem.

– Przecież walnęli w coś z prędkością dwustu na godzinę.

– Dwustu dwudziestu. W mur kamienicy czynszowej – pokazał mi ekran komórki z najnowszymi wiadomościami. Kraksa w centrum. Bmw uderza w kamienicę przy Puławskiej.

– Wykupiłem serwis błyskawiczny. Muszę być na bieżąco z informacjami. Kamienica nadaje się do rozbiórki, bmw do kasacji.

– ... ofiar brak – doczytałem – Dwóch lekko rannych, kierowcę i pasażera bmw przewieziono do najbliższej kliniki. Jakim cudem przeżyli?

– To bmw.

– Przecież jak księżna Diana walnęła w tunelu w Paryżu, też jechała dwieście i w zgodnej opinii ekspertów nie miała prawa przeżyć.

– Księżna Diana jechała mercedesem. Nie bmw.

– No cóż. Myślałem, że to jeden pies. Profesor wzruszył obojętnie ramionami.

– Mogłem im zepsuć poduszki, wtedy na pewno trafiliby prosto do piekła, ale przecież nie to było naszym celem. Miałem cię ochraniać, a nie czyścić ci przedpole. To by kosztowało dużo

więcej. A propos.

Wyciągnął plik zdjęć trzech młodych mężczyzn. Wszyscy wyglądali trupio blado.

– Tych dwóch pierwszych sprzątnąłem koło twojego domu w ubiegły czwartek. Zamierzali podłożyć ci bombę chińskiej produkcji, całkiem zmyślną, ukrywaną w mechanizmie samochodowych pasów bezpieczeństwa. Jak nie byłbyś już trupem. Jesteś mi winien po tysiącu za każdego.

– Co tak dużo?

– Dużo? Od nieznanego wziąłbym pięć. Poza tym nie liczę ci za trzeciego.

– Co z nim?

– Próbował zastrzelić cię w poniedziałek. Zasadził się na dachu Intraco ze sztucerem myśliwskim używanym do polowań na hipopotamy. Jak go zauważyłem, zdążył strzelić trzy razy. Biedaczysko nie miał pojęcia o wietrze i korekcie odległości od celu. Nie mówiąc już o prostej zasadzie, że broń o dużym kalibrze jest świetna na krótki dystans, ale na znaczne odległości zupełnie się nie przydaje. Spudłował trzy razy, nie trafiając nawet muchy. Pewnie mógłby tak strzelać przez miesiąc, gdybym go nie ściągnął.

– Więc dlaczego nie liczysz za niego?

– Bo jak go zbadałem, doszedłem do wniosku, że próbował co najmniej od tygodnia, bez skutku. Zżarł na tym dachu czternaście pudełek pizzy.

– Ale zlecenie na mnie poszło później.

– Właśnie. To jakiś typ nie związany ze sprawą. Prawdę mówiąc, pewnie nigdy byśmy się nie dowiedzieli o jego istnieniu, bo nie wierzę, że mógłby cię trafić. Dlatego za niego nie liczę. Powiedzmy, że zrobiłem i jemu, i tobie przysługę. Jak ty to mówisz, dobry uczynek.

– Któryś z nich mógł być od Małego? Profesor roześmiał się.

– Nie. Ale coś tam się dowiedziałem. Na mieście chodzą słuchy, że Mały jest strasznie wkurwiony na jakiegoś gościa, w domyśle chodzi o ciebie. Jest tak wkurwiony, że zamierza osobiście wymierzyć ci sprawiedliwość, więc zakazał jakichkolwiek prywatnych akcji swoim żołnierzom, a nawet

podobno puścił info na forum militarnym, że jeśli ktoś wykona zlecenie, będzie miał z nim do czynienia.

– Powinienem się więc przygotować na spotkanie z bawołem na jednokierunkowej?

– Jeszcze nie. Teraz nie ma na ciebie czasu, bo musi się zająć kilkoma przetargami. Podobno jakaś gruba kasa poszła z funduszy unijnych na komputery dla urzędów. Jak przegra z tą firmą, co jej pomogłeś, to masz jak w banku, że cię zabije i to w wyjątkowo przemyślany sposób. I tutaj nawet ja nie pomogę.

– Masz jakiś pomysł?

– Możesz za milion dolarów zlecić mi, żebym się nim zajął.

– Nie mam miliona dolarów.

– To zarób.

Profesor wstał z ławeczki i dosłownie rozplynął się w powietrzu.



Piekielnie mocno opalona Danuta Piekus miała czarne włosy, cycki jak z rozkładówki „Playboya” i spódniczkę, spod której przy odrobinie szczęścia można było dojrzeć kuse i szalenie seksowne majteczki. Bóg wie, jak zjednała sobie względy Ivo, która przecież nie lubiła atrakcyjnych kobiet. A jednak gaworzyły wesoło jak najlepsze przyjaciółki. Jeśli chodzi o mnie, wystarczy jak powiem, że doskonale pasowała do szablonu filmowych klientek prywatnych detektywów. Krótko mówiąc, miałem ochotę wykrzyknąć: bierzemy tę robotę.

Aż nie mogłem się doczekać sesji z pytaniami o jej życie intymne.

– Przepraszam za to, że tak pana potraktowałam przez telefon – powiedziała na wstępie. – Myślałam, że jesteście od nich.

– Michał – przypomniałem, że przeszliśmy na „po imieniu”.  
– Od kogo?

Piekus wyciągnęła paczkę papierosów i spojrzała na nas, jakby chciała się zapytać, czy może zapalić. W odpowiedzi wyciągnąłem paczkę marlboro.

– Jakiś miesiąc temu główny dostawca poinformował mnie, że jest zmuszony zakończyć naszą współpracę. Otrzymał lepszą ofertę i wypowiada nam umowę. Próbowałam delikatnie dowiedzieć się, co jest grane, ale nie przyniosło to efektu.

Wysłałam więc na przeszpiegi znajomego prawnika, który przypomniał mi, że jeżeli teraz zerwie współpracę, zasypiemy go karami za niewywiązanie się ze zobowiązań. Powiedział, że nic go to nie obchodzi. Kiedy skierowaliśmy sprawę do sądu, zadzwonił do mnie i zapytał, czy chcę go wykończyć.

– Co odpowiedziałas?

– Że mam wrażenie, że to on chce wykończyć moją firmę, wycofując się z dwustronnych uczciwych umów. Odparł, że wkrótce zrozumiem.

– Co dalej się wydarzyło?

– Pojawiła się u nas, a właściwie powinnam powiedzieć, że spadła jak z nieba, pewna kancelaria prawna, która zaproponowała układ. W zamian za sprzedaż 51 proc. udziałów w mojej firmie wszystkie umowy wrócą na swoje miejsce. Znowu będziemy mogli kontynuować działalność, na dodatek z gwarancją opłacalności. Proponował mi poza tym, że dostanę umowę przyrzeczoną wypłaty corocznej dywidendy w wysokości miliona złotych.

– Spora suma.

– Przykrywka – poprawiła Piekus. – Było jasne, że chcą zrobić ze mnie przykrywkę. Po jakimś czasie mieli zamiar pozbawić mnie wszystkich przywilejów. Miałam tylko świecić nazwiskiem jako odpowiedzialny za wszystko prezes firmy.

– Co w tym złego? Spojrzała zaskoczona.

– Przecież zajmujesz się wywiadem gospodarczym. Nie wiesz, o co chodziło?

– Ostatnio, jak widać, wszedłem w sprawy kryminalne. Poza tym od takich afer jest Morgan. On zna się na wszystkim.

– Więc może z nim powinnam się spotkać?

– Poradzimy sobie – rzuciła pojednawczo Ivo, która skrzętnie notowała każdą wypowiedź Danuśki. – Wtajemniczymy Morgana w szczegóły, jak tylko się z nim spotkamy.

– Więc – poprosiłem, żeby przedstawiała dalej swoje podejrzenia.

– Jako prezes miałam składać podpisy na wszystkich papierach i umowach. Jak znam życie, większość byłaby niekorzystna dla firmy i powodowała straty, za to zyskowa dla kontrahentów. Kiedy mieliby już na mnie wystarczająco dużo haków, żeby w każdej chwili móc wsadzić mnie do pierdła za działanie na szkodę spółki, zaczęliby realizację prawdziwego planu.

– Jaki to plan?

– Nie wiem – wzruszyła ramionami. – Przecież nie poszłam na ten układ. Ale tak by to wyglądało.

– Komu miałaś sprzedać akcje?

– Spółce z Pomorza. Tu jest nazwa – wyciągnęła jakiś stary fax.

– Bazyliszek?  
– Tak, Bazyliszek.  
– Jedno spojrzenie i zamieniasz się w kamień.  
– Albo w sople lodu. Co proponujecie? Spojrzałem na Ivo, a ona na mnie. W końcu to ja byłem szefem.  
– Zajmiemy się tym Bazyliszkiem. I tą firmą prawniczą. Mówiłaś o groźbach...  
– Właściwie nic wielkiego – powiedziała niepewnie.  
– Głuche telefony?  
Sporządziła zaskoczona, że wiem, na co zrobiłem mnie sławnego detektywa.  
– Nie. Był tylko jeden telefon i wcale nie głuchy. Facet powiedział, że zamierza poćwiartować moje ciało na równe czterdzieści osiem części i zrobi to za pomocą piły mechanicznej firmy Bosch, po czym zmieli wszystkie moje członki i sprzeda do działu mięsnego jakiegoś supermarketu jako dziczyznę po promocyjnej cenie.  
– Mało subtelny – rzuciła Ivo.  
– Ale z poczuciem humoru – dodałem. – Rozpoznałaś jego głos?  
– Pierwszy raz go słyszałam. Potem było jeszcze jedno zdarzenie...  
– Tak?  
– Znalazłam powieszzonego kota na płocie. Choć to akurat mogła zrobić sąsiadka, która już nie raz groziła, że pozbędzie się Mruczka za to, że zjada jej myszy z ogródka.  
– To wszystko?  
– Potem zadzwoniłaś ty. Nie bardzo wierzyłam w te groźby, myślałam, że mnie zostawią, przecież jest tyle firm, które można przejść bez najmniejszych problemów. Ale kiedy Ivo powiedziała mi o Sadowskiej.  
– Znałyście się?  
– Nigdy się nie spotkałyśmy. Ale słyszałam o niej. Pogaworzyliśmy jeszcze chwilę. Ustaliliśmy, że Ivo będzie jej towarzyszyć jako osobista ochrona, a ja spróbuję dowiedzieć się czegoś o Bazyliszku. Oczywiście wolałbym odwrócić role, ale Danuta Piekus dała mi jasno do zrozumienia, że z Ivo będzie

czuła się znacznie bezpieczniej niż ze mną.

– Mimo że wygląda pan na mężczyznę. Wygląda? Może i była niczego sobie, ale już jej nie lubiłem. Z zemsty postanowiłem olać Bazyliszka.

Gdy wychodziłem, wpadło mi do głowy, że może mogłaby mi pożyczyć milion dolarów, ale w obecności Ivo lepiej było nie zadawać tego pytania.

Kochając się z Weroniką, starałem się być wyjątkowo namiętny, a w chwili poprzedzającej euforyczne spełnienie szepnąłem jej do ucha:

– Cudownie, Wiktorio.

Sądziłem, że za przekręcenie jej imienia (które winno zostać odebrane jako nieświadome wymówienie imienia zupełnie innej kobiety) zrzuci mnie z siebie i dostanę w pysk, ale co ważniejsze, pogniewamy się na jakiś tydzień albo dwa. W każdym razie wystarczająco długo, by spokojnie przeminęły urodziny jej ojca, i na tyle mało krytycznie, bym mógł ułagodzić ją bukietem krwistoczerwonych róż.

Nic takiego się nie stało.

Weronika pozwoliła mi skończyć, symulując przybierający na sile orgazm (była prawdziwą mistrzynią takich koncertów), po czym jak zwykle zapaliła papierosa.

– Nie licz na to, że pogniewamy się przed urodzinami ojca – rzuciła niby od niechcienia.

– Ależ skąd.

– Więc to zrozumiała? Kiwnąłem głową.

– W sobotę nie chcę słyszeć o żadnym wypadku, ataku terrorystycznym, bombie atomowej czy bólu twojego cholernego zęba.

– Jestem pewien, że nic takiego się nie wydarzy. Wyglądała na zadowoloną.

– No więc, kim jest ta Wiktorja?

– Przecież wiesz.

– Wiem, że jej nie ma. Ale dlaczego akurat Wiktorja?

– Gazeta na stoliku, okładka – szepnąłem potulnie. Sięgnęła po egzemplarz plotkarskiego pisma, które uwielbiała. Na okładce seksowna brunetka albo blondynka wtulała się w ramię przystojnego piłkarza.

– Victoria Beckham? Kręci cię?

– Nie jest zła.

– A co ona ma takiego, czego ja nie mam? Pomyślałem o

zgrabnym tyłeczku, ale zdecydowałem się uderzyć bardziej polubownie.

– Milion dolarów.

Milion dolarów odebrał mi rozum, wdarł się w mój umysł jak odprysk szkła w stopę i siedział tam zadowolony z wygodnej przystani mojego gąbczastego. Jedyńka i sześć zer zakończonych podwójnie przekreśloną literą S. Sześć zer i jedynka. Gdybym sprzedał wszystko, co mam, ogołocił konta, a nawet okradł kilku sąsiadów, może zebrałbym milion. Złoty. A skąd wziąć prawie trzy pozostałe? Poza tym, nawet jeśli w jakiś zupełnie nieprawdopodobny sposób pozyskałbym taką sumę, to byłoby mi szkoda, ot tak, zapłacić nią Profesorowi za zabicie jakiegoś pomniejszego gangstera. Całe moje życie za chwilę spokoju. OK, Profesor przedstawiłby to inaczej – chwila wyrzeczenia i całe życie przed tobą. Niektórzy ludzie stawiają wszystko na szali i czasem wygrywają. Do nich należy świat. Zwyczajni ludzie gotowi są oddać życie za marne oszczędności. Oni do niczego nie dojdą. Taka filozofia. Taki podły świat.

Na klatce schodowej spotkałem szesnastoletnią córkę sąsiadów w zaawansowanej ciąży. Kilka miesięcy temu przegrała życie, puszczając się na dyskotecę z panem niewidomo-kim. Jej stały chłopak, z którym uprawiała tylko delikatny petting, podbił jej oko, a następnie zabił się na motorze, jadąc dwieście czterdzieści na moście Siekierkowskim. Ojciec wyrzucił ją z domu, ale po miesiącu dał się przebłagać matce i przyjął wyrodną córkę pod swoje opiekuńcze skrzydła. Był magazynierem w firmie handlującej rowerami. Koledzy robili mu niewybredne żarty, po których miał ochotę zapić się na śmierć, ale nie starczyło mu umiejętności – wymiękał po litrze, daleko od dawki śmiertelnej liczonej w promilach. Przyszedł do mnie, gdy ciąża córki wkraczała w drugi trymestr.

– Nie mógłby pan znaleźć tego chłopaka, panie Michale? Zapłacę.

Nie chciałem doić sąsiada, więc powiedziałem, że nie ma szans. Zatrudnił innego detektywa, który nic nie wskórał, pobierając dwa tysiące nienależnego zwrotu kosztów. Mimo to

ojciec nie do niego miał pretensje, tylko do mnie. Nie mówił mi już dzień dobry.

Jego córka tego dnia szóstego czy siódmego miesiąca ciąży, mimo świadomości przegranego życia, z czułością głaskała nabrzmiąły brzuch, w którym poruszał się Obcy. Miała oblicze anioła. Gdybym teraz miał milion dolarów, bym go jej dał. Miałem jednak tylko czterysta złotych, które wsunąłem jej do kieszeni, upominając, żeby nic nie mówiła ojcu.

Dobry ze mnie człowiek. Choć przy tym stuprocentowy drań.

W knajpie na Stawki piwo nalewała wiecznie pijana barmanka. Miała jakieś trzydzieści pięć lat i w chwilach, gdy nie piła, pieprzyła się z motorniczym tramwaju. Tym się od niej różnił, że nigdy nie przerywał picia.

Nalewane przez nią piwo miało wyjątkowy smak, co tłumaczyła dbałością o higienę aparatury dystrybucyjnej.

– Podpisze pan petycję? – zapytała.

– Jaką petycję?

– Chcą mi zamknąć lokal i postawić tu galerię handlową.

– Podpiszę.

Gdyby miała milion dolarów, nie zbierałaby żadnych podpisów.

Usiadłem przy wolnym stoliku. Przy oknie siedział majster z budowy, przed którym schły trzy pobrudzone pianą od piwa kufle, czwarty – opróżniony do połowy – tkwił w ręku. Trzy lata później miał spaść z rusztowania i skrócić kręgosłup, ale jak na razie cieszył się dobrym zdrowiem.

Stolik dalej zajmowało dwóch nijakich gości, którzy rozmawiali o interesach. Posłyszałem coś o kostce brukowej i żelbetonie.

Tuż przy toalecie miejsce zajęła młoda kobieta w towarzystwie czterdziestoletniego właściciela firmy transportowej, który jedną dłoń opierał na jej ramieniu, a drugą na kolanie. On był szefem, ona jego pracownicą. Za godzinę, w ciasnym łóżku pobliskiego motelu mieli negocjować dalszą umowę po trzymiesięcznym okresie próbnym. Żadna z tych osób nie miała miliona dolarów. Facet, który bez zaproszenia przysiadł się do mojego stolika, też nie wyglądał na nadzianego. Ale za to miał propozycję nie do odrzucenia.

Generał Bernard Stolarczyk, głównodowodzący wywiadu wojskowego, w galabii i arafatce wyglądałby wyjątkowo zabawnie, gdyby nie ucharakteryzowano go tak, że rodzony syn by go nie poznał. Śniada cera, wydatne usta, czarne oczy o łagodnie psychopatycznym wejrzeniu. Zajmował zaszczytne miejsce przy stoliku Republiki Konga na targach „Ropa za żywność” w Pałacu Kultury i Nauki. Opoдал dwóch jego równie dobrze ucharakteryzowanych podwładnych sprzedawało za żywą gotówkę czołgi Iranowi. Jeden z nich opierał ramię o głośno szumiący kreator 666.

– Jak się czuje pan Bols? – zapytał bez wstępu, gdy posłaniec doprowadził mnie do niego.

– Ostatnio prawie o nim nie słyszałem.

– Wiem, wiem. Rozpracowuje pan aferę drzewną. Tylko pochwalić. Jak panu poszło z Interpolem?

– Bez fajerwerków – mruknąłem, zastanawiając się, skąd u licha wie o aferze drzewnej. Choć pewnie należało zadać sobie pytanie: co wie. Pytać nie było po co, bo znałem odpowiedź: tajemnica. – Ucieliśmy sobie pogawędkę, usłyszeli, co chcieli usłyszeć i poszli.

– Na dziwki – zarechotał i klepnął się po udzie. – O mało co nie wywołał pan incydentu międzynarodowego.

– Ato niby dlaczego?

– Panowie Cranbery i Grand tak zasmakowali w naszej krajowej rozpuście, że – ku przerażeniu ich tłumacza – używali przez całą noc, psując narodowe skarby Polski na najbardziej wymyślnie sposoby. Prawdziwi potomkowie markiza de Sade. Stuknęli po trzy na łebka, przy czym ich kieszenie огоłociły już dwie pierwsze. Karty kredytowe, legitymacje Interpolu, kajdanki i zarejestrowana w ścisłym zarachowaniu broń trafiły na czarny rynek. Nie mieli czym zapłacić za hotel, więc ochroniarze obili im tyłki i wyrzucili na zbity pysk. Na golasa. Na domiar złego tłumacz, widząc, co się święci, dał nogę i jak



ich zgarnął patrol z ulicy, naszych francuskich przyjaciół uznano za czubków. Trafili do szpitala przy Brzeskiej, gdzie przez cały dzień szukano tłumacza. Koniec końców szczęśliwie wrócili do domu i następnego dnia odlecieli do Paryża. Ambasador zamierzał wystąpić z oficjalną notą protestacyjną, ale nasza agentka przekonała go swoimi sposobami do zmiany zdania. Tak czy inaczej Cranbery i Grand nigdy już nie odwiedzą naszego pięknego kraju. Nieodżałowana strata, bo wie pan, jak musimy walczyć o turystów.

Przy stoliku obok dwaj zakonspirowani agenci przesunęli w kierunku handlowców z Iranu kolejne plastikowe modele czołgów. Zdaje się, że jeden z nich był niemieckim Leopardem. Sąsiedzi wcisnęli nam ten chłam, a teraz nasi próbowali się go pozbyć. Biedne Arabusy dały się nabrać. W zamian za modele na miejsce obok naszych agentów powędrował kolejny nesesor wypełniony milionami petrodolarów. Takim to dobrze.

– Czego pan ode mnie oczekuje?

– Proszę mi opowiedzieć, co pan usłyszał od Interpolu – zażądał Stolarczyk.

Zdanie relacji nie zajęło mi dłużej niż pięć minut, przy czym przez trzy pierwsze mówiłem nieskładnie, zastanawiając się, czy potomni nie zakwalifikują mojej wypowiedzi jako świadectwa współpracy ze służbami, za co w przyszłości mogą przecież obcinać głowę. Ale w końcu jestem patriotą, a tacy nie myślą o przyszłości. Powiedziałem o podejrzeniach międzynarodowej policji i imponującym zbiorze zdjęć archiwalnych.

– Tego się obawialiśmy – szepnął generał.

– To znaczy, czego?

– Uważają, że to nasza sprawka.

– Jak to nasza?

Generał poprawił arafatkę i rozsiadł się wygodniej, z czego wnosilem, że zanosি się na dłuższą pogawędkę.

– Myślą, że Bols jest naszym agentem. W przeciwnym razie nie pokazywaliby panu zdjęć i nie byłiby tacy otwarci. Oczywiście nie wiemy, czy te zdjęcia są autentyczne, ale nawet jeśli nie są, to tym bardziej potwierdza nasze podejrzenia.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Agenci Interpolu doskonale wiedzieli, że będziemy z panem w kontakcie. Nic nie przemawiało za tym, żeby wprowadzać pana w szczegóły śledztwa, więc świadomie wykorzystali pańską osobę jako pośrednika w przekazaniu nam ostrzeżenia.

– A może po prostu są bardziej otwarci w kontaktach ze świadkami. W końcu pochodzą z kraju demokratycznego.

– Wierzy pan w te bzdury o demokracji? – mruknął z przekąsem.

– Tak mi się powiedziało.

– To pewne, chcą, żebyśmy wiedzieli i czekają teraz na nasz ruch. Nie są pewni, czy Bols jest byłym agentem, czy wciąż działa na nasze zlecenie.

– Ale przecież to bzdura.

– Co takiego?

– Że ten facet może być naszym agentem. Generał rozejrzał się wokół, a ja powiodłem za jego spojrzeniem. Irańczyk obok zrezygnował z kolejnego modelu czołgu i zainteresował się wyrzutnią rakiet ziemia powietrze. Była zdecydowanie bardziej kolorowa.

– Nie do końca – powiedział generał.

– Tak?

– Nie do końca to musi być bzdura – powtórzył jaśniej. – Widzi pan, po osiemdziesiątym dziewiątym zapanował straszny burdel. Czystki, weryfikacje, cięcia w funduszach, takie tam pierdoły. Cała masa agentów musiała opuścić nasze szeregi. Część, wzorem milicjantów, została taksówkarzami, część poszła do biznesu, jeszcze inni zajęli się ciemnymi sprawkami. Tak, tak, większość rodzimych gangsterów sami wyszkoliliśmy.

– Nawet jeśli, w co wątpię, pan Bols był jednym z nich, to przecież odszedł ze służby – wtrąciłem. – Nie mamy już nic do niego, choć pewnie najlepiej sami powinniśmy to wyjaśnić.

– Może być jeszcze gorzej.

– Co ma pan na myśli?

– Jeden z poprzednich ministrów utworzył w naszym wydziale specjalną komórkę do walki z terroryzmem. Tajny organ. Najlepsi z najlepszych. W tamtych czasach taki twór był zupełnie nieuzasadniony, ale kto teraz o tym pamięta. Przez

jakieś dwa lata szkolono ich wspólnie z Mosadem, a potem przysłała zmiana władzy i ktoś poszedł po rozum do głowy. Zanim jednak ją zlikwidowano, wszystko znikło.

– Jak to?

– Wydział X wyparował. Znikły wszystkie dokumenty, wszystkie teczki, wszystkie materiały archiwalne. No i ludzie. Szesnastu doskonale wyszkolonych agentów rozplynęło się w powietrzu, zabierając ze sobą cały bagaż historii i jakieś trzysta milionów funduszu celowego ze specjalnego konta. Najgorsze, że prawdopodobnie przeszli na drugą stronę. Podejrzewamy, że ten Bols, jakkolwiek się naprawdę nazywa, jest jednym z nich.

W sobotę Weronika kazała mi założyć garnitur i powiedziała, żebym nawet nie myślał o kapeluszu. Mam wyglądać jak rasowy spec od podatków i nie wdawać się z nikim w dysputy natury zawodowej. Wcześniej poszliśmy do fryzjera, gdzie szalenie seksowna blondynka doprowadziła mnie niemal na szczyt rozkoszy, myjąc mi głowę i wrzucając niby od niechcenia wizytówkę z napisem: Anabelle, wizyty domowe. Na strzyżeniu знаła się mniej, co doprowadziło do kłótni z Weroniką. Kiedy wsiadaliśmy do samochodu, moja dziewczyna syknęła:

– Dziwka.

– Święta racja – odparłem.

W drodze do miejsca, w którym miała się odbyć uroczystość urodzinowa jej ojca, utknęliśmy w korku. Weronika zagryzła dolną wargę i skłęła jakiegoś grubego gościa w citroenie C5, który miał ochotę w rewanżu obić mi głowę, ale zrejterował na widok obrzyna, którego wytrzasnąłem z poręcznego schowka pod kierownicą. Weronika zażądała, żebym go zastrzelił, a kiedy odmówiłem, spisała rejestrację. Gość powinien uważać, żeby nie mieć poważnego wypadku wymagającego interwencji pogotowia.

Z powodu tego incydentu jechaliśmy w minorowych nastrojach, ale kiedy dotarliśmy na miejsce, Weronice wrócił humor. Pocałowała mnie w policzek i szepnęła:

– Bądź grzeczny.

Niewiele wiedziałem o jej ojcu, ale na widok, który roztaczał się przede mną, pomyślałem, że nieźle trafiłem i zapragnąłem natychmiast się oświadczyć. Gdyby nie wrodzona nieufność i świadomość skłonności mojego umysłu do fantasmagorii, pewnie bym to zrobił.

Przyjęcie odbywało się w zabytkowym dworku, przed którym rozpościerał się imponujący ogród i lasek bułoński. Na hektarze przystrzyżonego trawnika ustawiono setki stolików. Do kotleta przygrywała murzyńska kapela ze znaną jazzową

śpiewaczką. Przed posesją stała setka taksówek i wynajętych busów, a wszystkiego pilnował pułk oddanych sprawie ochroniarzy. Ojciec i macocha Weroniki witali gości nieco na lewo od wejścia.

– Witaj, kochanie – rzuciła macocha. Podąłem jej dłoń, a następnie uściśnąłem zimną prawicę przyszłego lub też niedoszłego teścia. Był siwy jak kreda i wyglądał jak dostojnik kościelny. Nie spojrział mi w oczy i, szczerze mówiąc, potraktował mnie jak gówno na trawniku, które szczęśliwie ominął.

– Nie martw się – szepnęła Weronika. – Taki już jest.

– Tak. Dam głowę, że ukrywa pod marynarką bijące serdecznością serce.

Udała, że nie słyszy.

Gość, który krył się za plecami Taty, i wyglądał na jego sekretarza, wpiął mi w klapę marynarki trójkolorową kokardę. Kiedy to samo robił Weronice, miałem wrażenie, że zbyt długo przytrzymał jej dłoń na piersi. Ale pewnie to tylko mój pieski charakter.

Posadzono nas przy stoliku zaraz koło sceny w towarzystwie jakiejś sześćdziesięciolatki, która trzymała za rękę dużo młodszego mężczyznę wyglądającego na modela. Gdzieś już go widziałem. Stolik obok zajmowali redaktorzy sportowi telewizji, a po drugiej stronie zasiadł aktor filmów akcji z dwoma nastolatkami, które lizały podłużne lizaki. Tuż przy scenie, przy honorowym stole pana domu, przystawkami rozkoszowało się kilku prezydentów miast, minister spraw zagranicznych i prokurator generalny. Śmietanka.

– Nie wiedziałem, że twój ojciec obraca się w takich kręgach – szepnąłem do Weroniki, ale ona zbyła mnie machnięciem ręki i wskazała ukradkiem na sześćdziesięciolatkę.

– Czy to nie ona?

– Kto?

– Miss Polonia.

– Wydawało mi się, że jest nieco młodsza.

– Sprzed czterdziestu lat, baranie. Sześćdziesięciolatka skinęła nam głową, potwierdzając jej domysły. Potem nachyliła

się do mnie i szepnęła, że jestem wyjątkowym szczęściarzem, mogąc budzić się koło takiej kobiety jak Weronika, choć pewnie byłbym większym, gdyby dane mi było budzić się koło niej.

– Oczywiście czterdzieści lat temu. To były czasy.

– Powinna pani pogadać z moim ojcem. Jazzowa kapela przestała przygrywać i na scenę wkroczył konferansjer dziwnie podobny do znanego komika.

– Chciałbym powiedzieć, że miło mi państwa powitać – rzucił. – I pewnie byłoby miło, gdybym mógł liczyć na wzajemność. Ale zważywszy na okoliczności, przejdę do rzeczy i proszę nie rzucać pomidorami.

Jak przystało na porządnego komika, zaczął klepać zupełnie nieśmieszne bzdury, wywołując raz po raz salwy całkowicie nieuzasadnionego śmiechu.

Zapowiedział, że następnym punktem programu jest zbiórka darów dla dzieci specjalnej troski i poprosił o powszechną mobilizację. Goście z pierwszych rzędów ruszyli do toalet, a zaraz potem pojawili się zbieracze datków. Dałem stówę, a potem drugą zachęcony kuksańcem Weroniki. Była miss Polonia wykpiła się, racząc zbieracza uroczym uśmiechem, a jej towarzysz zapadł w chwilową drzemkę.

Kiedy zbieracze wrócili za kulisy a goście specjaliści na miejsca, podano bażanty i przepiórki. Na scenę ponownie wkroczyła grupa Czarnuchów. Zagrali jakiś kawałek Milesa Davisa, przy którym można było zasnąć, a potem na scenie pojawił się Tato. Towarzyszył mu cały sztab przydupasów i dwóch młodzieńców z wysiłkiem taszczących chorągiew Polski i sztandar jakiegoś ugrupowania politycznego, w kolorach, w jakich była wpięta w moją klapę kokarda. Białoczerwoni-niebieskie, jak flaga Francji. Tato chwycił mikrofon i rzucił pełnym siły głosem:

– Wiem, że wielu z was czekało ze zniecierpliwieniem na moją decyzję. Wiem też, że równie wielu odradzało mi podejmowanie tych oczywistych kroków, ale jeszcze więcej do nich zachęcało. Potrzeba wzywa. Państwo chwieje się na glinianych nogach. Więc potwierdzam: będę kandydował.

A potem poprawił się:

– Będę waszym prezydentem.

Murzyńska kapela przycięła wstawkę, a za plecami mojego przyszłego bądź też niedoszłego teścia odsłonięto wyborczy transparent. Tato, Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej.

Szef sztabu wyborczego przejął pałeczkę i rzucił:

– Naszą maskotką – dzięki uprzejmości amerykańskiej wytwórni filmowej – będzie Kaczor Donald. A hasłem: Gdzie dwóch się bije, tam prawda wygrywa.

Wszyscy wstali i zaczęli klaskać, nie zważając na prostacki banał chwytów wyborczych. Zwykle nie idę na rzeź razem z tłumem, ale tym razem wypadło się podłączyć.

– Nic nie mówiłaś, że twój tato chce zostać prezydentem – szepnąłem do Weroniki, klaszcząc z ożywieniem.

– Nic nie wiedziałam – odparła. – Dotąd był chirurgiem. Pewnie wziął przykład z kolegi kardiologa, któremu wiecznie nie wychodzi.

Pomyślałem, że to kolejny dowód, że powinniśmy częściej oglądać telewizję, w której pewnie nie raz przedstawiano tatusia jako potencjalnego kandydata. Kiedy rzesza notabli zaczęła wyrывать Weronikę do tańca, zająłem się zachęcająco wyglądającą flaszką smirnoffa i po chwili zapadłem w stan refleksyjny. Ale wcale nie myślałem o prezydenckich aspiracjach ojca mojej narzeczonej. W końcu i tak pewnie nie miał szans.

W trzeciej godzinie przyjęcia przy naszym stoliku pojawił się posłaniec. Tata uznał, że należy porozmawiać z poborcą podatkowym. Weronika położyła mi dłoń na ramieniu:

– Idź i nic się nie bój. Tata jest uroczy.

Uroczy tata siedział w jednym z gabinetów na tyłach dworku i podpisywał jakieś dokumenty. Posłaniec przeprowadził mnie do niego, klucząc w labiryncie drzew i zdecydowanie naokoło, jakby chciał mieć pewność, że sam nie trafię z powrotem. Przed wejściem czekało dwóch dryblasów.

– Nie masz broni, ołówków, noży do papieru i magnetofonu?

– Nie.

Sprawdzili mnie dokładnie włącznie z jajkami i odbytem, po

czym poklepanego przyjacielsko po głębie przepuścili dalej. Tato siedział za biurkiem. Dokumenty do podpisu przedkładał mu Sekretarz, a obok stał Szef Sztabu Wyborczego. Kiedy pojawiłem się w wejściu, Szef zaprosił mnie gestem dłoni, żebym podszedł bliżej, a sam przesunął się za moje plecy, co wprawiło mnie w pewien niepokój.

Pokój tonął w mroku. Jeśli oglądaliście pierwszą część „Ojca Chrzestnego”, to powiem tylko, że ten gabinet był bliźniaczo podobny do biura Don Corleone. Sekretarz rzucił ostatni dokument do podpisu i przysiadł nieco dalej, po prawej stronie Taty.

Ojciec Weroniki zsunął okulary na czubek nosa. – A więc to ty jesteś ten... Stawiński.

– Michał Stawiński – wypadło podać dłoń, ale bałem się, że zlekceważy ten przyjacielski gest i wprawi mnie w jeszcze większe zakłopotanie. Poza tym przecież to starsi pierwsi wyciągają dłoń.

– Więc jesteś rzekomo poborcą podatkowym?

– Doradcą – mruknąłem niepewnie. – Nawet nie rzekomo.

– Tak ci kazała powiedzieć – tato zdawał się mnie nie słuchać. – Ech, ta moja córka. Myśli, że uwierzę w każdą jej bajeczkę. Choć muszę przyznać, że mam do niej słabość.

Jakoś nic mądrego do powiedzenia nie przyszło mi do głowy. Tato tymczasem sięgnął po jakąś teczkę i zacytował:

– Michał Stawiński, detektyw, prowadzi agenturę wywiadu gospodarczego wspólnie z niejakim Morganem, którego nikt nigdy nie widział na oczy, oraz z byłą zawodniczką boksu zawodowego. Niechętny urzędowi skarbowym. Upierdliwy, ale niegroźny. Kłamca i pijak. Nieciekawy typ.

To ja. Mogłem tylko zwiesić skruszoną głowę.

– Dlaczego zrezygnowałeś z produkcji indyków, podobno szło ci całkiem niezle?

– Zawsze chciałem zostać detektywem – wyznałem.

– Policjantem – poprawił. – Trzy razy zdawałeś do szkoły policyjnej, ale cię odrzucono.

– Zabrakło mi naprawdę niewiele.

– Tu piszą co innego, ale nieważne. Epizod w domu wariatów.



– Byłem opiekunem.

– Przez rok. Nie wytrzymałeś napięcia? – roześmiał się, a ponieważ nie odpowiedziałem, ciągnął dalej. – Służba wojskowa odroczone.

– Mam kategorię: niezdolny do służby w czasie pokoju.

– Ile zapłaciłeś?

– Ależ... to było całkowicie udokumentowane odroczenie. Mam słaby wzrok i uraz stawu barkowego.

– Ile? – naciskał, więc nie wypadało dalej się zapierać.

– Tysiąc. To znaczy, licząc po denominacji. Pokiwał głową, jakby chciał dać do zrozumienia, że łączy się z moim bólem z powodu wyrzucenia w błoto całego tysiąca nowych złotych.

– Myśli pan, że przepłaciłem? Nie odpowiedział. Ten wątek przestał go interesować.

– Te indyki. Największy producent w Europie. Eksport do Kanady. Dlaczego zrezygnowałeś, synu?

– Zadłużyłem się – szepnąłem.

– Zadłużyłeś? – pokiwał głową. – Na dodatek nie spłaciłeś długów. Powinieneś być szczęśliwy, że potraktowali cię tak łagodnie.

Tak, prawdziwy ze mnie szczęściarz. Dziecko fortuny. Tato skończył czytać, poprawił okulary i odłożył teczkę.

– Cóż, jak na zięcia kandydata na prezydenta nie wygląda to najlepiej. Wiesz, że w trakcie kampanii wyborczej wyciąga się różne brudy. Patrząc na twój barwny życiorys, możemy być przekonani, że wkrótce gazety w Polsce zaczną się rozpisywać o twojej skromnej osobie, oczywiście nadmieniając o powiązaniach z moją córką. Wiesz, jakie będą wnioski?

–?

– Że otaczam się szumowinami.

– Sugeruje pan, że powinienem zaprzestać kontaktów z Weroniką?

– To byłoby pewnie najlepsze – powiedział ojciec ze spokojem w głosie. – Ale przecież moja córka nigdy by mi nie wybaczyła. Poza tym lepiej znać czule punkty niż zostać zaatakowanym z zaskoczenia.

Tato wstał i podszedł do mnie. Poczulem, jak coś ściska mnie

za krtań. Jeśli miał zamiar skrócić mi kark, to był najlepszy moment.

– To twój pomysł z tym winchesterem?

– Wspólny.

– Twój, wiem, że twój. Wspaniały pomysł. Whiskey też niezła.

Uściskał mnie. Naprawdę, objął ramieniem i uściskał. Chyba pierwszy raz ścisnął mnie, i to z nieskrywaną serdecznością, kandydat na prezydenta, nie licząc pewnego mocno podtrutego gościa jakieś pięć lat temu, który również zapewniał mnie, że będzie prezydentem, ale – o ile wiem – z tych planów nic nie wyszło i nigdy nie wyjdzie. Ale gdybym liczył takie incydenty, to miałbym już na koncie braterstwo z niejednym prezydentem, papieżem, a nawet z samym Jezusem Chrystusem.

– Masz moje błogosławieństwo, synu – szepnęła i poklepała mnie po plecach. – A teraz idź się baw. Mamy szczęśliwy dzień. Cieszmy się i kochajmy.

Odprowadził mnie Sekretarz. Był nawet trochę podobny do Toma z „Ojca Chrzestnego”. Chudy, służalczy, z gładko przylizaną grzywką, którą starał się zasłonić postępującą łysinę. Miał pociągłą twarz o ostrych rysach. Zanim wyszliśmy przed gmach, chwycił mnie silnie za ramię i zmusił do spojrzenia prosto w wodniste oczy.

– Od dziś żadnego chlania na ławce w parku, żadnych dziwek, żadnych Żydów, Murzynów i pedałów w otoczeniu. Nie wolno ci nawet przekraczać prędkości, rozumiesz?

– Tak – choć zastanawiałem się, dlaczego – mimo że wymienił ich jednym ciągiem – Żydów i Murzynów powiedział dużymi literami, a pedałów małymi.

– A z Weroniką – zapalił mu się jakiś dziwny błysk, jakby była jego siostrą. – Tylko po bożemu. Jeżeli przez ciebie ON nie zostanie prezydentem, to cię zabiję.

Zdaje się, że wierzył w to, co mówi. Ja nie bardzo. Ostatnio spotkałem wielu dużo bardziej przekonujących typów, a wciąż mogłem chodzić, a nawet tańczyć i podskakiwać.

– Ma szanse? – zapytałem spokojnie o notowania Taty.

– Niewielkie. Pewnie musiałyby zdarzyć się cud.

– To po co ta gadka?

– Cuda się zdarzają – odparł, strzepując mi pyłek z marynarki. – Jednak jeśli przegra, zaczniesz się szukać winnych. Postaraj się być w drugiej dziesiątce.

– Nigdy nie byłem prymusem. Około czwartej nad ranem goście zaczęli rozjeżdżać się po domach. Nikt się nie upił, nikt nie rzygał pod płotem, nikt nie bzykał w krzakach i nie leżał na trawniku. Smutna, polityczna impreza. Nawet ja – słysząc jeszcze w uszach syk Sekretarza Toma – wziąłem sobie na wstrzymanie, bunkrując jedynie na noc flaszkę Smirnoffa.

Dostaliśmy z Weroniką dwa oddalone od siebie pokoje na piętrze, w których można by pomieścić małe domki jednorodzinne. Łóżko pod oknem szerokie na pięć metrów wydawało się stworzone do miłości, ale należało o tym zapomnieć na tę noc, więc postanowiłem pooglądać telewizję. Jakież było moje zaskoczenie, gdy telewizor okazał się atrapą. Te oszczędności.

Wypilem pół flaszki, gdy usłyszałem skrzypienie drzwi. Weronika na bosaka i w nocnej koszuli wśliznęła się pod kołdrę.

– Jak do mnie trafiłaś? – zapytałem szczerze zaskoczony.

– Odwiedziłam po drodze dziesięć pokoi – zażartowała. – Ale mam jeszcze siłę na małe co nieco.

Małe co nieco zajęło nam dwie godziny. Nie minęła pierwsza, gdy wyszedłem z siebie, i stojąc z boku z nieskrywanym dłużej znudzeniem, patrzyłem na dwa ciała kotłujące się na wielkim łóżku w zupełnie bezsensownym tańcu.

W poniedziałek rano Ivo nie było w biurze. Wpadła dopiero koło pierwszej i chyba tylko po to, żeby rzucić mi w twarz gazetę.

– To twoja robota?

– Co? – udałem zaskoczonego.

Pierwsza strona, góra jedyńki. JAK TO SIĘ ROBI NA KOMISARIACIE... Pod wielkim tytułem zdjęcia stylizowane na komiks.

Godzina 13 – NA PIERWSZYM PIĘTRZE ROZPOCZYNA SIĘ ORGIA. 14. 15 – DOŁĄCZAJĄ KOLEJNE PANIE. 16. 00 – BEZ GRANIC, w ramach dobrosąsiedzkich stosunków, policjanci zaprzyjaźniają się z obywatelkami Senegalii i Wietnamu. W międzyczasie policyjny radiowóz na sygnale skacze do sklepu i wraca ze skrzynką wódki. Impreza o mało nie kończy się tragicznie, gdy do drzwi puka męska prostytutka. Biedny mężczyzna, katowany pałkami, zostaje zmuszony do współżycia z kobietami.

W Polsce stosunkowo łatwo rozkręcić aferę.

– Dlaczego uważasz, że mam z tym coś wspólnego?

– Nie zgrywaj się. Pisał to Chudy.

– O ile wiem, ma układy z całą bandą podobnych mi kretynów.

Nawet nie usłyszeliśmy, jak drzwi się otwierają.

– Ale żaden z nich nie mógł wpaść na aż tak kretyński pomysł – to mówiła Magda, którą przecież wprowadziłem we wszystkie szczegóły. Miała na sobie bordową pelerynę i jak zwykle ciemne okulary. – Lepiej włączcie telewizor.

Akurat w komendzie głównej rozpoczynała się konferencja prasowa. Kilku wysokich oficerów miało miny jakby właśnie wybuchła trzecia wojna światowa. Redaktorka prowadząca program mówiła:

– Wcześniej w Polskim Radiu minister spraw wewnętrznych nazwał całą sprawę prowokacją, stwierdzając, że w polskich

komisariatach takie praktyki nie mają prawa mieć miejsca. Mimo to wyraził gotowość podania się do dymisji. Czekamy teraz na rozpoczęcie konferencji komendanta głównego. Zostańcie państwo z nami.

Przeleciała reklama i wstawka: ORGIA NA KOMISARIACIE.

– No to narozrabiałeś – powiedziała Magda. – Masz dwadzieścia cztery godziny, żeby to wszystko odkręcić, bo inaczej gliny urwą ci łeb i zagrają nim w zbijanego.

– A więc to on – mruknęła do Magdy Ivo. – A myślałaś, że kto?

Ivo zrobiła dwa szybkie kroki w moim kierunku. Przygotowałem się na dotkliwy nokaut, ale nawet nie wzięła zamachu. Jednym szybkim ruchem wyrwała mi gazetę.

– I po co to zrobiłeś? – mruknęła.

– Dla jaj? – podsunęła Magda.

– Tym razem nie zamierzam cię chronić – rzuciła Ivo.

– Ani ja – dodała Magda.

Moje dwie wspaniałe agentki. Dziewczyny z klasą. Nie chcą mieć nic wspólnego z podżegaczem i intrygantem. To się chwali.

– A więc wyrok został wydany – powiedziałem z wystudowanym spokojem. – Towarzysz Merkel, kochanek mojej nieocenionej prawej ręki oraz kolega po fachu żarliwie wspierającej mnie kopalni informacji, wychodzi zwycięsko z tego starcia. Porządny, biedny glina, który zamierzał tylko w spokoju prowadzić swoje brudne interesy, umarżając kolejne śledztwa, padł ofiarą perfidnej prowokacji nierzetelnego detektywa, lecz koniec końców triumfuje.

Ivo rozdziawiła gębę. Magda pokręciła głową z przekąsem.

– Oco ci chodzi?

– Obie wiecie, że Merkel zamierzał udupić śledztwo w sprawie zabójstwa Sadowskiej i pewnie dałby bandziorem zielone światło na pozbycie się Piekus – to chyba była najlepsza linia obrony. – Gdybyśmy nic nie zrobili, pewnie szybko sprowadziłby nas na ziemię i kazał zająć się swoimi sprawami. A tak musi uważać, bo jest na tapecie.

– Z ciebie to jest ostatni sprawiedliwy – mruknęła Magda.

– Żebyś wiedziała.

Ivo podrapała się po głowie. Musiała chyba to sobie przemyśleć. Może Merkel i dobrze dymał, ale jego brak zainteresowania śledztwem w sprawie Sadowskiej był oczywisty.

Poprosiłem, żeby obie usiadły i zacząłem kreślić wizję całej sprawy. Oczywiście nie miałem pojęcia, co mówić, więc klepałem, co mi ślina na język przyniosła. Ivo słuchała uważnie, Magda po kwadransie miała dosyć.

– Do czego zmierzasz?

– Jeśli mamy rozwikłać tę sprawę, musimy wziąć się do roboty – powiedziałem z silnym akcentem na ostatnie sylaby. – Trzeba opracować plan dalszych działań.

Następną godzinę próbowałem go nakreślić. Moja wizja jednak nie nadaje się do publikacji. Nuda, nuda i jeszcze raz nuda.

Magda w końcu ziewnęła. Jak przystało na analityka, zamierzała się posłużyć swoim ścisłym umysłem, za co w duchu jej dziękowałem.

– Więc, co mamy? Dwie zastraszane kobiety, jedna nie żyje, druga prawdopodobnie ma zginąć w ciągu najbliższych dni. Różnią się od siebie zarówno wiekiem, jak i pochodzeniem czy budową anatomiczną. Jedyne wątek wspólny to prowadzona działalność – obie robiły, czy też robią w drewnie. Należy przyjąć, że właśnie to doprowadziło do konfliktu z gangsterami.

– Ich mocodawcami – poprawiłem. – Gangsterzy wypełniali zlecenia kogoś innego. Piekus wyjawiała nam, że próbowano wymusić na niej sprzedaż udziałów dla jakiegoś Bazyliszka. Wniosek nasuwa się sam.

– Trzeba odwiedzić Bazyliszka – podsunęła Magda. Ivo machnęła ręką.

– Sprawdzalam tę firmę. Upadła rok temu. Zajmowała się badaniami nad utylizacją azbestu. Teraz nawet nie ma siedziby – powiedziała.

– Czy upadła firma może kupować udziały w innej? – zadałem sobie sam pytanie.

– Dlaczego nie – szepnęła Magda. – Jeśli syndyk wzięł w łapę.

- Przykrywka – mruknąłem.
- Przykrywka – odparły zgodnie.
- Więc pozostaje nam.
- Chyba nie ma innego wyjścia – powiedziała Magda. – Trzeba porozmawiać z Mrówą i wyciągnąć od niego, kto chciał, żebyś odczepił się od Piekus.
- Ale nikt z nas nie ma doświadczenia w wyciąganiu zeznań z gangsterów – zazaczyłem. – Obawiam się, że nawet gdybyśmy wynajęli pluton wojska, oni wciąż mieliby przewagę psychologiczną, a być może też zbrojną.
- Niekoniecznie – wtrąciła Ivo.
- Co masz na myśli? – zapytaliśmy jednocześnie.
- Mrówa specjalizuje się w haraczach, dobrze zna ten fach i nikt mu nie podskakuje. Ale trzyma się z daleka od interesów, w które mogą być zamieszane jakieś polityczne siły. Woli nie igrzać z ogniem.
- Co to zmienia?
- Mrówa bazuje na strachu. Jeśli ktoś przed nim ucieka, to znaczy, że się boi i nie ma żadnych układów. Takiego można zdjąć. Ty mogłeś mu dać do myślenia. Nagłe pojawienie się Małego, kto wie czy przypadkowe. Potem zainteresowanie tego gangstera twoją osobą, a na koniec sprawa z samochodem jego chłopców do bicia. Myślisz, że co on myśli?
- Zastanawia się, czy następnym razem nie wysłać czołgu?
- Myślę, że to wszystko zabiło mu gwoździa. Zaczął się bać. Może nawet boi się tak, że mu się trzęsą gacie.
- Mnie się boi? – uśmiechnąłem się.
- Nie ciebie, tylko sytuacji. Boi się, że wdepnął w gówno, które nie tylko śmierdzi, ale zaczyna pożerać mu buty. Prawdopodobnie nie wie, co jest grane. I tu widzę naszą szansę.
- Niby jaką?
- To prymityw. Jak dobrze zagrasz przed nim twardziela, to narobi pod siebie i – kto wie – może nawet zacznie cię błagać, żebyś dał mu spokój.
- Co nie znaczy, że ujawni swoich mocodawców.
- To prawda, ich może bać się jeszcze bardziej.
- Więc nic nie wskóramy.

– Niekoniecznie. Jeśli go wystraszymy, pierwsze, co zrobi po twoim wyjściu, to zadzwoni do nich, informując o zajściu i pytając, dlaczego wpędzili go w takie bagno.

– Aco to nam da?

– Założymy mu podsłuch i zobaczymy, do kogo zadzwoni i co powie.

– Rozumiem. Czyli chcesz powiedzieć, że mam wystraszyć Króla Mokotowa?

– Masz wystraszyć Króla Mokotowa.

– Chyba się napiję.

Nalałem sobie szklaneczkę metaksy i przepiłem do lustra. Potem poprawiłem.

– Nie powinienesz tyle pić.

– Przecież prawie nie piję – nie zdążyłem nalać trzeciego, bo Ivo wyrwała mi butelkę.

– Masz być trzeźwy.

– Kto wie, jak to się skończy. Były nieprzejednane. Obie.

– Mam iść do niego sam? – zapytałem niepewnie.

– To zrobi największe wrażenie – Magda pokiwała głową.

– A jeśli. – Co jeśli?

– Jeśli się nie przestraszy?

– To się wkurwi. – No i?

– No i cię zabije.

– Zabije – powtórzyłem, próbując to sobie jakoś ułożyć. – I co dalej?

– Nic. Będziesz nieżywy.



Ivo zapewniła, że jeśli zginę, to mnie pomści.

– Możesz być pewny, że Mrówa będzie żałował, że się urodził  
– powiedziała i mimo że należało przyjąć to jako żart, zabrzmiał strasznie poważnie.

Magda godzinę wcześniej pojechała załatwić wszystkie podsłuchy i inne pierdoły. Zadzwoiła, że nie trzeba było się specjalnie starać, bo cały dom Mrówy od kilku miesięcy jest na nasłuchu.

– On doskonale o tym wie, dlatego w domu zainstalował aparaturę zakłócającą i stara się nie dzwonić ze swoich telefonów, chyba że musi. A jak musi, to rozmawia skrótami i kodami, żebyśmy nie mieli żadnego dowodu na niego.

– To skąd dzwoni, jak chce szczerze pogadać?

– Znalazł sposób. Zresztą znany i popularny. Wychodzi z domu i zabiera komórkę pierwszej napotkanej na drodze osobie. Dzwoni, załatwia swoje sprawy i wyrzuca telefon. Nawet próbowano go kiedyś oskarżyć o rozbój i kradzież telefonu, ale poszkodowany wycofał skargę. Powiedział prokuratorowi, że jest dobrym kolegą Mrówy i pożyczył mu aparat, żeby ten sobie zadzwonił. Zgłosił kradzież, bo mu się coś pomyliło.

– Strach ma wielkie oczy.

– Też byś miał wielkie oczy. Za taki rozbój Mrówa dostałby rok w zawieszeniu albo grzywnę. A poszkodowany gangsterską czapę.

– Racja. Ale w takim razie cały nasz plan bierze w łeb.

– Niekoniecznie. Jak go dobrze wystraszysz, to zadzwoni ze swojego aparatu. Jeśli nie, to będzie to loteria, ale i tak mamy szansę przechwycenia połączenia, bo będziemy monitorować cały sektor wokół jego domu.

– Jakim cudem to załatwiłaś?

– Powiedziałam Staremu, że to związane z tym twoim Bolsem. Bez zmruczenia oka złożył parawkę. Udajemy, że to

specjalna próbna akcja nasłuchowa. A że będziemy podsłuchiwać znanego gangstera, nikt nie powinien się zdziwić.

– Czyli na coś się mogę przydać. Ivo przygotowywała mnie psychicznie do operacji.

Wiadomo było, że nie mogę mieć żadnego podsłuchu, bo cały plan wzięłby w łeb.

– Takiego jak ty na pewno sprawdzą na tę okoliczność. Weźmiesz broń, bo to będzie dobrze o tobie świadczyć i oddasz ją ochroniarzom przy wejściu. Pamiętaj, nie daj jej sobie zabrać, tylko sam wyjmij i im ją daj. W ten sposób budujesz psychologiczną przewagę.

– Dobra. Co jeszcze?

Kazała mi wypić półtora litra niegazowanej wody. Na raz, żebym nie chodził ciągle sikać. Wyjaśniła, że woda oczyszcza organizm, co podnosi pewność siebie. Zdecydowanie mi jej brakowało.

– A teraz najważniejsze. Jak tylko będziesz miał okazję, musisz im pokazać, kto tu rządzi. Na pewno Mrówa nie będzie rozmawiał z tobą sam na sam. Prawdopodobnie weźmie sobie jakiegoś żołnierza i jest duże prawdopodobieństwo, że będzie to idiota. Jak będziemy mieli szczęście, ten idiota może na samym początku rozmowy spróbować cię sprowokować. – W jaki sposób?

– Nazwie cię pedalem albo powie, że wydyma twoją żonę czy matkę. A ty co wtedy zrobisz?

– Powiem mu, że nie mam żony, a matka nie żyje?

– Nie. Dopijesz drinka, którego ci pewnie nie odmówią, podejdiesz do niego i dasz mu w pysk.

– Dam mu w pysk? Przecież to będzie jakiś troglodyta. Nie zrozumie subtelności mojego przyjacielskiego gestu i prawdopodobnie mi odda, jeśli nie zastrzeli.

– To jest możliwe, ale raczej mało prawdopodobne. Pamiętaj, że tam Mrówa wydaje rozkazy. A przecież będzie ciekaw, po co przyszedłeś i nie pozwoli cię zabić, zanim się nie dowie.

– Chyba że też jest idiotą, co jest wielce prawdopodobne.

– To prawda, grasz va banque. Ale jeśli nie znajdziesz żadnej okazji, żeby im pokazać, że jesteś twardziel, to twoje szanse na

wyście z tego bez szwanku spadają o pięćdziesiąt procent.

– Więc mam dać jakiemuś bydlakowi w gębę? –  
przypomniałem.

– Tylko pamiętaj, że z otwartej. To nie ma być akt zemsty,  
tylko symboliczna kara. Upokorzysz go, ale będzie się bał oddać  
bez pozwolenia szefa.

– Marnie to widzę.

– Niestety ja też. Ale trzeba spróbować.

Mrówa wybudował się na peryferiach Ursynowa, bliżej Kabat, w dzielnicy gangsterów i blokowego gówniarstwa okradającego samochody z felg i radioodbiorników. Przed posesją postawił sobie na drodze zakaz wjazdu, żeby mu nikt nie jeździł pod nosem.

Zaparkowałem przed znakiem i przeszedłem około stu metrów pod bramę. Gdzieś za plecami Ivo obserwowała mnie przez lornetkę. W eterze królowała Magda, która nadzorowała ćwiczenia podsłuchowe wydziału śledczego. Abstrakcyjnie czuwał nade mną Profesor, który pewnie był nielecho zaskoczony takim obrotem sprawy.

Mimo wszystko czułem się trochę jak Jurand przekraczający bramę zamku krzyżackiego. Tylko on miał tam córkę, a ja działałem pro publico bono.

– Czego? – rzucił do mnie głos z domofonu.

– Chcę się zobaczyć z Mrówą – odparłem spokojnie, ale stanowczo.

– Umówiony?

– Tak jakby. Musimy pogadać. Jakies pięć minut zastanawiali się, czy mnie wpuścić.

Potem usłyszałem brzęczyk zwalniający zamek w bramce. Pchnąłem ją i ustąpiła.

Troglodytów było dwóch. Jeden stanął z boku, żeby mnie dobrze zobaczyć. Drugi podszedł i zamierzał mnie przemacać.

– Łapy przy sobie – warknąłem, odpychając jego rękę. Gdyby to było na ulicy pewnie z przyjemnością potraktowałby mnie z główki. Tu jednak wszystko działo się wolniej. Sięgnąłem za pazuchę i wyciągnąłem rewolwer magnum. Byli tak oniemieli, że pewnie mógłbym ich spokojnie zastrzelić. Kiedy podałem rewolwer temu pierwszemu, był wyraźnie pod wrażeniem. Pierwsza część planu poszła jak z płatka. Ochroniarz chrząknął i syknął, że i tak musi mnie sprawdzić. Podniosłem ręce na bok i dałem mu się obszukać.

– Za mną – rzucił.

Dom był dość zwyczajny. Wiedziałem, że Mrówa nie ma rodziny, ale spodziewałem się weselszej atmosfery. Żadnych dziwek, żadnego śmiechu, głośnej muzyki. Kilku smutnych typów liczyło forszę z haraczy.

Mrówa siedział w holu i zbijał bąki. Nie słuchał radia, nie oglądał telewizji, nie mówiąc o czytaniu gazet. Tacy jak on powinni dostać od państwa traktor z hektarem pola pod pszenicę i nie byłoby żadnej mafii. Niestety nie wyglądał na intelektualistę.

Trzęsły mi się nogi, ale robiłem dobrą minę do złej gry.

– Ty jesteś Mrówa?

– Ja – przytaknął i wstał.

Był chudy i wysoki. Na twarzy malowało mu się jakieś okrucieństwo.

– Jesteś mi winny przysługę za darowanie życia Gołemu i Myszkinowi.

Zagrało, bo ewidentnie się spał.

– Jeśli jeszcze raz wejdą mi w drogę, już nie żyją

– dodałem. – Rozumiesz?

– Zaraz – Mrówa pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Przychodzisz do mojej jamy i mi grozisz? Kim ty jesteś?

– Sam się prosiłeś.

– Kim ty jesteś kutafonie, żeby... Nie zdążył dokończyć. Być może popełniałem właśnie największy błąd mojego życia, ale trzeba było wykorzystać okazję, bo kto wie, czy doszlibyśmy do mojej małżonki czy też nieboszczki matki. Spięty czekałem na okazję, żeby wdroić dalszą część planu Ivo i Magdy. Ochroniarze jednak się nie ruszali i najwyraźniej nie mieli zamiaru zabierać głosu. Nie widząc szans na zmianę tego stanu rzeczy, sam postanowiłem działać w myśl zasady: im wcześniej tym lepiej.

Najwygodniej byłoby dać w gębę ochroniarzowi, ale jeśli nie było za co.

Podszedłem do Mrówy i zdzieliłem go w pysk z otwartej tak mocno jak to było możliwe. Poleciał na fotel, a ja usłyszałem ochroniarzy, którzy ruszyli z miejsc. Mrowiło mi na całych

plecach. Pierwszy raz w życiu uderzyłem gangstera i to takiego z górnej półki, nawet jeśli zupełnie na to nie wyglądał.

– Leżeć – rzuciłem do ochroniarzy, a potem zwróciłem się do oniemiałego Mrówy. – Jeśli chcesz jeszcze trochę poszczekać w tym życiu, to mnie grzecznie teraz wysłuchasz i każesz swoim gorylom wrócić na miejsce. Mrówa potarł bolący policzek.

– Siadać – mruknął do troglodytów, a ci wykonali polecenie bez mrugnięcia. – Kim ty jesteś?

– Kimś, z kim nie powinieneś zadzierać. Możesz sobie dymać drobnych handlarzy, cukierników, barmanów i zbierać jakieś ochłapy z rynku, ale jak wchodzisz w gumiakach do poważnego biznesu, to powinieneś się spodziewać solidnego kopniaka w tyłek. Co ty sobie, kurwa, myślisz? Że jesteś Czekaiew z rewolucji październikowej?

– Kurwa – mruknął wyraźnie zadowolony, że też zacząłem przeklinać. – O czym ty pierdolisz?

Prawdę mówiąc, sam nie wiedziałem.

– O tym, że wplątałeś się w biznes, który cię przerasta, gdzie tacy jak ty nie mają wstępu i jeśli jeszcze raz spróbujesz nasłać na mnie kogoś, to następną rzeczą, którą o tobie napiszą w gazetach, będzie nekrolog, poniał?

Chyba nie był jednak taki głupi i doszło do niego, że mogę mu naskoczyć.

– Przecież ty jesteś jakimś drobnym łapsem. Zaraz umrzesz.

– Tak? A wiesz, kto to jest – pokazałem mu zdjęcie Taty z gazety.

– Kandydat na prezydenta.

Może był debilem, ale gazety częściej czytał niż ja. Pewnie w poszukiwaniu ofiar.

– A to? – pokazałem drugie zdjęcie.

– Pojęcia nie mam.

– Jego córka – podpowiedziałem. – A kto stoi koło niej?

– Ty.

– A wiesz, co robimy z córką prezydenta, jak nie pozujemy do zdjęć?

Poczerwieniał na gębie zawstydzony. Zdaje się, że miał kompleksy na tle seksualnym.

– I myślisz, że taki zwykły łaps jak ja mógłby posuwać córkę przyszłego prezydenta, gdyby był tylko zwykłym łapsem?

– No, nie – przyznał. – Właściwie to nic do ciebie nie mam.

– To po co nasyłasz na mnie tych dwóch idiotów?

– Ostatnio to ich własna inicjatywa – wzruszył ramionami. – Ale dam im znać, żeby gdzie indziej poszukali rozrywki. Choć są strasznie wkurwieni za te dwa bmw, co im rozwaliliś. Specjalnie sobie je sprowadzili z Niemiec.

– Nie moja wina.

– Ani moja. Więc napijmy się i zakończmy sprawę.

– Mówiłeś, że nic do mnie nie masz?

– Bo nie mam. -Akto ma?

– Tego nie mogę powiedzieć.

– I myślisz, że mimo to możemy zostać przyjaciółmi? Podrapał się po czaszce.

– Wiesz co, grzeje mnie to. Jak nie chcesz, możemy załatwić to inaczej – podniósł dłoń, na który to gest jeden z troglodytów wstał i wyciągnął zza pazuchy pistolet, którego marki z tej odległości nie byłem w stanie rozpoznać.

Zdaje się, że Mrówa proponował dwa rozwiązania. Albo przyjmę jego wyjaśnienia i sobie pójdę, albo mnie wyniosą. Oba mi nie odpowiadały, choć w tych okolicznościach trzeba było wybrać pierwsze.

Wtedy jednak zdarzyło się coś dziwnego, nie pierwszy zresztą raz w tym tygodniu.

Usłyszałem coś w rodzaju świstu i ze ściany za plecami uzbrojonego troglodyty uniósł się wulkan ceglastej mgielki. Żeby dostrzec niewielki otwór, jaki powstał w murze posesji, trzeba było mieć całkiem niezły wzrok, którego ja nie miałem. Dziurę w piersi troglodyty dostrzegłby nawet ślepiec. Ciało goryla z rozerwaną przez jakiś wyjątkowo podły pocisk klatką piersiową zważyło się na ziemię, powodując wyraźne odrętwienie wśród obecnych, włącznie ze mną. Ja jednak, zdając sobie sprawę, kto mógł być przyczyną niedawnego zdarzenia, pierwszy się otrząsnąłem. Nawet mi się to podobało, choć gdzieś tam krążyła myśl, ile będę musiał zapłacić Profesorowi za kolejną niepotrzebną ofiarę.

– Więc jak, dogadamy się? Mrówie zatrzęsły się usta.

– Nie mogę ci powiedzieć. Jeśli bym to zrobił, stałoby się ze mną coś znacznie gorszego niż z tym tam.

No i proszę, cały Król Mokotowa. Rozklejony i wystraszony jak mały chłopiec złapany na podbieraniu forsy z ojcowskiego portfela.

– Dobra – rzekłem. – Ale przekaz, że mam zamiar złożyć im wizytę.



Chyba nieźle mi poszło. Wychodząc od Mrówy, w geście resocjalizacyjnym upomniałem go, że nowy prezydent kraju nie będzie tolerował pobierania haraczy i jeśli dobrze mnie rozumie, to radzę mu wynieść się na Cypr. Następnie udałem się do najbliższego baru, błagając, żeby Ivo czy Magda znalazły mnie dopiero, jak zdążę się rozgościć. Zdążyłem, mając za przyjaciół połówkę beherovki, jedyne mocniejszego alkoholu, jaki tam podawano, oraz trzy puszki piwa Kamrat, którego wątpliwych walorów dotąd nie miałem okazji skosztować.

Ivo wparowała w chwili, kiedy barman nalewał mi dziesiąty kieliszek.

– Jeśli mu nalejesz, złamię ci rękę – rzuciła Ivo tonem wystarczająco przekonującym, żeby barman upuścił butelkę, a kilku współtowarzyszy niedoli okupujących pobliskie stoliki posłało mojej asystentce zaczepne spojrzenia szybko ułagodzone jej niepospolitą siłą przekonywania.

– Miałeś nie pić – zwróciła się do mnie.

– Przecież zrobiłem, co do mnie należało.

– To dopiero początek.

Wzięła mnie za krawat i wyciągnęła przed bar, przeszliśmy ulicę Smoczą, a potem Rycerską i znaleźliśmy się przed grupą podobnych do siebie budynków. Na niewielkim parkingu stała dziwnie wyglądająca furgonetka. Na dachu miała coś, co przypominało wieżyczkę czołgu. Ivo pociągnęła mnie bliżej. Nie musieliśmy pukać, bo drzwi otworzył nam gliniarz w cywilu.

– Proszę – mruknął.

W środku było ze trzydzieści komputerów, tyleż monitorów i całe szafy świecącej błyskotkami aparatury, która wyglądała jak rekwizyty do filmu s.f. Obsługiwało to dwóch techników i Magda, wszyscy w słuchawkach z załączonymi mikrofonami na uszach.

– Siadajcie – powiedział Technik 1 i wskazując Magdę, zakazał nam jej przerywać. – Musimy dać jej dokończyć, bo

chyba coś ma. W międzyczasie możecie sobie obejrzyć najlepsze akcje, jakie zarejestrowaliśmy.

Wyjaśnił, że znaleźliśmy się w specjalnym wozie operacyjnym wydziału śledczego. Był wszędzie tam, gdzie coś się działo. Najlepsze akcje dotyczyły przejechania pieszego na pasach, bijatyki z ochroniarzami, samochodów przejeżdżających na czerwonym, wreszcie pijaka, który próbował trafić do domu, ale ciągle celował w mur, bramę, krawężnik, a najczęściej w jak najbliższe podłoże. Był cały zakrwawiony.

– Sam się tak załatwił, a wygląda, jakby dostał wpierdol od grupy kibiców.

– Długo tak jeszcze?

– Dwie godziny. Odprowadziliśmy go, jak daleko się dało.

– Nie powinniście interweniować?

– Nie jesteśmy grupą interwencyjną, a nikt nie chciał przyjechać. Zresztą koniec końców dotarł do domu.

– To będzie najlepsze, jak dostanie jeszcze w pysk od swojej starej i złąduje ze schodów – dodał Technik 2.

Magda w końcu skończyła.

– Mamy ich – rzuciła z nieskrywanym i wcale nie podzielanym przeze mnie entuzjazmem. – Swoją drogą gratuluje, wypadłeś doskonale.

– Wiesz, co zaszło?

– Nie chciałam cię deprymować, więc nie powiedziałam, że wszystko będziemy słyszeć. Mrówa nie wyłączył komórki i wpieliśmy się przez nią.

– Nie wiedziałem, że są takie cuda techniki.

– Tak czy inaczej doskonale się spisałeś. Jeszcze nie zdążyłeś wyjść, jak Mrówa zadzwonił do kogoś.

– Do kogo?

– Tego nie wiemy. Przynajmniej jeszcze nie wiemy. -Aco wiemy?

– To numer komórkowy, odebrał go ktoś w Warszawie. Z rozmowy niewiele wynikło.

– To znaczy?

– Mrówa zadzwonił i zaczął ochrzaniać rozmówcę, że wpęda go w jakieś gówno, że przed chwilą miał twoją wizytę i że

wydajesz się piekielnie groźnym gościem.

– To ja. Co na to rozmówca?

– Niewiele. Zapytał Mrówę, skąd dzwoni, a kiedy Mrówa powiedział, że z domu, tamten się rozłączył.

– Rzeczywiście niewiele.

– Wystarczy. Mrówa krąży teraz po osiedlu w poszukiwaniu jakiejś ofiary z komórką. Spróbujemy podstawić mu naszego agenta i sfilmować napad.

– Jak się uda, być może pozbędziemy się raz na zawsze tego gangstera – zaznaczył Technik 1.

– Niby jak? Zastrzelicie go w obronie własnej?

– Nie, spróbujemy nakłonić Mrówę, żeby wyjechał z Polski. Już próbujemy znaleźć mu najbliższy lot na Cypr. Podałeś nam niezły pomysł.

– Uwaga – krzyknęła Magda i wskazała jeden z monitorów. Klatka po klatce przedstawiał jakiegoś gościa z telefonem przyklejonym do ucha. Nagle pojawił się koło niego Mrówa, wyrwał mu komórkę, a kiedy agent nie potrafił pogodzić się ze stratą, dostał trzy fangi w zęby. – Nieźle, mamy już rozbój, kradzież, napad z bronią w rękę i to na funkcjonariusza na służbie. Może nawet będzie ciężkie uszkodzenie ciała...

– Bierzymy się za niego – rzucił Technik 2.

Tymczasem Mrówa wybrał jakiś numer.

– Halo – usłyszałem jego głos, który dochodził jak przez mgłę. – To znowu ja. Dzwonię z bezpiecznego łącza.

– Nie jest bezpieczne.

– To kradziona komórka.

– Mówię ci, że nie jest bezpieczna.

– Ale.

– Zamknij się, Mrówa! Sami się odezwiemy. Magda rzuciła ze złością słuchawki.

– Co, znów niewiele? – zapytałem.

– Stul pysk – warknęła i zwróciła się do Technika 1. – Przekaż szturmowcom, że mogą rozpoczynać akcję. I niech nie oszczędzają Mrówy. W końcu uszkodził policjanta.

Miałem ochotę dowiedzieć się, co będzie dalej, ale zostaliśmy wyproszeni z samochodu. Ivo pojechała do klubu sportowego, gdzie zostawiła Danutę Piekus pod ochroną swoich kolegów z koła bokserkiego. Trenowali też tekwondo, aikido, karate i jakieś piętnaście innych sztuk walki. Przez skłonność do tłuczenia się nawzajem po pyskach nie liczyłem, że są w stanie kogokolwiek ochronić, ale może to i lepiej.

Nie miałem samochodu, więc postanowiłem przespacerować się do metra. Stacja Kabaty była ostatnim przystankiem najkrótszej linii kolejki podziemnej w Europie. Pociąg musiał właśnie odjechać, bo nie licząc kilku handlarzy, zapitego obszcymurka, dwóch krawężników i jakiegoś wystraszonego księgowego, nie było tam żywej duszy.

Zamierzałem zasiać spokojnie na ławce i poczekać na przyjazd pociągu, ale zaraz zauważyłem, że zbliża się do mnie zapijaczony obszcymurek. No tak, zupełnie nie wiem dlaczego, ale przyciągam takie typy jak magnes. Ciągnie swój do swego? A może po prostu wiedzą, że okażą im współczucie i podam braterską dłoń jak przystało na dobrego chrześcijanina. Dziś nie miałem jednak ochoty na pogaduszki z pijakami.

Czym prędzej skierowałem się ku księgowemu, który wydał mi się najlepszym celem, żeby zniechęcić pijaka. Jak tylko podszedłem do tego mężczyzny, zauważyłem kątem oka, że pijak wraca na swoje miejsce i rozkłada się na pobliskiej ławce, na które to skandaliczne zachowanie nie reagowały krawężniki.

– Ma pan ogień? – zapytałem, nie bardzo wiedząc, jak zacząć.

Księgowy był niski, miał na sobie prochowiec i kurczowo ścisnął skórzaną teczkę, identyczną jak w filmach, w których takie teczki służyły do przenoszenia strasznie ważnych informacji. Przydałaby mi się taka teczka.

– Tu nie wolno palić – odparł księgowy. – Akto mówi, że będę palił. Chciałem tylko sprawdzić, czy ma pan ogień. Wykonuję badania na rzecz szwedzkiego instytutu walki z rakiem.

Sprawdzamy, ile osób jeżdżących metrem pali papierosy. Ponieważ nie chcemy ujawniać prawdziwego celu badania, mamy pytać o ogień.

– Właśnie pan ujawnił prawdziwy cel badania.

– Rzeczywiście. Nie bardzo przejmuję się poleceniami z góry.

Więc jak, pali pan?

– Oczywiście – rzucił nieco uspokojony księgowy. Ale zaraz pobiegł rozbieranymi oczkami ponad moją sylwetką, jakby się czegoś bał.

– Dziękuję za udział w ankiecie – szepnąłem i poklepałem go po plecach. Zamierzałem odejść, ale gość zaskoczył mnie, podtrzymując rozmowę.

– Boi się pan terrorystów?

– Ja – zdziwiłem się. – Nie. Nie sądzę, żeby nam coś groziło.

– Przecież atakują wszystkich koalicjantów z Iraku.

– Komu zależałoby na podnoszeniu wagi naszego wkładu w tej wojnie?

– A Hiszpanie? Przecież też nie mieli dużego wkładu.

– Hiszpanie to Hiszpanie.

– To racja – przyznał. – Ale muszę panu wyznać, że patrząc na brak zainteresowania naszych służb potencjalnymi zagrożeniami, obawiam się coraz bardziej.

– Co pan ma na myśli?

– Widzi pan tę teczkę – uniósł do góry skórzany tornister.

– Widzę.

– Co może w niej być?

– Nie wiem – wzruszyłem ramionami – dokumenty, ksero, książki, golarzka...

– Tak. A bomba?

– Bomba?

– Tak, bomba.

– Nie.

– A dlaczego nie? Skąd pan wie, że właśnie nie rozmawia z terrorystą, który zamierza wysadzić się na tej stacji dokładnie za minutę? Widzi pan, ja też prowadzę swoje badanie. Od rana biegam z tą teczką po różnych stacjach metra i jeszcze nie zostałem skontrolowany. Ani razu.

– Ani razu – powtórzyłem. – Może to i zastanawiające, ale przecież w wejściu są wykrywacze metalu. Gdyby pan miał tu bombę, wykrywacze by ją wykryły.

– Bzdura. Wykrywacze to atrapy. Wiem, bo instalowała je moja firma. Żeby było taniej, zainstalowali same bramki, bez wykrywaczy. To uzasadnione, bo co by było, gdyby co chwila pikały. A poziom bezpieczeństwa przynajmniej w opinii publicznej jest większy, więc spełniają swoją rolę. Tak więc mógłbym przenieść bombę.

– Może nie wygląda pan na terrorystę? – Amyśli pan, że terroryści wyglądają na terrorystów.

Gdyby tak było, nie udałoby im się przeprowadzić żadnego zamachu, a przecież są nadzwyczaj skuteczni. Tak więc mógłbym być terrorystą.

– Jednak pan nie jest?

– Nie.

– To jestem bardziej spokojny.

– Ale przecież nie powinien mi pan wierzyć. Powinien pan zawiadomić policję.

– I co, wsadziliby mnie za wszczęcie fałszywego alarmu.

– Racja.

– Dlaczego pan sprawdza ten poziom bezpieczeństwa?

Mężczyzna podrapał się po głowie. Chwilę rozważał, czy ciągnąć temat, a potem wypalił:

– I tak mi pan nie uwierzy. Dostałem polecenie.

– Od kogo?

– Od Boga.

– Od Boga? Skąd pan wie, że to Bóg?

– Jestem chrześcijaninem, potrafię to rozpoznać.

Ale wiedząc, że same zapewnienia nie wystarczą, podał mi garść dalszych informacji. Że Bóg znał najdrobniejsze szczegóły z jego życia. Nawet, o której robił ostatnio kupę.

– To był Bóg. Zadzwoił do mnie z Hamburga i polecił mi sprawdzić stan bezpieczeństwa na stacjach metra, a następnie podać wnioski do wiadomości publicznej.

– Z Hamburga?

– Z Hamburga – przytaknął. – Zatrzymał się chwilowo w tym

mieście i powiedział, że będzie mu żal wyjeżdżać, bo uwielbia miasta o klimacie portowym, a z tych Hamburg jest najbardziej klimatyczny.

– A ten Bóg nie nazywał się przypadkiem Bols? – zapytałem z głupia frant.

Księgowy popatrzył na mnie z zaskoczeniem.

– Dziwne, nie myślałem, że ktoś może o coś takiego zapytać?

– Dlaczego?

– Przecież Bóg to Bóg. Nie nosi nazwisk.

– No tak.

– Ale rzeczywiście, przedstawił się. Jednak nie Bols. Mówił, że tymczasowo nazywa się Stawiński. Czy jakoś tak.

Uszczypnąłem się dwa razy, żeby nabrać przekonania, że to nie żaden pokręcony sen. Jeden z tych moich parszywych kacowych przyjaciół. Bolało, obraz nie zniknął, księgowy stał jak stał i patrzył na mnie może tylko lekko zaniepokojony.

– Dobrze się pan czuje?

– Tak. To znaczy nie bardzo – mruknąłem. – Ten Bóg podał jakieś namiary na siebie?

Księgowy wzruszył ramionami.

– Namiary? – zerknął znacząco w górę. – Przecież wiadomo.

– No tak, ale gdybyście chcieli się z nim skontaktować w takim Hamburgu, to trzeba mieć jakiś telefon czy choćby email?

– Od razu widać, że nie uważał pan na religii. Bóg jest wszędzie. Żeby się z nim skontaktować, nie trzeba żadnych telefonów czy innych próżnych wynalazków. Wystarczy złożyć ręce i pomodlić się. Ale na mnie już czas. A propos. Ta teczka teraz należy do pana.

Wcisnął mi skórzaną teczkę i ruszył w kierunku wyjścia, rzucając przez ramię, że tak polecono mu zrobić. Miał ją wręczyć pierwszej osobie, która go zaczepi, a której nigdy wcześniej nie spotkał.

– Pana widzę pierwszy raz w życiu – zakończył.

– Ale co jest w tej teczce?

– A skąd mam wiedzieć? Znalazłem ją pod drzwiami domu zaraz po rozmowie z Najwyższym. Zresztą tak właśnie mi powiedział. Że będzie tam na mnie czekać.

Teczka od Bolsa. Teczka od zamachowca. Ciężka.

Cholera, spokojnie mogła być w niej bomba. O ironio, tyle razy szukałem bomby pod maską samochodu, a teraz sam ją znalazłem i przyjąłem. Najrozsądniej było położyć tajemniczy pakunek koło ławki i spieprzać śladem księgowego. Ale co, jeśli to rzeczywiście bomba i wybuchnie, dajmy na to, kiedy metro zapełni się ludźmi. Kto wie, czy zaraz nie pojawi się jakaś wycieczka dzieciaków zmierzająca do kina na przedpremierowy



pokaz „Króla lwa”? A co mnie to obchodzi?

Problem w tym, że tego dnia nie zrobiłem jeszcze żadnego dobrego uczynku, nie licząc spoliczkowania Mrówy, więc nie mogłem tak po prostu rzucić teczki i się wynieść. Wpadło mi do głowy, żeby zostawić ją na ławce i rzucić krawężnikom, że tam jest bomba, ale prawdopodobnie pobiegliby za mną i skatowali, zanim bym cokolwiek wyjaśnił. A bomba w tym czasie mogła eksplodować.

Poczułem kropelki potu spływające mi po karku. Chcąc nie chcąc, ruszyłem do policjantów, kurczowo ściskając teczkę przy piersi. Pamiętam, jak jako dziecko słyszałem historię o licealiście, który rozerwał się granatem na lekcji przysposobienia obronnego. Kiedy granat zaczął syczeć, przycisnął go do piersi, żeby zginęło jak najmniej osób. A i tak ofiar było aż sześć. Ten licealista z poświęceniem oddał życie za innych. Dawał mi przykład, ale jakoś niespecjalnie chciałem pójść jego śladem. Duch patriotyczny ginie w narodzie.

Krawężniki gadali o niedawnym pojedynku Gołoty i zastanawiali się, czy pokonałby Saletę, jeśli doszłoby do walki. Jeden był przekonany, że sprawiłby mu lanie w pierwszej rundzie. Drugi miał inne zdanie i uważał, że wszystko zależałoby od zakładów i pod kogo ustawiono by walkę.

– Mówię ci, w boksie wszystko jest poustawiane. Nie ma uczciwych pojedynków.

Kiedy mnie zobaczyli, właśnie weszli na temat nowej dziewczyny boksera, która nago reklamowała jego walki. Zastanawiałem się, czy nie zagadać w kierunku jej pieprzyka na biodrze dla wzbudzenia zaufania, ale chyba należało od razu przejść do rzeczy.

– O co chodzi?

– W tej teczce mam bombę – szepnąłem. Policjanci popatrzyli po sobie, a potem na mnie.

– No i – zachęcili do dalszych wyjaśnień.

– To bomba – powtórzyłem z naciskiem.

– Jest pan z jakiejś gazety czy telewizji? – zapytał ciemnowłosy.

– Nie jestem z żadnej telewizji. Przed chwilą pewien gość wręczył mi tę teczkę i powiedział, że jest w niej bomba. Mam

powody, żeby mu wierzyć.

– Pewien gość – powtórzył policjant. – Jak wyglądał?

– To teraz nieważne. Powinniście wynieść tę teczkę i wezwać saperów.

– Jeszcze czego – prychnął drugi glina. – Ostatnio mieliśmy ze trzydzieści zawiadomień o bombach. Wie pan, ile było prawdziwych?

– Żadne?

– Właśnie. Co to za gość, ten, co panu wręczył tę teczkę?

– Wyglądał na księgowego – zacząłem. – Naprawdę mam powody przypuszczać, że nie żartował z bombą...

Jeden z gliniarzy wyrwał mi teczkę i zanim zdążyłem ostrzec go w ostrych słowach, otworzył ją. Patrzyliśmy osłupiali na to, co znajdowało się w środku.

– To fałszywki? – zapytał glina.

– Wyglądają na prawdziwe – odparł drugi, wyjmując jeden z pliczków banknotów. Studolarówek. Jakoś miałem wrażenie, że jest tam milion dolarów.

Choć było to całkowite szaleństwo.

Z pudła wyciągnął mnie generał Stolarczyk. Na ursynowskim komisariacie byli pod wrażeniem moich koneksji. Nie oddali mi jednak forsy. Skoro stwierdziłem, że ktoś mi je wręczył, muszą sprawdzić pochodzenie takiej sumy. Kto wie, czy to nie forsa z narkotyków, handlu żywym czy nieżywym towarem albo z hazardu? Ale wydali mi pokwitowanie.

– Coś szastają ostatnio forszą. Słyszał pan o tej bezdomnej na Centralnym, która znalazła kopertę z czterdziestoma tysiącami. Pan ją przebił – pokręcił głową z niedowierzaniem. – Milion dolców.

– Tamta babka dostała z powrotem znalezione forszę.

– Oczywiście. Była legalna.

Stolarczykowi wyjaśnienie glinom, że jestem potrzebny na wolności zajęło zaledwie dwie minuty. Wcześniej zadzwoniłem do niego na komórkę, której numer wcisnął mi podczas pierwszego spotkania, żeby zdać relację z całej sprawy.

– Coraz ciekawiej – mrucał, kiedy informowałem go o zadziwiających zbiegach okoliczności. – Więc przyjął pańskie nazwisko?

– Prawdopodobnie.

– Rozumiem. Proszę teraz oddać słuchawkę najbliższemu glinie.

No i wyszedłem z kwitkiem wartym milion dolarów w kieszeni. Pierwsze, co przyszło mi do głowy, a właściwie przyszło mi to już jakiś czas temu, to, że oszalałem. Jestem wariatem i nic już tego nie zmieni, bo jak człowiek wariuje, to jest to ścieżka jednokierunkowa i nie można tak po prostu zawrócić. A co zrobić, jeśli nabiera się takiego przekonania? Najlepiej pogadać z Morganem. Kto jak kto, ale on będzie wiedział, co robić.

Morgan mieszkał niedaleko ronda Waszyngtona, na ulicy Czeskiej. Ta część Warszawy należała do najdroższych i najbogatszych w mieście. I najbardziej międzynarodowych.

Pełno tam było posesji oddanych konsulatom i ambasadom, a ulice nosiły nazwy państw lub nacji: Arabska, Fińska, Belgijska. Totalne wariactwo.

Morgan naprawdę nazywał się zupełnie inaczej, nie był moim współnikiem, nawet nie bardzo wiedział, co robię. Żeby było prościej, nazywałem go jednak Morgan, a nawet nigdy go nie okłamywałem. Ponieważ był wariatem z wieloletnim stażem, był bezpieczny. Nie przyszłoby mu do głowy, żeby na mnie zarobić, czy wyegzekwować jakieś niekorzystne dla mojej spółki porozumienie.

Był najlepszym specem od podatków, jakiego znałem, w ogóle miał łeb do wszystkich spraw i gdyby nie był wariatem, z pewnością mógłby zostać premierem albo ministrem finansów.

Wysiadłem z metra w centrum i przesiadłem się w tramwaj mimo odczuwalnego od dzieciństwa wstrętu do komunikacji miejskiej. Zapomniałem skasować bilet i spisało mnie dwóch kanarów, ale niewiele sobie z tego robiłem. Ściągalskość mandatów w tym kraju oscylowała wokół jednego procenta, co – nawet biorąc pod uwagę prześladowającego mnie pecha – budziło nadzieję.

Z przystanku na Waszyngtona do Czeskiej było jakieś pięć minut przyjemnego marszu. W nocy lepiej było tędy nie spacerować, ale w dzień nic mi nie groziło. Na Czeskiej i na innych uliczkach w tym miejscu, domy były wypielęgowane, otoczone zielenią, zadbane i pachnące. Dom Morgana zdecydowanie odbiegał od tego wizerunku, co właścicielowi nie pomagało w poprawie krytycznie złych stosunków z sąsiadami. Zapuszczona, szara nora z pordzewiałym ogrodzeniem przypominała melinę. Nikt nie wiedział, że mieszka tu zwycięzca międzynarodowej olimpiady matematycznej z 1990 roku. Tak tracimy talenty.

Zadzwoniłem trzy razy. Krótko, długo, krótko. Kod, jak przystało na Morgana, genialnie prosty i dlatego skuteczny. Każdy, kto umiał liczyć do dwudziestu czterech, mógł na niego wpaść. Trzeba było od doby odjąć aktualną godzinę i jeśli wynik był niższy od dziesięciu należało najpierw zadzwonić krótko, potem długo i znów krótko. Jeśli wyższy – sekwencja

miała być przeciwna. Oczywiście Morgan stworzył do tego algorytm, którego nie zrozumiałby nawet profesor na katedrze algebry, ale nie próbował mi go wykładać.

Spojrzał przez okno, a potem uchylił drzwi.

– Miałeś być dopiero w środę – rzucił.

– Przepraszam. Ale wydarzyło się coś nadzwyczajnego.

– Co takiego?

– Dużo nadzwyczajnego. Dziś na przykład rozmawiałem z kimś, kto wcześniej rozmawiał z Bogiem.

– To wariat – w ustach Morgana, który jak wspomniałem był stuprocentowym czubkiem, zabrzmiało to zabawnie.

– Też tak pomyślałem, ale chyba udało mu się mnie przekonać.

– W takim razie ty też zwariowałaś. Witaj wśród swoich.

Morgan jakiś rok temu wyjawiał mi, że po wszechstronnej analizie kilku ksiąg z kategorii religijnej, czyli Biblii, Tory i Koranu, doszedł do wniosku, że Boga nie ma. Twierdził nawet, że przeprowadził dowód matematyczny potwierdzający tę teorię, który następnie próbował mi wyłożyć, ale nic z tego nie rozumiałem. Jak na ateistę trzymał w domu zdecydowanie za dużo relikwii czy też świadectw wiary – ściany pokrywały krzyże i biblijne obrazy olejne, a nad łóżkiem miał wyrysowany pentagram.

– Skoro nie wierzysz w Boga, dlaczego to wszystko trzymasz? – zapytałem go kiedyś.

– Chodzi o diabła – odparł z pełną powagą. – Mam dowód na to, że Bóg nie istnieje, ale nie mam żadnego potwierdzającego nieistnienie diabła.

– O ile się nie mylę, Bóg i diabeł wzajemnie się uzupełniają. Jeśli jednego nie ma, to drugiego też.

– Mylisz się – mruknął.

– Jak to?

– Można rozpatrywać to w kategoriach dobra i zła. Jeżeli dobra nie ma, nie znaczy to, że zła również, a jest przecież wręcz przeciwnie. Jeśli dobra nie ma, jest wielkie prawdopodobieństwo, że zło panoszy się wszędzie. Matematycznie to ujmując.

– Ale przecież Bóg i diabeł prowadzą odwieczną walkę o dusze – przerwałem mu, nie miałem wolnych dwóch godzin na wykład z teorii prawdopodobieństwa. – Jeśli jednego z nich by nie było, jaki sens miałyby taka walka?

– A – podniósł znacząco palec wskazujący. – Tu wkraczymy w kwestie religii, a nie trzeba udowadniać, że każda religia ma w sobie całe mnóstwo sprzeczności.

– Jest głupia?

– Ty to powiedziałaś. W każdym razie nic nie wiemy o tym, czy diabeł istnieje, a jeśli tak, to czym się zajmuje. Kto wie, czy nie jest jakąś istotą z tego czy innego wymiaru, która zachowuje się jak rybak.

– Wyławia sobie odpowiednie duszyczki i pakuje do piekła?

– Właśnie.

Twarz Morgana wykrzywił gwałtowny grymas, dlatego co zacząłem zastanawiać się, czy odbył rutynową wizytę w zakładzie dla obłąkanych. Czy też może zrezygnował i stał się groźny.

– Odwiedziłeś Przyjaciół? – zapytałem.

– Jak co miesiąc – przytaknął. – Tym razem chcieli, żebym został dłużej, jakby widzieli coś, czego ja nie mogę zobaczyć. Ostatecznie jednak zgodzili się, żebym zaryzykował.

Moim skromnym zdaniem Morgan był niegroźny, choć widziałem różne fazy jego choroby. Zupełnie też nie wiem, jak to się działo, i na czym polegała jego terapia, ale raz w miesiącu musiał się na nią udawać, po czym nafaszerowany tajemniczymi specyfikami mógł funkcjonować bez zarzutu przez następny miesiąc. Nie wiem też kiedy, ale doszedł do wniosku, że szpital psychiatryczny, który odwiedzał, został opanowany przez Argonautów, podróżników w czasie, którzy ingerują w różnych epokach historycznych w ludzkie losy.

Nie każcie mi więcej tłumaczyć, bo trudno jest wyjaśnić logikę szaleńca. Dla mnie liczyło się jedno – jego matematyczny umysł poruszał się we współczesnych przepisach podatkowych i prawnych jak akrobata na linie. A był przekonany, że ja jestem wysłannikiem jakiegoś wywiadu, który próbuje ograniczyć bezprawne interwencje Argonautów.

Poza tym można powiedzieć, że byliśmy przyjaciółmi.

– Co się stało? – zapytał Morgan, gdy zasiedliśmy w dużym, surowo urządzonej pokoju. Mógł być piwnicą, ponieważ znajdował się pod powierzchnią ziemi. Z niego wychodziło się na ogród, ale należało przejść schodkami w górę. Morgan twierdził, że dom zapadł się jakiś czas temu w wyniku trzęsienia ziemi, a kiedy w końcu doszło do niego, że u nas nie ma trzęsień, przyjął, że to wynik przejazdu jakiegoś podziemnego wehikułu. Argonautów lub innych zamorskich podróżników.

Streściłem mu wydarzenia z ostatnich dni, odpowiednio ubarwiając je na potrzeby umysłu Morgana. W czasie mojej opowieści czasami kiwał głową ze zrozumieniem albo zadawał pomocnicze pytania. Kiedy skończyłem, wyjął notes i skreślił w pośpiechu kilka równań.

– Nic tu, kurwa, nie pasuje – odezwał się w końcu.

– Sam to wiem – mruknąłem.

Więc nawet Morgan nie potrafił pomóc.

– Prawdopodobnie wpadłeś w jakąś pułapkę Chaosu. Módl się, by to nie była czarna dziura.

Od Morgana pojechałem prosto do przychodni Weroniki.

Wchodziłem do niej niechętnie. Zawsze bałem się, że któregoś dnia wyjdzie mi na powitanie po szyję ubabrana krwią całkowicie niewinnych pacjentów, a ja na ten widok wstydliwie zemdleję. Zgrywam się na twardziela, ale w gruncie rzeczy delikatny ze mnie facet. I wrażliwy. Krew, jakkolwiek sama w sobie nie wywoływała u mnie negatywnych emocji, w połączeniu z ludzkim ciałem wydawała się nadzwyczaj przejmująca. W niejednym śnie prześladował mnie obraz kroczącej przez rozświetlony szpitalny korytarz ukochanej w fartuchu tonącym w czerwieni.

Weronika pojawiła się jednak sterylna i uśmiechnięta.

– Ciężki dzień? – zapytałem.

– Mało ofiar – przyznała. – Nudzimy się śmiertelnie. Ktoś powiedział mi kiedyś, że człowiek męczy się sto razy bardziej, gdy nie ma niczego do zrobienia niż w przypadku nawału pracy.

Spędziłem kwadrans w szpitalnej poczekalni, czekając, aż się przebierze. W tym czasie przewinęło się przez nią kilku pacjentów z niegroźnymi obrażeniami i jeden ciężko ranny robotnik, który spadł z rusztowania. Stan biedaczyska mógł nawet dobrze rokować, gdyby nie wpadł w sidła pogotowia. Krzyczał wniebogłoso, kiedy prowadzono go na salę operacyjną. Ciekawe, który zakład pogrzebowy wygra licytację?

– Idziemy? – Weronika pojawiła się w szafirowym kostiumie. Krzykliwy i mało subtelny, ale muszę przyznać, że odpowiednio działał na męskie ego. Pojechaliliśmy na kolację do greckiej restauracji, gdzie podano nam bezsmakowe mrożone krewetki i włoskie wino.

– Dlaczego w greckiej restauracji podają włoskie wina? – zapytałem.

– Bo są lepsze – odparła Weronika, wzruszając ramionami.

– Ale są włoskie.



Poszliśmy razem do toalety, jednak było tam za mało miejsca, żeby coś zrobić. Poza tym w jednej z kabin siedział dwumetrowy Murzyn, który nie był w stanie zamknąć drzwi.

– Psiemepraszam – ukłonił się do nas. – Ale mam rozwolnienie, a kabina być za ciana.

Weronika uśmiechnęła się ciepło. Wiedziałem, że żywi sentyment do Murzynów, choć starała się nie ujawniać tego publicznie.

Odwiozłem ją do domu i udałem się do biura. Iwo nie było. Nie znalazłem też żadnej informacji od Magdy.

W Internecie pobawiłem się w pacmana, a potem poprzeglądałem kilka serwisów pornograficznych, aż w końcu zawiesił mi się komputer. Wtedy zadzwonił telefon.

– Halo?

– Pan Stawiński?

– Tak. Kto mówi?

– Proszę zanotować numer – zignorował moje pytanie głos. – Sześć, sześć, sześć. . .

I jeszcze sześć cyfr.

– Zanotował pan?

– Tak. Kto mówi?

Usłyszałem sygnał przerwaneo połączenia. Spojrzałem na numer i wybrałem go. W końcu to nie żadne 0-700. Zadzwoniłem. Zgłosiła się sympatyczna automatyczna sekretarka, która oznajmiła mi, że dodzwoniłem się właśnie do firmy La Róż. Brzmiało zachęcająco i trochę groźnie. A może 0-700 zaczynają się teraz na 666.

Włączyła się muzyczka z „Gwiezdnych wojen”, a potem odezwał się zaspany głos.

– Tak?

Nie bardzo wiedząc, o co chodzi, powiedziałem, że przed chwilą odebrałem telefon od kogoś, kto polecił mi zadzwonić pod ten numer.

– Chwileczkę – głos włączył ponownie „Gwiezdne wojny”.

Tym razem nie czekałem długo.

– Witam. Pan Stawiński jak mniemam?

– Tak – burknąłem – O co chodzi?

- Lubi pan swoje cztery litery? -Z kim rozmawiam?
- Lubi pan?
- Tak.
- To niech pan zajmie się swoimi sprawami.
- Czyli mam porozwijać krzyżówki i pooglądać telewizję?
- Może pan pojechać też na Bahamy, powędkować albo pójść na grzyby. Od dawna nie padało, ale podobno jest urodzaj. To dobra rada. Nie chcemy, żeby coś stało się zięciowi kandydata na prezydenta.

Głos się rozłączył. Gdy ponownie wybrałem numer, usłyszałem informację, że takiego numeru nie ma. Na informacji telefonicznej poinformowano mnie, że La Róz jest z tuzin, więc muszę podać adres, ale też żaden z numerów nie odpowiada podanemu przeze mnie.

Magda stwierdziła, że prawdopodobnie ktoś podpiął się pod linię telefoniczną. Tak często robią służby specjalne, ale też gangsterzy czy zwyczajni żartownisie. Mógł to być ktokolwiek.

– Pracownicy telekomunikacji są strasznie skorumpowani, podobnie jak technicy firm telefonicznych.

– A kto nie jest skorumpowany? Jak tam Mrówa?

Bez entuzjazmu opowiedziała mi, jak to zatrzymali Mrówę i próbowali wydobyć od niego zeznania, a wobec bezskuteczności takich prób, postanowili zezwolić mu na wyjazd w trybie przyspieszonym na Cypr.

– Spójrz lepiej na to – podała mi kilka kartek protokołu zatytułowanego: wyniki akcji próbnej nasłuchu na osiedlu Ursynów.

Podkreśliła jeden fragment. Numer, pod który dzwonił Mrówa, został zarejestrowany dla firmy Centrala Handlu Zagranicznego „Zabytek”, której siedziba mieściła się przy ulicy Biesiadnej w Warszawie.

– W Warszawie jest ulica Biesiadna?

– W pewnych kręgach to bardzo znana ulica – odparła Magda.

– Dlaczego ja się jeszcze nie zaliczam do tych kręgów?

– Dziękuj Bogu, że się nie zaliczasz – poprawiła mnie. – Na Biesiadnej stoi tylko jeden budynek. Jest ogrodzony ze wszystkich stron bardzo wysokim murem, nie ma na nim żadnej tablicy z napisami, przed wejściem stoi nieumundurowany strażnik, a w środku znajduje się centrala operacyjna Urzędu Ochrony Państwa, obecnie nazwanego Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Tajna i tajemnicza. Przynajmniej w założeniach, bo od kiedy jeden z generałów po pijaku chwalił się w burdelu, czym się zajmuje, wiedzą o niej wszyscy przestępcy, a co za tym idzie również gliny. Kto wie, może to była jedna z tych akcji UOP, o której celach nikt nigdy się nie dowie.

– Co w tym budynku miałyby robić Centrala Handlu Zagranicznego „Zabytek”?

– Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego podszywa się pod wiele firm.

– To legalne?

– Skąd. Ale przecież nikt im tego nie zarzuci. W koń -cu czego się nie robi dla ochrony państwa.

– Dlaczego ABW nie chciała, żebym spotkał się z Danutą Piekus?

– Amoże właśnie chciała. W końcu mamy taką teorię, że ktoś chciał poddać ci trop.

– Czemu jednak sami się tym nie zajęli?

– Potrzebowali kogoś, żeby pogrzebał w gównie? Nalałem sobie wody mineralnej z butelki po Muszyniance, w której znajdowała się aktualnie woda zmieszana z absolutem, chyba jedynej wódki, której woń nie odpychała.

– Jeśli tak, trzeba by pogadać z tym, co to pomaga nam zza kurtyny.

– Trzeba by – poparła Magda i pogmerala w teczce. – Pogrzebałam trochę przy tym Zabytku. Zobacz, co mi wyszło.

Zabytek – skup sprzedaż dzieł sztuki. Nic specjalnego.

– Zobacz, z kim głównie handluje.

– Galeria ART. B.

– ART. B – potwierdziła.

– To ta sama?

Magda założyła okulary i przeczytała:

– Galeria ART. B, założona w 1990 roku. przez Romana Kawalka, późniejszego twórcę imperium informatycznego Helios. Helios od dziesięciu lat wprowadza na polski rynek nowe technologie oparte na zaufaniu i wiedzy.

– Na czym?

– Zaufaniu i wiedzy.

– Aha. To oni informatyzowali nasz system finansowy?

– Nie, ale wyszło podobnie. Ciągłe teraz są nagradzani.

– Myślałem, że Kawalka wiąże się z WSI, a oni przecież nie znoszą się ze służbami cywilnymi.

– Co nie znaczy, że nie prowadzą wspólnych interesów. W

interesach nie ma miejsca na nienawiść. Poza tym, od kiedy wierzysz w to, co ludzie mówią?

– Właściwie od zawsze – burknąłem. – Ale tylko do chwili, gdy prawda okazuje się nieprawdą, która z kolei potem zostaje zastąpiona jakąś tam inną prawdą wymazaną przez kolejną nieprawdę. Strasznie to skomplikowane.

– Tak zwana prawda obiektywna.

– Właśnie. Więc co? Udajmy się do pana Kawałka.

– Wiesz, ile trzeba czekać na spotkanie z nim?

– Tydzień?

– Jak masz chody. Dla ciebie znajdzie czas za miesiąc, po czym przełoży o kolejny miesiąc i tak w kółko. Zresztą nie mamy nawet tego miesiąca. Wtedy możesz być już trupem, a co gorsza wszyscy możemy być trupami.

– Trzeba coś wymyślić – powiedziałem i o dziwo, od razu wpadłem na pewien pomysł.

Kawałka nazywano w pewnych kręgach Cesarzem. Podobno miał łeb na karku i był stworzony do robienia złotych interesów.

– Wszystko, czego się tknie, zamienia się natychmiast w złoto – mruknęła Magda. – Problem w tym, że jak przy każdej reakcji chemicznej, coś przy tym brzydko pachnie.

Podawała mi folder z raportu rocznego jego firmy. Helios zaczynał od handlu z zagranicą, po czym skupił się na usługach i nowych technologiach. W 1990 roku wygrał przetarg na opracowanie technologii oczyszczania ścieków. Potem firma weszła w informatykę i zaczęła wygrywać przetargi na dostawy sprzętu oraz oprogramowania dla wojska i administracji publicznej. Złośliwi twierdzili, że to dzięki nim wszystko u nas działa, jak działa.

– Teraz to prawdziwe imperium. Setki firm i firemek. Głównie informatyka, ale gość inwestuje kupę kasy w inne interesy. Farmaceutyki, biotechnologia, jest nawet wydobywanie srebra.

– Mamy srebro?

– A skąd mam wiedzieć? W każdym razie to biznesmeni pełną gębą.

Biuro firmy Helios znajdowało się w samym centrum Warszawy, na ostatnim piętrze nowo wybudowanego wieżowca. Zaparkowaliśmy na pobliskim parkingu hotelowym, przeszliśmy przez hol, żeby nie wzbudzać podejrzeń ochroniarzy i wyszliśmy drugim wejściem. Na recepcji wieżowca musieliśmy podać pełne dane i dostaliśmy pomarańczowe identyfikatory. Po chwili zapierdzielaliśmy trzydzieści pięter wyżej specjalną windą dla specjalnych gości. Wciąż nie mogłem uwierzyć, że tak łatwo nam poszło. A wystarczyło, że Magda powiedziała asystentce Kawałka, że chce się z nim spotkać zięć kandydata na prezydenta, który to pomysł skromnie sam poddałem, a postanowił poświęcić nam

chwilę swojego drogiego czasu niemal od razu. Tato jak widać otwierał różne drzwi.

– Jak wyglądam? – Magda poprawiła żakiet.

– Bosko, ale nigdy nie obchodził cię twój wygląd.

– Kawalek ponoć przykłada do tego wielką wagę. A ponadto jest wyjątkowo przystojny, szarmancki i ujmujący. No i nieprzyzwoicie bogaty.

– Że niby dobra partia?

– No.

– A ile ma lat? – A jakie to ma znaczenie?

Na trzydziestym piętrze znajdował się ogromny hol, a na środku stała niewielka konsola, za którą – na tle ogromnego napisu HELIOS – siedziały dwa kociaki. Ściany były gładkie, bez żadnych ozdób, wszystko świeciło się i błyszczało, i wszędzie można byłoby się przejrzeć jak w lustrze. Wyglądało to jak na filmie fantastycznym.

– Czy to jakiś miłośnik Philipa K. Dicka?

– Raczej George’a Orwella.

Jeden z kociaków, strasznie podobny do ubiegłorocznej Miss Polska, wyszedł nam na powitanie. Za ten uśmiech można byłoby zabić. Z nieopisaną przyjemnością ująłem wyciągniętą na powitanie dłoń, a potem się nieco rozmarzyłem. Magda musiała kopnąć mnie w kostkę.

– Proszę za mną – rzekł kociak. Cóż, czy wspomniałem, że wszędzie tutaj można było się przejrzeć jak w lustrze? A mówiłem o podłodze? Jak tak szliśmy za kociakiem, między nią a nami utworzył się dziwnie przyjazny kąt padania, dzięki czemu – co tu dużo gadać – dojrzałem, że bielizna nie jest dziś w modzie. Zanotowałem, żeby – celem udzielenia później delikatnych wskazówek Weronice – przy wyjściu zapytać, gdzie tak ładnie strzygą.

Kociak zatrzymał się przy trzecich albo trzydziestych trzecich drzwiach w korytarzu i przepuścił nas do środka.

– Podać coś do picia?

– Wódkę z tonikiem – wypaliłem bez namysłu.

– Wodę z tonikiem – poprawiła mnie Magda. – Dwa razy.

Kociak znikł. Pokój był niewielki i surowo urządzone. Dwa

krzesła, kanapka i stolik. Ze ściany sączyła się uspokajająca melodia z jakiegoś włoskiego filmu, którego nazwy nie pamiętałem.

– Nie mają rock and rolla? – zażartowałem, a po chwili z niewidzialnych głośników dobiegł nas przyciszony rock and roll. Spojrzeliśmy po sobie. Magda przycisnęła palec do ust, prosząc mnie, żebym darował sobie komentarz, ale nie mogłem się oprzeć. – Myślisz, że nas podsłuchują?

Nie odpowiedziała, robiąc grymas powabnymi usteczkami.

– Może nawet podglądają? Znów nic.

– Po co im tyle pokoi w tym korytarzu? W końcu nie wytrzymała.

– Durny jesteś? Dla gości takich jak my. Będziemy tu czekać aż osobie, która obecnie jest na spotkaniu z Kawalkiem, skończy się czas.

– Moglibyśmy poczekać przecież przy recepcji.

– Wtedy widziałbyś, kto wychodzi ze spotkania. A może ten ktoś wcale nie chce widzieć ciebie.

– Rozumiem. W gruncie rzeczy mu się nie dziwię.

Kociak pojawił się z wodą z tonikiem. Powąchałem. Nie pomyliła się, to była woda. Wróciła po kolejnych dziesięciu minutach.

– Zapraszam.

Biuro Kawalka było tuż za rogiem. Miało powierzchnię mojego mieszkania plus mieszkania sąsiadów, drugich sąsiadów i naszych garaży, gdybyśmy je mieli. Gdyby wywalić wszystkie te śmieci, które w nim trzymał, można byłoby zorganizować tu mecz koszykówki. Na dwa kosze oczywiście.

Zastanawiałem się, co Kawalek wie o bezdomnych rumuńskich dzieciach i sudańskich kobietach gwałconych trzysta razy w roku.

– Siadajcie – zza mahoniowego biurka przypominającego trzy połączone ze sobą fortepiany podniósł się blondyn o twarzy milionera. Jakby ktoś mnie zapytał, jak wygląda człowiek sukcesu, w odpowiedzi mógłbym pokazać mu zdjęcie Kawalka.

Siadając na kanapie, obejrzałem się za plecy na czterystu-



litrowe akwarium, w którym pływały dwa niewielkie rekiny. Sądząc po zębach, zdecydowanie mięsożerne. Może metrowy rekin nie jest w stanie pożreć człowieka, ale jakoś wyobraźnia podsunęła mi kilka pomysłów na tortury z udziałem takiego pozornie niegroźnego stworzenia. Szczególnie mało przyjemnych dla mężczyzn. Kawalek uśmiechnął się na lekkie wzdrygnięcie, które mną wstrząsnęło.

– Nie lubi pan rekinów?

– Wolę jak płyną w morzu – przyznałem. – Najlepiej z dala od plaży.

– Mnie od zawsze pociągają – podał dłoń Magdzie, a następnie mnie. – Poza tym, jak patrzę na rozmówcę, który za plecami ma te dwa piękne okazy, jestem bardziej skupiony i czujny. To pomaga w negocjacjach.

– Pomaga, żeby nikt pana nie wydymał? Magda uszczypnęła mnie w nogę, a Kawalek roześmiał się.

– Trafnie pan to ujął. Nie lubię, jak ktoś mnie dyma.

Whiskey?

– Poproszę. Bez lodu.

Magda nie zaoponowała, choć zapewne miała cholerną ochotę.

– Dla pani?

– To samo – powiedziała niechętnie. Kawalek powolnym krokiem przemierzył te pięćdziesiąt metrów dzielące go od barku. Z tej odległości ledwie słyszeliśmy, co mówi mimo specjalnej akustyki zastosowanej w tym miejscu przez architektów.

– Nieczęsto mam okazję trochę się odprężyć. Większość spotkań odbywa się tu w dość sztywnej etykiecie. Codziennie na tej kanapie siada dwudziestu grubasów, którzy – proszę mi wierzyć – myślą tylko, jak pan to ujął, jak mnie wydymać. Żaden z nich nie chce jednak tego powiedzieć wprost. Jest pan – podszedł tym swoim powolnym krokiem i podał nam whiskey – pierwszą osobą, która wypowiedziała tu takie słowo podczas oficjalnego spotkania. Na dodatek w takim towarzystwie – skłonił się do Magdy. – Warto za to wypić.

Nie trzeba było mnie namawiać. Wychyliłem jednym

haustem szklaneczkę żółtego płynu, który, sądząc po smaku, kosztował jakieś dziesięć tysięcy za butelkę. Chyba się przeliczyłem, bo Kawalek nie zaproponował dolewki.

– Więc jest pan zięciem... – zawiesił głos jakby chciał, żebym dokończył.

– Tak. – A pani?

– Jego asystentką – wskazała na mnie. Powiedziała „jego”, jakby wrzucała zużyty zmywak do kosza na śmieci.

– Asystentką – mruknął Kawalek. – No dobrze, skoro rozmawiamy szczerze, to może przejdźmy do rzeczy. Ile chcecie?

Popatrzyliśmy po sobie.

– Ile?

– Ile mam wam wypisać, żeby wasza frakcja, jak to ujął mój ostatni rozmówca, nie dobrała mi się do tyłka po wyborach.

– Myśli pan, że przyszliśmy po łapówkę?

– Od razu łapówkę. To się nazywa datek na kampanię. Wszyscy po to przychodzą. A ja z uśmiechem wypisuję czeki. Szczególnie, jak odwiedza mnie tak miła emisariuszka – tu skłonił się do Magdy. – Więc ile?

Dzień wcześniej powiedziałbym mu pewnie, że przydałby się jakiś milion dolarów, ale teraz już go nie potrzebowałem, bo zatroszczył się o mnie nieoceniony mister Bols.

– Nie przyszliśmy po pieniądze. – A po co? – zapytał chłodno i z lekkim zdziwieniem

Kawalek.

– Po informację.

– Po informację?

– Tak.

Kawalek rozsiadł się wygodnie na kanapie.

– Jeśli tak, to może pan powinien wyjąć książeczkę czekową. Informacje kosztują. Czasem więcej niż spokój.

– Nie mam książeczki czekowej. Kawalek westchnął z udawanym zawodem.

– Dobrze, spróbujmy bez niej.

– Chcieliśmy wiedzieć, dlaczego Centrala Handlu Zagranicznego „Zabytek” zleciła gangowi niejakiego Mrówy

zajęcie się naszymi skromnymi osobami.

– Zajęcie w jakim sensie?

– Zdaje się, że na początek nastraszenie nas. Do dalszego ciągu nie dopuściliśmy. Przynajmniej na razie.

– Rozumiem. Ale skąd ja mam wiedzieć, dlaczego Centrala...

Magda robiła wiele rzeczy znakomicie, ale przerywanie facetowi, który chrząnął głupoty, wychodziło jej jak nikomu na świecie.

– Bo to firma robiąca interesy głównie z pańską galerią ART. B. Jak mówimy wprost, firma należąca do pana. Dlaczego poddał nam pan informacje na temat pani Piekus.

– Nic nie wiem o pani Piekus.

– Myślę, że pan wie i to dużo. – A ja myślę, że będzie lepiej, jak stąd wyjdziecie. No to chyba zadaliśmy niewłaściwe pytanie. Albo w niewłaściwej kolejności. Cóż, trzeba było spadać. Podnosiłem się już, gdy Magda z westchnieniem sięgnęła do torebki i wyjęła magnetofon cyfrowy.

– Wie pan, ile grozi za próbę łapówki w kampanii wyborczej?

– Nagrywała pani? – zapytał ze spokojem, a nawet uśmiechem Kawalek.

– Teraz każdy nagrywa. – I teraz pani mi grozi?

– No.

Kawalek roześmiał się. Wstał, przeszedł za nasze plecy i lekko stuknął w szybę akwarium. Rekiny zaciekawione podplnęły do szyby.

– Wybaczam pani, bo ostatnio lubię wybaczać. Niech pani wyłączy.

Magda wyłączyła magnetofon.

– Prawda jest taka, że „Zabytek” uniezależnił się ode mnie. Od jakiś dwóch lat nie mam z nim nic wspólnego. Naprawdę nie wiem, czym się zajmują.

– Więc pan nam nie pomoże?

– Mogę zapytać, ale nie dam gwarancji, że powiedzą mi prawdę.

– Proszę spróbować.

Pokiwał głową i dał nam do zrozumienia, że czeka go kolejne pilne spotkanie.

Audycja u Cesarza zakończona. Pożegnał się z nami serdecznie, pytając, czy na pewno nie potrzebujemy jakiegoś skromnego sześciocyfrowego datku na kampanię.

Magda wzruszyła ramionami i wskazała na dyktafon.

– Nie boi się pan takich sztuczek?

– Cóż, a pani boi się rekinów? To było zdanie!

Magda nacisnęła wyłącznik kasowania i zapewniła, że wszystko, co zostało nagrane, zostanie skasowane.

– Nie ma potrzeby – Kawalek wskazał na sztuczny kominiek w rogu. – Tam jest zakłócacz. To radziecki wynalazek.

– Kreator 666 – pomogłem.

– Właśnie. Widzę, że kandydaci na prezydentów mają coraz lepsze przygotowanie merytoryczne. Przynajmniej ich sztaby, pomocnicy i zięciowie. W każdym razie nic się nie nagrało. A teraz jestem zmuszony państwa pożegnać.

Pożegnaliśmy się z nieopisanym żalem. Kawalek ujął dłoń Magdy i cmoknął ją w mankiet, dając poniuchać perfum po dwanaście tysięcy za flakon. My po męsku strzeliliśmy misia i już nas nie było.

Kociak odprowadzał nas z równie wystudiowanym uśmiechem. Ale szła pod takim kątem, że nie byłem w stanie dostrzec tego, co tak dobrze nastroiło mnie godzinę wcześniej.

– Kłamie – powiedziała Magda w samochodzie. – To on. Pytanie: dlaczego? – wciąż pozostaje otwarte.

– Przynajmniej whiskey była dobra.

– Tak, i pewnie chciałbyś powiedzieć, że mógł dorzucić butelkę na pożegnanie.

– No.

Nie podzielałem jednak jej zdania w kwestii kłamania Kawalka. A nawet jeśli kłamał, lepiej było przyjąć, że nie kłamał. Lepiej, czy też bezpieczniej. Z gośćmi zatrudniającymi na recepcji były „miski” chodzące bez majtek lepiej było uważać.

Ponieważ buda z hot dogami na Wołoskiej była już zamknięta, pojechaliśmy na najbliższy Statoil. Szalenie miła i uśmiechnięta pani podała nam dwie gorące buły polane pikantnymi sosami. Płacąc, wcisnąłem niepostrzeżenie

czerwony przycisk z niezadowoloną miną, który świadczył, że zostałem źle obsłużony. Taka miła i ładna kobieta nie powinna pracować na stacji benzynowej.

– Co dalej? – zapytała Magda, konsumując w ten swój nadzwyczajny sposób hot doga.

– Nie mam pomysłu – odparłem, czując jak ślina ciśnie mi się do ust. – Może poczekamy, aż ktoś załatwi Piekus?

– Oby razem z Ivo – zażartowała Magda. W tym momencie odezwała się moja komórka. -Owilku mowa.

Ivo nie traciła słów na zbędny wstęp w stylu: „co u was”.

– Musisz przyjechać natychmiast do domu Piekus.

– Coś jej się stało? – zapytałem, mocno siląc się na zabarwione współczuciem zainteresowanie.

– Niezupełnie.

W drodze do domu Piekus, próbowała wyprzedzić nas policyjna skoda jadąca na sygnale. Zgodnie z przepisami zjechałem na środkowy pas, pozwalając żeby migający kogutami radiowóz zrównał się z moją hondą. W skodzie siedziało czterech mundurowych. Kierowca silnie ścisnął kierownicę, gość obok palił skręta, a dwóch na tyle rozpracowywało flaszkę poloneza. Z uśmiechem kiwnąłem im głową, zredukowałem na czwórkę i wcisnąłem gaz do dechy. Honda prelude to nie bmw, ale wystarczyło jakieś dziesięć sekund, żeby zniknąć im z oczu.

– Igrasz z ogniem – mruknęła Magda.

Przed domem Piekus stały trzy podobne radiowozy, z tym że jeden był volkswagenem. Tuż przed drzwiami zaparkował nieoznakowany chevrolet. Policjanci właśnie rozwijali żółtą taśmę z odpowiednimi pieczętkami, która miała oddzielać miejsce „incydentu” od przypadkowych przechodniów. Chyba niepotrzebnie. Gapie stanęli po drugiej stronie ulicy i wcale nie zamierzali jej przekraczać.

– Siedem – szepnęła Magda.

Policzyła krzykliwie czerwone worki na ciała, które powinny być koloru czarnego. Policja, zmuszona do kupowania w przetargach nawet skarpetek, zapomniała wpisać do wymogów zamówienia worków na trupy oczekiwany kolor. No i teraz pakują ciała w czerwone wory.

Siedem ciał.

– Boże, co tu się stało?

Jakiś mundurowy zastąpił nam drogę i wskazał przeciwną stronę ulicy.

– Tam można popatrzeć.

– My tu mieszkamy, posterunkowy – powiedziałem służbowym tonem i przeszedłem koło niego, nie zatrzymując się.

Magda wyjęła policyjną odznakę i poklepała posterunkowego po ramieniu.

– Nie przejmuj się, taki już jest.

– To ktoś znany? – zapytał o mnie nieco zdezorientowany glina.

– Jeszcze jak – odparła Magda. W domu, w holu, Ivo obejmowała przykrytą kocem

Piekus. Jakaś posterunkowa parzyła kawę, a dwóch typów w koszulach flanelowych dopytywało się o to, czy Ivo strzelała ostrzegawczo w powietrze.

– O tak – powtarzała Ivo i z zapamiętaniem opowiadała, jak to wystrzelała cały magazynek w powietrze, a następnie rozprawiła się z intruzami za pomocą czarodziejskich kul z pustego magazynka.

– Bardzo śmieszne – mruknął glina.

– Co tu się, u licha, stało? – warknąłem. Wszyscy odwrócili głowy w naszym kierunku. Miałem wrażenie, że gdybym stał bliżej, jeden z gliniarzy zdzieliłby mnie w pysk, bo go wystraszyłem jak na horrorze. Ivo wzruszyła ramionami.

– Napad na dom. Siedmiu napastników.

– Jak sobie dałaś radę z siedmioma?

– Ósmy uciekł – dodała – Nie starczyło mi kul. Gliniarz we flaneli podszedł do mnie.

– Coś ty za jeden?

Wyjąłem portfel, pogmerałem w nim i wyjąłem wizytówkę Merkla.

– Komisarz Merkel – syknąłem. – Jestem doradcą ministra gospodarki do spraw zorganizowanej przestępczości, a to moja asystentka Magda Gonzalez.

Gdyby nie świadomość konsekwencji, Magda pewnie dałaby mi w dziób. Ale wtedy cała intryga wzięłaby w łeb. Niechętnie wyjęła policyjną odznakę i mignęła nią przed śledczym.

– Porucznik Grabski – przedstawił się tamten. – Zorganizowana przestępczość? Sądzi pan, że mafia ma z tym coś wspólnego?

– Sądzę? – wzruszyłem ramionami. – Jestem pewien. Mamy powody przypuszczać, że właścicielka tego domu miała stać się kolejną ofiarą pewnej szajki. Pracujemy nad podobną sprawą niejakiej pani Sadowskiej. Może pan słyszał. Zastrzelono ją z

kałasznikowa.

– Słyszałem – policjant podrapał się po głowie, kryjąc zmieszanie. Nie miał pojęcia o czym gładzę, ale wolał tego taktycznie nie ujawniać. Mierny był z niego szachista. W ten sposób z pytającego za chwilę miał się stać pytanym.

– Co tu się wydarzyło?

– Napad na dom – zaczął Grabski. – Z opowieści tej oto pani Iwony. – wskazał na moją asystentkę, próbując sobie przypomnieć nazwisko, ale ponieważ machnąłem ręką dał spokój. – A więc z opowieści pani Iwony wynika, że o godzinie dwudziestej do drzwi mieszkania zapukał mężczyzna podający się za dostawcę pizzy. Zadzwoił dwukrotnie, a następnie zawołał, że przywiózł pizzę. Problem w tym, że żadna z pań pizzy nie zamawiała.

Grabski zawiesił głos, żebym to sobie przetrawił.

– Co było dalej?

– Panie postanowiły nie otwierać drzwi i poprosiły, żeby dostawca pizzy zapukał do kogoś innego, bo one nie zamawiały jedzenia.

– Kazałam mu spierdalać – wyjaśniła Ivo.

– Tak – pokiwał Grabski. – Tak właśnie zanotowałem. Tak więc dostawca pizzy został odprawiony z kwitkiem.

Dziesięć minut później zapukał kierowca, któremu rzekomo zepsuł się samochód. Nasze drogie panie i tym razem nie otworzyły. Jednak pani Iwona nabrała podejrzeń. Oczywiście przypadek pojawienia się niezamawianego dostawcy i zbłąkanego kierowcy mógł się zdarzyć, ale – zresztą jak się okazało słusznie – napadnięte panie uznały, że jest co najmniej podejrzany.

– Postanowiłam sprawdzić, co się dzieje wokół domu

– przejęła pałeczkę Ivo. – Wysłałam przez piwnicę, która prowadzi do komórki z tyłu posesji. Wprost na gościa od pizzy, który jarał z boku szluga, myśląc, że jego rola jest skończona.

– W tym właśnie momencie do drzwi zbliżyło się dwóch kolejnych napastników w przebraniu hydraulików. Pani Piekus nie zepsuła się żadna wanna, nie ciekł jej też zlew. Oni jednak nawet nie zapytali, tylko przystąpili do odkręcania zawiasów od



drzwi za pomocą wiertarki.

– Przeraziłam się nie na żarty – wtrąciła Piekus. – Ivo powiedziała, żebym nic nie robiła, więc nie wiedziałam, co mam robić, a co gorsza, nie wiedziałam, czy siedzieć cicho, czy krzyczeć.

– Ostatecznie krzyknęła – dokończyła Ivo. Dostawca podskoczył na jej krzyk i przykucnął przy pudełku, w którym powinna znajdować się pizza.

– Zamiast pizzy był tam Walter PPK z tłumikiem

– wyjaśnił porucznik.

– Dokładnie – powiedziała Ivo. – Sprzedałam dostawcy prawego sierpowego i poprawiłam kolaniem w czoło, najsilniej jak potrafię. Zabrałam pistolet i wybiegłam na ulicę. Resztę, to jest efekt, mogliście zobaczyć na zewnątrz. Pierwszy raz zabiłam człowieka.

– Siedmiu – poprawił Grabski. – I to nadzwyczaj skutecznie.

Pogmerał w notesie.

– Mam tu zeznanie niejakiego Widackiego, sąsiada, który widział całe zdarzenie. Cytuję: „Kurwa , jakbym zobaczył na żywo Leona Zawodowca. Baba przypominająca skrzyżowanie orangutana z minizyrafą” – zerknął na Ivo. – Przepraszam, tylko cytuję: „ ... o twarzy Debry Winger świeżo udzielonej w ryj marynarskim butem, wylatuje z krzaków i częstuje ołowiem tych gości od hydrauliki, co zdejmują zawiasy z drzwi sąsiadki. Chciałem krzyknąć, że tak nie można, ale wtedy zobaczyłem, że ci goście hydraulicy to jacyś przyszywani, bo im zaczęły z rąk nie śrubokręty tylko giwery lecieć. Tak więc pewnie tamta żyrafa dobrze zrobiła. I wtedy zobaczyłem najbardziej nieprawdopodobną akcję w moim życiu. Zza drzew wypada jednocześnie pięciu gości, wszyscy mają gany w łapskach i zaczynają naraz pruć do tego babska, a ona zamiast po ludzku zginać, unikając kul niczym ta maszyna do zabijania z Kill Billa, ze spokojem robi rundę i po kolei strzela każdemu w łepetynę. Nieprawdopodobne. Naprawdę, nie da się tego opisać” .

– Sama nie wiem, jak to zrobiłam – wzruszyła ramionami Ivo. – Tak wyszło.

Grabski otarł kantem dłoni spocone czoło.

– To wszystko? – zapytałem. Pokiwał głową.

– Dobrze. Poruczniku, zabieram obie panie w bezpieczne miejsce.

Grabski nie bardzo wiedział, co powiedzieć. – Ale...

– Jak pan upora się z raportem, proszę zgłosić się do sekretariatu ministra. Wspomnę, że wykonał pan doskonałą robotę.

– Dziękuję panu.

– Zbierajcie się dziewczyny – rzuciłem i nie czekając, aż ktoś zada jakieś niebezpieczne pytanie, ruszyłem do drzwi.

Czułem na sobie oddech Magdy, słyszałem nieco dalej kroki Ivo i Piekus. Tuż za nimi szedł zapewne Grabski. Otworzyłem pilotem hondę i pozwoliłem dziewczynom zająć miejsca w samochodzie. Grabski przestępował z nogi na nogę. Podąłem mu dłoń na pożegnanie, a on przytrzymał ją nieco za długo. Miał żelazny uchwyt. Kiedy otworzył usta, przestraszyłem się, że cały podstęp zaraz się wyda. Że porucznik poprosi omoją legitymację czy też coś podobnego.

– Panie komisarzu? – zaczął jednak tylko.

– Tak?

– Uhm, do jakiego ministra mam się zgłosić? Patrzyłem na niego nieco zdezorientowany, bo już

zdążyłem zapomnieć, o co chodziło z tym ministrem.

– Do właściwego, oczywiście – odparłem jednak bez dłuższego zastanowienia.

Grabski nie skumał, ale nie dał się zbić z tropu.

– Do właściwego – powtórzył. – Rozumiem.

\*

– Wariat z ciebie – rzuciła Magda. Ivo pocieszała Piekus i chyba nie miała ochoty z nami gadać. Pomyślałem, że gdybym był tylko nieco bardziej przystojny, mógłbym zamarkować w lesie brak paliwa i wysłać Ivo z kanistrem na stację, a potem skorzystać z wdzięków Magdy i Piekus, może jednocześnie. Jednak byłem nieco mniej przystojny, a prawdę mówiąc, nawet całkiem brzydki (w szkole miałem ksywkę Wiedźma ze względu na wielki i garbaty nos).

- Dlaczego nazwałeś mnie Gonzalez? – zapytała Magda.
- A dlaczego nie?
- Dlatego, że mój były facet tak się nazywał. To nietakt.
- W stosunku do ciebie czy do niego?
- Do mnie.
- Przepraszam, tak mi się powiedziało. Magda zapaliła papierosa. Od dawna nie paliła.
- Powinieneś dostać w ryj.

Pojechaliśmy do domku letniskowego, który dwa lata temu kupiłem od prezentera teleturniejów telewizyjnych Karola Kingburgera czy jakiegoś innego Makdonalda. Śmieszny facet, słynął z beznadziejnych żartów i oficerskiej sztywności, a poza kamerą okazał się wyjątkowo szczerą i wylewną pierdołą.

W ciągu tych wakacji nie skorzystałem jeszcze z domu, a wakacje właśnie dobiegały końca, więc trudno się dziwić, że padłem ofiarą włamania.

– To tu? – spytała Magda, gdy zaparkowałem przed ogrodzeniem.

– Tak.

Rozejrzała się po okolicy. Trzeba przyznać, dość surowej.

– A gdzie dom?

– Pojęcia nie mam – odparłem zgodnie z prawdą. – Aw ogóle tu był? – spytała Ivo.

– Zapewniam cię, że rok temu tak.

– To co się stało?

– Prawdopodobnie padłem ofiarą włamania.

– Do domu, którego nie ma?

– Mówiłem wam, że jeszcze rok temu tu był.

– Sugerujesz, że ukradziono ci cały dom? Wzruszyłem ramionami.

– To możliwe – wtrąciła Piekus. – Był z drewna?

– Tak.

– Więc to prawie pewne. W branży mówi się, że drewniane domy często są rozbierane i sprzedawane w promocji w innych regionach. Nie płaciłeś za ochronę?

– Nie. Nie trzymałem w tym domu żadnych wartościowych rzeczy.

– Zatem ukradziono ci dom. Sami ochroniarze prawdopodobnie cię obrobili, żebyś miał nauczkę.

– Co za kraj – mruknąłem.

– To racja.

I co teraz? Staliśmy jakiś kwadrans na podwórku, zapaliliśmy po papierosie, po czym Ivo stwierdziła, że wieczór robi się chłodny.

– Kto mieszka w tamtym domu? – zapytała Piekus, wskazując sąsiednią posesję oddaloną o jakieś trzysta metrów i skrytą teraz niemal całkowicie w mroku.

– Jakiś architekt, były sekretarz partii, obecnie na emeryturze – wyjaśniłem. – Załatwił sobie na lewo pozwolenie na budowę prawdziwego domu.

Prawdziwy dom, otynkowany, dwupiętrowy, potężny, z czerwoną dachówką. Wszyscy sąsiedzi, ze względu na rekreacyjny charakter działek, mogli jedynie postawić altanki czy drewniane domki bez fundamentów.

W domu sąsiada emeryta zmieściłyby się ze trzy rodziny, ale nigdy nie widziałem, żeby przebywał tu ktoś poza właścicielem.

– Jest chyba pusty – zauważyła Ivo. W oknach nie paliło się światło. O ile dobrze pamiętałem, właściciel przyjeżdżał tylko na weekendy.

– Sugerujesz... – zacząłem.

– Przecież nie będziemy tu marznąć. Przeskoczyliśmy przez płot, przeszukaliśmy wszystkie możliwe skrytki w poszukiwaniu ukrytego klucza, a kiedy go nie znaleźliśmy, wylamaliśmy drzwi prowadzące do garażu połączonego z domem. Był nowoczesnie urządzony, wygodny i przestronny. W sypialni na pierwszym piętrze znaleźliśmy wspaniałe łożo, a w ścianie weneckie lustro. Za nim kryła się cała aparatura do nagrywania filmów. Nie jakiś chłam wideo, tylko profesjonalna kamera cyfrowa typu Beta i zestaw dźwiękowy. Obok był niewielki pokój z kilkoma monitorami i stół montażowy z prawdziwego zdarzenia.

– Czyżby nasz emeryt nagrywał pornole? – zapytała Magda.

Wrzuciłem do magnetowidu pierwszą z brzegu kasetę. Były to bajki Disneya. Za drugim razem trafiłem jednak w dziesiątkę. Jakiś gość wyglądający na ministra brandzlował się, przeglądając „Catsa”.

– Jego żona chyba nie byłaby szczęśliwa – wtrąciła Piekus.

– Cóż za marnotrawstwo – dodała Magda w uznaniu dla

wyposażenia ministra.

– Mały szantażysta? – Ivo poklepała się z zadowoleniem po kolanie z myślą o naszym obecnym gospodarzu.

– Raczej kronikarz – wskazałem na ogromną półkę wypełnioną kasetami wideo.

W domu znaleźliśmy też kilka pokoików urządzonych w różnych stylach. W jednym znajdowały się akcesoria do masażu, w drugim pejcze i lateksowe kombinezony, w kolejnym cały stos porozrzucanych w nieładzie po podłodze zabawek dla dzieci.

– Okropne – syknęła wzburzona Ivo. Gdyby gospodarz pojawił się w tej chwili w domu, miałby – znając Ivo – marne szanse na wyjście o własnych nogach.

Bez skrupułów ogołociliśmy lodówkę z puszek i piwa, po czym zaparzyliśmy lavazę w specjalnym czajniczku znalezionym pod kuchenką. Kawa była pyszna. Chyba wszyscy potrzebowaliśmy odpoczynku, ale trzeba było podsumować fakty. Zaczęła Magda, która swoim zwyczajem postanowiła nakreślić międzygalaktyczną mapę powiązań. Zaczęła od planet Sadowska i Piekus, przeszła przez S&M, Mrówę i Małego, by zakończyć na Bazyliszku i Zabytku. Następnie zaczęła łączyć planety szlakami handlowymi. Wyszedł z tego niezły galimatias.

– Właściwie nie mamy żadnego punktu zaczepienia – szepnąłem.

– Nie do końca – Piekus podeszła do stołu i narysowała ostatnią planetę.

DREWNO.

– Sadowska, która prowadziła podobną firmę do mojej zginęła, mnie najwyraźniej grozi niebezpieczeństwo.

– No i Michałowi ukradziono dom z drewna – wtrąciła z uśmiechem Magda.

Piekus spojrzała na nią, jakby zamierzała wyrwać jej serce. Jeśli mógłbym jej coś podpowiedzieć, to radziłbym celować w głowę, gdyż istniało wielkie prawdopodobieństwo, że w klatce piersiowej Magdy nie było żadne serce, nawet kamienne.

– Myślicie, że jest tu Internet – powiedziała zagadkowo Piekus i podeszła do biurka, na którym stał komputer.

Włączyła urządzenie, które po kilku szmerzących chwilach zażądało od niej hasła. Piekus niespecjalnie się tym przejęła i zaczęła z wprawą walić w klawiaturę. Trzykrotnie piszczący dźwięk dał jej znać, że powinna zaniechać dalszych prób włamania do systemu. Za czwartym razem monitor zamigotał i na ekranie pojawił się przyjemny błękit systemu operacyjnego Linux.

– Jak ci się udało?

– Wpisywałam najpopularniejsze przekleństwa

– wzruszyła ramionami Piekus, jakby to było takie oczywiste.

– Czytałam gdzieś, że niektórzy ludzie wpisują jako hasła daty urodzenia, inni wybierają imiona żon czy dzieci. Ale psychopaci najczęściej idą w przekleństwa. Jakie znasz najbardziej popularne przekleństwa?

– Cóż, może.

– Nieważne – przerwała Magda, obawiając się, że będę bluzgał przez następne pół godziny. – Co chcesz zrobić?

– Muszę wam coś pokazać – Piekus weszła do przeglądarki internetowej i odetchnęła z zadowoleniem. – Tak jak myślałam, ma połączenie do sieci.

Przez najbliższy kwadrans grzebała w Internecie i drukowała dokumenty, które w ogóle wydawały mi się nieinteresujące. Patrzyłem przez ramię, jak przechodzi przez kolejne strony kancelarii sejmu, premiera i prezydenta. Podeszła do drukarki, po czym każdemu z nas wręczyła plik kartek.

– Czeka nas krótka prezentacja – Piekus założyła okulary. – Na pierwszej stronie macie tłumaczenie dyrektywy unijnej o konieczności wdrażania programów wykorzystania energii odnawialnej. Dalej nasze rozporządzenia o nakazie odkupu energii z takich źródeł. Wreszcie rozporządzenie ministra gospodarki o wykorzystaniu drewna do produkcji czystej energii.

Przerwała, jakby chciała dać nam czas na oswojenie się z jej rewelacjami. Problem w tym, że byliśmy nimi śmiertelnie znudzeni. – I co z tego?

– To pozornie niezwiązane ze sobą fakty. Ale jakbyście znali branżę drzewną, wiedzielibyście, co ostatnio się dzieje.

– Co się dzieje?

– Otóż ceny surowca w ciągu roku wzrosły dwukrotnie, pozornie bez żadnego uzasadnienia. Na dodatek tartaki, wietrząc złoty interes, zaczęły poza branżą dogadywać się z elektrowniami, żeby sprzedawać im surowiec po zawyżonych cenach. Branża płytkarska czy papiernicza nie jest w stanie tyle zapłacić co elektrownie. Lasy Państwowe mają nas w dupie. I to bardzo głęboko.

– Chcesz powiedzieć, że może nam zabraknąć papieru toaletowego?

– Tak źle nie będzie – uspokoiła mnie na chwilę Piekus. – Co najwyżej jego cena wzrośnie trzy czy cztery razy.

– Całkiem niezła stopa wzrostu – mruknąłem. – Jak myślicie, ile rolek papieru moglibyśmy zmieścić w magazynie naszego biura?

– Obawiam się, że to nie takie proste, a jeszcze bardziej ryzykowne – powiedziała Piekus. – Papier może na przykład spłonąć, a poza tym trzeba go mieć gdzie sprzedać, a co z terminem ważności?

– Nie mów, że papier ma datę ważności.

– Jak każdy produkt. Nawet jeśli nie ma to znaczenia, i tak musi mieć datę ważności.

– Do czego zmierzasz?

– Spójrzcie na rozporządzenie ministra gospodarki, dające gwarancję zakupu energii pozyskanej z drewna.

– I co z tego?

– Z drewna. Dlatego elektrownie kupują ten surowiec i spalają go w piecach, dając nam prąd.

– Pałają drzewo?

– Pełnowartościowe, które mogłoby być wykorzystane w innych celach.

– Jaki ma to związek z tobą czy Sadowską?

– Otóż taki, że firmy podobne do mojej mogą przetworzyć drewno i będzie to produkt droższy, a ponieważ elektrownie i tak muszą go kupić, to interes jest złoty. Słyszeliście o mafii paliwowej?

– No.

– To coś podobnego. Można dzięki takim firmom zarobić



krocie.

– Wciąż nie rozumiem.

– To twój problem – mruknęła Piekus.

Ivo roześmiała się. Magda zaś westchnęła, jakby chciała powiedzieć: znów to ja muszę wlewać mu olej do kanistra.

– Jak chcesz na lewo zbić kasę, to najlepiej podłączyć się do jakiegoś udroźnionego już kanału i wymyślić sposób na zaoferowanie wartości dodanej, która będzie mało kosztować. W tym przypadku, choć można sprzedać całe drewno bez żadnego przetwarzania, robisz jego przerób, a cenę podbijasz dajmy na to trzykrotnie. Jak ktoś się przyczepi, mówisz, że to bardziej ekologiczne albo humanitarne, albo po prostu bardziej wydajne. Kto udowodni, że tak nie jest?

– Czyli nasi wrogowie tworzą mafię drzewną, żeby opanować obrót surowcem z elektrowniami?

– Najwyraźniej.

– Czy wy przeszłyście na stronę science fiction?

\*

Magda spała w pokoju z lateksem, Piekus w sali telewizyjnej, a Ivo rozłożyła się w kanciapie dziecięcej. Mnie – niczym jakimś paszy – przypadł salon na dole. Z kominkiem, ale bez łóżka. Miałem spać na strasznie niewygodnej kanapie. Zadzwoiłem do Weroniki, żeby powiedzieć jej, że pilne sprawy zawodowe wyciągnęły mnie z miasta, ale nie odbierała telefonów, a nawet wyłączyła pocztę głosową. Całkowicie rozgrzeszony ukradkiem wyciągnąłem z barku flaszkę chivasa, po wypiciu której zamarzyło mi się towarzystwo.

Udałem się do Magdy, której sen okazał się niezwykle płytki. Syknęła, żebym nie ważył się postąpić o krok dalej, zanim zdołałem zbliżyć się do drzwi. Piekus chrapała jak czterdziestoletni knur, co wystarczająco mnie zniechęciło. Chwilę dłużej zatrzymałem się przy drzwiach Ivo, które z kolei pozostały zachęcająco uchylone. Odbyłem krótką i treściwą konwersację z moim ego.

– Nie – powiedziało. – A właściwie czemu nie?

– Bo nie.

– Że niby będę żałował?

– Oj, tak.

Tak czy inaczej skończyłem na kanapie w salonie, i jedno co dobre, to że z nikim nie musiałem dzielić się chivasem, a to rzeczywiście doskonały trunk.

Zapadłem w sen koło godziny drugiej. O trzeciej zbudziłem się na siku i szklaneczkę jedyne go pozostałego w barku trunku – malibu ( cóż to za świństwo! ! ! ). Około czwartej przyśniło mi się, że uciekając przed wybuchem bomby atomowej, muszę wysikać się pod płótem (przez co o mało nie pobrudziłem pościeli) . Czwarta piętnaście wysikałem się po raz drugi tej nocy (grzecznie, w toalecie) . O czwartej trzydzieści dymałem w najlepsze Brokie Shields i nie udało mi się uchronić pościeli przed efektami tegoż niezapomnianego aktu.

W końcu, zdaje się, że koło szóstej, ponownie nawiedził mnie sen z owieczkami. Tym razem było ich więcej, pasły się na zielonej łące, rozstępując się przede mną, gdy szedłem w kierunku Pana Boga. Siedział na nierówno ociosanym dębowym pniu i grał na flecie. Kiedy mnie zobaczył, uśmiechnął się, ale czoło miał chmurne, żeby nie powiedzieć, wkurwione. Przysiadłem przy nim. I chyba bałem się odezwać. Bóg skończył grać i poklepał mnie po ramieniu.

– Wiesz, co mnie tak naprawdę wyprowadza z równowagi?

– Co takiego?

– Jeżdżą na tych swoich motorach, smrodzą i w nosie mają moje owieczki.

Rozejrzałem się, ale nigdzie nie zobaczyłem motocyklistów. Kiedy ponownie spojrzałem na Boga, już Go tam nie było. Na Jego miejscu siedział Herman Bols i rechotał, klepiąc się po kolanie.

Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. W każdym razie zapragnąłem się obudzić. I wtedy Bols spoważniał, nachylił się w moim kierunku, a jego oczy przybrały kolor rubinu jak oczy na fotografiach robionych tanimi aparatami. I powiedział:

– Owce to piękne zwierzęta. Gdy leżą na trawie, z tym swoim bogactwem wełny wyglądają tak rozkosznie jak grzyby atomowe we wczesnej fazie rozkwitu.

Rankiem dziewczęta wysłały mnie po chleb do pobliskiej wsi. Pojechałem na znalezionym w garażu rowerze marki Grunwald, który nie miał setek przerezutek i aparatu do mierzenia ciśnienia, za to jako pojazd do wyjazdów po chleb sprawdzał się doskonale. Zostawiłem rower koło restauracji Morenka, którą otwierano (co za szkoda) dopiero o dwunastej, po czym udałem się do piekarni.

– Co podać? – piekarz ważył jakieś sto pięćdziesiąt kilo, co przyprawiło mnie o podejrzenie, czy aby istotnie chleb był zdrowy i niezbędny dla człowieka.

– Cztery piwa na miejscu – powiedziałem bez dłuższego wahania.

– Mamy tylko Specjal.

– Może być. I chleb.

– Chleb? Nie ma chleba.

– Przecież to piekarnia.

– I coś pan taki zdziwiony. A normalnie to prosić w piekarni o piwo?

Jednak znalazł się jakiś zdeformowany bochenek. Piekarz zrobił kreski w notesie, wydał mi cztery piwa w puszkach i chleb, w zamian za co ja przekazałem mu dziesięć złotych i pięćdziesiąt trzy grosze.

Wypicie trzech piw zajęło mi dwadzieścia dwie minuty i trzydzieści sekund. Przepraszam za skrupulatność, ale Morgan doradził mi, że jeśli chcę się poprawić z matematyki, to powinienem wszędzie, w każdym możliwym miejscu liczyć jak najdokładniej. I myśleć o tym procesie z należytą powagą.

– Nawet jak sikasz, staraj się policzyć, ile kropli wydalіłeś – oznajmił któregoś dnia.

– Ciekawe ile ty... wydalіłeś? – odparłem z przekąsem, ale odpowiedź zbiła mnie z pantałyku.

– Trzydzieści trzy tysiące osiemset dwadzieścia dwie, licząc w skali Bormana. Ostatnio mam spadek, ale to pewnie z powodu

pogorszenia pogody i mniejszego spożycia wody.

Czwarte piwo popijałem w drodze do domu, przez co o mało nie padłem ofiarą rowerowej kraksy na leśnej rogatce. Jednak dojechałem szczęśliwie i całkiem szczęśliwy, licząc na podobne nastroje w ekipie pod wezwaniem świętego Benedykta.

Nic z tego, moje panie wpatrywały się bez słowa izponurymi minami zwiastującymi nieszczęście w szklany ekran telewizora.

– Co tam w świecie? – rzuciłem wesoło, na co Magda, która grała rolę operatorki pilotów, pogłośniła trochę.

– Lepiej sam posłuchaj.

Na ekranie jakaś gadająca głowa głądziła coś o serii zabójstw dokonanych na zlecenie bliżej nieokreślonego gangu. Niewiele brakowało, a umknąłby mi najciekawszy fragment, mówiący o pewnym detektywie, który był głównym podejrzanym. Potem pokazano zdjęcia sprzed domu Piekus i siedem trupów w czerwonych workach.

– Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się – zakończył jeden z reporterów – że ofiary należały do ściśle tajnej jednostki antyterrorystycznej. Funkcjonariusze zginęli, próbując ująć Michała S., który może okazać się długo poszukiwanym zabójcą na zlecenie i jednym z najgroźniejszych bandytów w Polsce.

– O, moje akcje rosną – mruknąłem.

– Patrz dalej – poleciła Ivo.

Na ekranie pojawiły się zdjęcia sprzed budynku Biblioteki Uniwersyteckiej z podłożonym komentarzem o agencji detektywistycznej, która prawdopodobnie stanowiła przykrywkę dla działalności brutalnego zabójcy. Następne zdjęcia pokazały wypadki bmw, jakiegoś trupa na Intraco, kilka innych nieznanymi mi zupełnie ciał.

– Chyba powinieneś nam to wyjaśnić – syknęła Magda. Popatrzyłem nieco zamglonym wzrokiem.

– Żartowałam.

– Patrz dalej – powtórzyła Ivo. Kamera telewizyjna uchwyciła biuro Interpolu

w Brukseli. Na tropie zabójcy od kilkunastu dni jest już Interpol. Agenci do zwalczania przestępczości zorganizowanej podejrzewają naszego obywatela o serię jeszcze gorszych

zbrodni.

Potem przyszła kolej na zdjęcia sprzed kwatery głównej wywiadu wojskowego, gdzie rutynowo postarzony generał Stolarczyk wyjawiał, że WSI depcze mi po piętach jeszcze dłużej.

– Wyłącz – poprosiłem.

– To jeszcze nie koniec.

ABSOLUTNA REWELACJA – brzmiał napis na ekranie.

– Teraz będzie najlepsze – mruknęła Piekus. Michał S. podejrzany o dziesiątki zabójstw prywatny detektyw jest związany z Weroniką R. , córką jednego z kandydatów na prezydenta. Sztab wyborczy odmawia komentarza. Nie udało nam się porozmawiać z narzeczoną zbrodniarza. Przez ekran mignął wiec wyborczy, jakaś wstawka z reklamy Taty, jak to rozliczy się z bandziorami, wreszcie gmach pogotowia, gdzie Weronika odepnęła się od reporterów.

Przed oczami stanęła mi twarz Toma, sekretarza ojczulka. Jak on to ujął? Postaraj się być poza pierwszą dziesiątką winnych porażki. Zdaje się, że szybko przeskakiwałem z miejsca nieuwzględnionego w rankingach na czoło stawki. Czarny koń doktora R. Wyłączyłem komórkę.

Wyłączyłem, a potem jeszcze na wszelki wypadek wyjąłem baterię.

Po głębszym zastanowieniu wszystkie części mojego aparatu marki Nokia zakopałem w ogródku. Bez żalu. Miał swoje lata.

Postanowiliśmy się rozdzielić.

Iwo z Piekus miały pozostać w domu sąsiada do czasu wyjaśnienia sprawy, a przynajmniej do przejścia na etap naszego kontrataku, który – co by mówić – musiał nastąpić wcześniej czy później, przy czym dla wielu lepiej, gdyby nastąpił jak najwcześniej, a dla mnie – prawdę mówiąc – jak najpóźniej.

Chciałem doradzić Iwo, co ma robić w wypadku pojawienia się sąsiada, ale przycisnęła palec do ust. – Wiem, co robić.

Powiedziała to takim tonem i z taką miną, że zadrzałem na myśl o biednym emerycie, który mógł być w poprzednim komunistycznym wcieleniu świnią i aparaczką, a teraz wyuzdanym zboczeńcem, ale w końcu wciąż pozostawał emerytem, starszym człowiekiem, któremu choćby z racji wieku należał się – nawet jeśli nienależny – szacunek. Masło maślane.

Ja z Magdą udaliśmy się do wioski, gdzie zamierzaliśmy złapać autobus do Torunia, skąd moglibyśmy przesiąść się na pośpieszny do Warszawy.

Po drodze zabrał nas jednak jakiś wesołek w peugeotcie, który co prawda jechał w kierunku Gdańska, ale na widok Magdy stwierdził, że właściwie Warszawa jest mu po drodze.

Bezczelnie podrywał Magdę przez całą drogę, mimo że powiedziałem mu wyraźnie, iż nie jestem jej bratem. Magda, drocząc się zapewne ze mną, dała mu numer telefonu służbowego do komisariatu, dzięki czemu wysadził nas w samym centrum. Nie mogłem wiedzieć, że jak tylko zniknął nam z oczu, natychmiast wyjął z kieszeni krótkofalówkę i zameldował się swoim zleceniodawcom (których nie udało nam się odkryć, więc należy o tym wątku zapomnieć).

Magda przeciągnęła zmęczone drogą kości i zaproponowała krótką wycieczkę po galerii handlowej.

– Czy to nie niebezpieczne?

– Dlaczego?

– W końcu mnie poszukują i to z udziałem telewizji. Magda machnęła ręką.

– Nie jesteś fotogeniczny, nikt cię nie rozpozna. A nawet jeśli, nie sądzisz chyba, że jakiś porządny obywatel zaryzykuje swoją nieposzlakowaną opinię i zgłosi donos na policję, że cię widział.

– A co z nieporządnymi obywatelami?

– Na razie za twoją głowę nie wyznaczono nagrody. Wzruszyła ramionami i ruszyła w kierunku sklepów.

Przedarliśmy się przez perfumerię oraz serię butików z ciuchami. Pół godziny później obładowany reklamówkami wyglądałem jak zwyczajny obywatel. Magda wyjaśniła, że w ten sposób na pewno nie zwrócimy niczyjej uwagi.

– Muszę przyznać, że zakupy wczesnym popołudniem mogą być bardzo przyjemne.

– Tak, szczególnie jak to ja płacę. Jaki mamy plan? Zerknęła na zegarek.

– Musimy kogoś odwiedzić.

– Kogo?

– Kogoś, kto podpisał to – Magda wyjęła z kieszeni kopię rozporządzenia ministerstwa gospodarki o sprzedaży drewna dla przemysłu energetycznego.

– Chcesz przesłuchać ministra gospodarki? To może nie być najbezpieczniejsze w naszej sytuacji.

– Minister tylko składa parafkę. Tak naprawdę rozporządzenia przygotowują departamenty, więc musimy znaleźć – zerknęła na rozporządzenie – dyrektora pionu bezpieczeństwa energetycznego państwa, niejakiego magistra Tadeusza Buczka.

– Sądzisz, że wyprodukował to rozporządzenie na czyjeś zlecenie.

– A co myślisz, że działał charytatywnie – burknęła. -W tym kraju można kupić każdą ustawę, ale po tych wszystkich aferach ministrowie bezpośrednio boją się brać, więc zlecają czarną robotę dyrektorom. Spróbujemy złapać go przy wyjściu. Masz jeszcze tę wizytówkę Merkla?

W budynku ministerstwa gospodarki znaleźliśmy się tuż

przed czwartą. Na recepcji ochroniarz obejrzał bez specjalnego zainteresowania „szmatę” Magdy, ale kiedy pokazałem mu wizytówkę Merkla, zmienił front i omal nie salutował przy każdym pytaniu. Odszukał księgę ze zdjęciami pracowników i pokazał nam magistra Buczka. Był to trzydziestopięcioletni młodzieniec podobny nieco do Marka Kondrata. Kiedyś bym się zdziwił, że trzydziestopięcioletek może zostać dyrektorem w jakimś urzędzie, ale od pewnego czasu nic mnie nie dziwi.

– Cwaniak – mruknęła Magda.

– Lepszy cwaniak – potwierdziłem i rzuciłem do ochroniarza.

– Staniemy tuż przy drzwiach, gdy zobaczycie Buczka, zdejmijcie czapkę i przeczescie włosy dłonią.

Ochroniarz pokiwał słuźbiście głową. -O co jest oskarżony?

– Tajemnica.

– Rozumiem – zawahał się. – Którą dłonią mam przeczesać włosy?

– A którą się podcieracie?

– Prawą.

– No to włosy – rzecz jasna – przeczesujecie lewą.

– Tak jest.

Buczek wyszedł o czwartej piętnaście. Sam i wcale nie miał ochoty na towarzystwo. Nawet uroda Magdy go nie przekonała. Legitymacja policyjna lekko go zaniepokoiła, ale na widok mojej wizytówki wyraźnie zadrżał. Co się stało z tym światem, że oficjalne dokumenty nikogo nie obchodzą, za to sfalszowane wizytówki potrafią czynić cuda?

– Dokąd mnie zabieracie?

– Do pudła – wyprzedziłem Magdę. – Idź grzecznie, to nie narobisz sobie wstydu. Jak wyjdiesz za dziesięć lat, może nikt nie zapamięta cię na tyle, żeby przechodzić na drugą stronę ulicy przy przypadkowym spotkaniu.

Urzędnik zaparł się, ale chyba przemyślał, że nie warto stawiać oporu w budynku. Na ulicy jednak stanowczo stanął okoniem.

– Dalej nie idę. O co jestem oskarżony? -Ao to – Magda podetknęła mu pod nos kopię rozporządzenia.

– Co to jest?



– Rozporządzenie o wykorzystaniu drewna do wytwarzania energii. Co, nie czytałeś? Dziwne, bo sam to podpisałeś.

– Podpisuję wiele dokumentów. – I każdy służy potem mafii do kręcenia lodów. Dzięki temu rozporządzeniu kilka firm kręci już niezłą kapuchę na lewo, a kilka kolejnych do tego się szykuje. Ile dostałeś?

– Nie podoba mi się kierunek, w którym zmierza ta rozmowa.

– Kierunek pudło jest zdecydowanie bardziej atrakcyjny.

– Nie wiecie, z kim zadzieracie.

– Wiemy, wiemy. No więc, kto ci zapłacił?

Buczek zrobił minę, jakby chciał się wyrwać i z unikiem rozpocząć ewakuację drogą pośpiesznej i brawurowej ucieczki zatłoczonymi ulicami miasta. Na filmie by to niezłe wyszło, choć – jeśli miałyby wyglądać wiarygodnie i przekonująco – trzeba by niezłe wybulić na efekty specjalne. W książce jednak takie pościgi to nuda.

Wyręczył mnie ktoś z okien pobliskiego urzędu patentowego. Najpierw usłyszałem świst, a potem stłumiony huk. Dwie kule utkwily w piersi Buczka, powalając go na kolana. Biedak z wysiłkiem próbował złapać oddech i zatrzymać choć na chwilę życie uciekające przez dwie bulgocące krwią dziury. Bezduszna Magda walnęła go jeszcze w ranę, symulując, że próbuje mu pomóc.

– Kto? Kto ci zapłacił?

Buczek jednak nie miał ochoty na dalszą konwersację. Magda klęczała koło niego, a ja zastanawiałem się, co powinienem zrobić. Na filmach w takich scenach zamyka się ofierze oczy lub przykrywa ciało własną kurtką. Ja miałem kurtkę za tysiąc dwieście z Diesla. I nie miałem zamiaru jej niszczyć.

Magda wstała i chwyciła moje ramię zakrwawioną dłonią.

Biegliśmy w kierunku Kruczej. Plac przed budynkiem ministerstwa gospodarki pustoszał tak szybko, jak wcześniej się zapełniał.

Ponieważ nie mogliśmy udać się do domu, gdzie zapewne czekał na nas cały pułk policji, na noc wynajęliśmy jeden pokój w hotelu Polonia na nazwisko Buczek, bo nie przychodziło nam do głowy żadne inne. Pan i pani Buczek, małżeństwo. Recepcjonista zażądał od nas okazania dowodów osobistych albo paszportów, ale zadowolił się policyjną odznaką Magdy, którą najwyraźniej uznał za fałszywą, bo wciąż był miły. Jeszcze szerzej uśmiechnął się, gdy zapłaciłem z góry za pokój. Z tyłu odbiornik telewizyjny nadawał o kolejnym zabójstwie dokonanym w Warszawie przez płatnego zabójcę.

– Co to się narobiło – mruknął recepcjonista. – Podejrzewają o to jakiegoś detektywa. Wydrukowaliśmy jego zdjęcia na tablicy informacyjnej, gdybyście państwo go zobaczyli. Ja trzymam jedno pod ladą.

Mrugnął do mnie okiem, zerknął pod ladę, potem znów na mnie i zadowolony z nieuzyskania efektu podobieństwa między mną a ściganym, zagłębił się w lekturze magazynu „CKM”.

Moje zdjęcie było rzeczywiście bardzo nieudane i pochodziło sprzed piętnastu lat. Nawet świętej pamięci ukochana matka by mnie na nim nie rozpoznała, gdyż fotografię zrobiono, kiedy byłem całkowicie trzeźwy. Magda zasłoniła usta dłonią, próbując ukryć szyderczy uśmiech.

– Co?

– Tak wyglądałeś? – prychnęła głośniejszym śmiechem.

– I co z tego?

– Nic – pokręciła głową z niedowierzaniem. – Muszę zrobić odbitkę.

Dostaliśmy pokój na trzecim piętrze, gdzie dotarliśmy na piechotę z braku zaufania do wind w zabytkowych budynkach. Drzwi były zamykane na kartę magnetyczną, ale nowoczesność na tym się kończyła. Stare podwójne łóżko, odpryskujące ściany i stęchły smród papierosów, taniej miłości, wódki i rzygowin.

Magda pomachała ręką przed nosem.

– Fuj – sięgnęła do kabury wyciągnęła rewolwer, chwyciła dłonią poduszkę i mocno przycisnęła ją do ściany.

– Co robisz?

Zamiast odpowiedzieć, strzeliła dwukrotnie. Rozległ się stłumiony dźwięk, który dla mnie był głośny, ale dla sąsiadów czy przechodzącej obsługi mógł oznaczać praktycznie wszystko – od rzucenia biblią na stolik po walnięcie łóżkiem o ścianę w czasie orgiastycznego szczytowania.

– Dzięki temu przynajmniej karaluchy nie będą nam dokuczać – powiedziała Magda.

– Karaluchy?

– Patrz.

Rzeczywiście. Niewielkie, za to wyjątkowo paskudne czarne stwory spierdziały przez dziury w ścianach i kanały wentylacyjne.

– Kiedyś przeczytałam – wyjaśniła Magda – że karaluchy uciekają, gdy poczują swąd palonego prochu, jakby wyczuwały, że ten zapach nie oznacza niczego dobrego.

– Bo nie oznacza – mruknąłem. – Poza tym to nie zapach tylko smród.

Magda rozsiadła się na łóżku i wysypała zawartość swojej torebki. Poza kosmetykami, drugim rewolwerem, kajdankami i kostką Rubika na łóżku wylądował czarny męski portfel.

– Co to?

– A jak myślisz? Portfel Buczka.

– Ukradłaś go?

– Zabezpieczyłam jako dowód – pogmerzała w kieszonce i wyjęła plik kluczy. – Podobnie jak te klucze, które prawdopodobnie otworzą nam drzwi jego mieszkania.

W portfelu poza kwotą tysiąca złotych (którą podzieliliśmy po połowie) znaleźliśmy prawo jazdy, dowód osobisty i paszport – wszystkie na nazwisko Buczek. W każdym dokumencie w rubryce na adres zamieszkania wpisane miał warszawskie kody, ale ulice były inne – Gwiaździsta, Rumuńska i Przyleśna.

– Może któryś z nich to adres rodziców – zauważyłem, żebyśmy nie wyciągali pochopnych wniosków.

– Spójrz na miejsce urodzenia. Olsztyn. Stamtąd pochodzi. Więc raczej to jego mieszkania, a nie rodziców.

– Cóż, urzędnik Buczek odkrył w sobie zamiłowanie do inwestycji na rynku nieruchomości.

– Trzeba będzie jutro odwiedzić te jego posesje. Idź spać, od rana czeka nas ciężki dzień.

– A gdzie mam spać?

Magda rozłożyła się na całym łóżku. Liczyłem, że przesunie się nieco i zrobi mi miejsce, a wtedy nie trzeba by mnie dłużej zachęcać. Jednak moja partnerka zgasiła światło i odparła:

– Gdzie chcesz, bylebyś nie zbliżał się do łóżka. Pozostała więc podłoga.

Zbudziłem się o drugiej z bolącą szyją. Magda spała w najlepsze z dłonią pod poduszką, w której prawdopodobnie krył się niewielki (co wcale nie znaczy, że niegroźny) rewolwer skorpion.

Poszedłem do łazienki, umyłem zęby i słysząc ulotne dźwięki muzyki dochodzące z dziur w podłodze, założyłem marynarkę i udałem się na dancng.

Przygrywał didżej Lolo. Był to lekko wczorajszy, mocno zakręcony koleżka w wieku jakichś piętnastu lat. Kiwał głową w takt czegoś, co nie przypominało rock & rolla, muzyki latynoskiej czy choćby jakiegoś murzyńskiego soul, za to podobny efekt dźwiękowy można byłoby uzyskać, przecinając puszki po piwie ząbkowanym nożem.

Parkiet opanował jeden zbłąkany, wysoki i wyglądający jak tyka turysta. Płasał po parkiecie z wyjątkowym i zupełnie dla mnie niepojętym animuszem.

Przy barze siedziały trzy tłuste dziwki i jedna chuda. Czekać na lepsze czasy, popijały wodę mineralną bez cytryny przez słomki i odpalały jednego papierosa od drugiego.

– Cześć dziewczęta – odwróciły pyski w moją stronę, jednak z tego powodu zrobiło mi się niedobrze, gdyż nigdy jeszcze w jednym kadrze nie złapałem takiego bogactwa brzydoty.

– Masz ochotę? – mruknęła pierwsza.

– Wybacz – odpowiedziałem z wrodzoną szczerością. – Ale nie płacę za miłość, poza tym jestem bez grosza, a jeśli ty chciałabyś za mnie założyć, to śpieszę donieść, że cię nie stać.

– Cham – syknęła, ale nie dostałem po pysku. Dziwka wstała z fotela i przeszła się wyzywająco

po parkiecie, zerkając na tykę turystę.

– Holender – szepnęła do mnie druga dziwka, jeszcze brzydsza od pierwszej. – Z Brukseli.

– Jak z Brukseli to Belg – zauważyłem niechętnie, nawet się nie orientując, że właśnie nawiązałem konwersację z tłustym babskiem, które to stworzenie miało na sobie tyle pudru i tanich kosmetyków, że ustawiając je koło dziewiczego płótna, można byłoby namalować jednym kichnięciem nowoczesny obraz.

– Czy to nie wszystko jedno? Napij się. Skinęła na barmana, który nalał mi pełną szklankę żółdkowej gorzkiej. Grzecznie wypilem i nie zdążyłem jeszcze odstawić szklanki, gdy już

miałem ją napelnioną ponownie.

– Dziś jest szczególny dzień. Bar stawia pierwsze pięć drinków.

– Czy nie można byłoby wymienić żołądkową na – dajmy na to – finlandię?

– Nie można – mruknął barman. – Chcesz to pij, nie chcesz, to się zmyj.

Poeta?

– Dobra, dobra.

Wypiłem te pięć żołądkowych i miałem się zmyć, kiedy zauważyłem, że nogi mam dwa razy cięższe.

– To jak, zabawimy się? – zapytała brzydka dziwka.

– Spojrzałem jej przez ramię – cóż, ta trzecia, chuda, nie była ostatecznie taka zła.

– Dobra, ale z tobą – rzuciłem do chudej. – A co ty myślisz, że tu można wybierać. U nas działamy jak na postojach taksówek. Chcesz dymać, bierzesz pierwszą z kolejki.

– Ile za numer?

– Stówa.

Wyjąłem z kieszeni pięć stów i spojrzałem na nie bez sentymentu. Kupiłem trzy dziwki z mocnym postanowieniem skorzystania tylko z tej trzeciej. Starczyło jeszcze na flaszkę royal regal. Więcej grzechów nie pamiętam.

Magda zwlokła mnie z podłogi o godzinie siódmej czterdzieści, zmusiła do wejścia pod prysznic, a następnie kazała wymiotować do klozetu.

– Uff, ile wypileś?

– Dużo – mruknąłem.

Pokręciła głową z przekąsem, gest ten oznaczał, że nie powinna się ze mną zadawać. Prawdę mówiąc, chyba miała rację, co nie oznacza, że musiałem jej ją przyznać.

– Trzeba było nie kazać mi spać na podłodze. Machnęła zniechęcona ręką.

– Potrzebujemy samochodu – rzekła i podrapała się po głowie.

– Benz? – zasugerowałem.

Wzruszyła ramionami i zezwoliła na wykonanie telefonu z hotelowego aparatu.

Punkt dziewiąta taksówka wysadziła nas przed siedzibą firmy Benz, którą prowadził niejaki Siergiej Jaszyn. W nieodległych czasach prosperity firma Benz dostarczała luksusowe limuzyny dla kilkudziesięciu polityków różnych frakcji. Posłowie, senatorowie, prawnicy, ich żony, konkubiny i kochanki. Sto ekskluzywnych pojazdów: mercedesy, audi, saaby i inne nie budzące podejrzeń marki. Mieli nawet maybacha i phaetona dla większych szych. Skończyło się po kilku głośnych, choć zakończonych wyciszeniem, aferach.

Siergiej, któremu kiedyś pomogliśmy w sprawie zbyt wścibskich dziennikarzy, (jak się okazało, jedynie chcieli nieco dorobić do psich pensji), uśmiechnął się wesoło na nasz widok.

– Kogo widzę, kopę lat – przywitał się ze mną wylewnie, a jeszcze wylewniej z Magdą. – Co u was?

– Kiepsko. Mamy na karku gliny, służby specjalne i mafię.

– Słyszałem, słyszałem. Oczywiście padliście ofiarą brudnej prowokacji?

– Oczywiście. Potrzebujemy auta.

– Ale chyba wypijecie szklaneczkę herbatki.

Magda skrzywiła się z niechęcią. Ostatnio jak wpadłem do Siergieja na szklaneczkę herbaty, wróciłem do życia po tygodniu.

Ale to był obowiązek, bo Siergiej gotów był się obrazić.

– Nie odmówimy.

Poprowadził nas przez szeregi aut do budynku, w którym musieliśmy przemierzyć serię labiryntów, by na koniec dotrzeć do niewielkiego pokoiku wypełnionego gadżetami ze Związku Radzieckiego, zbieranymi przez Siergieja z sentymentu. Na centralnej ścianie widniała wielka odbitka czarno-białego zdjęcia przedstawiająca bramkarza piłki nożnej wyciągniętego w obronnej paradzie. Dziadek Siergieja był ponoć znanym piłkarzem. Sam Siergiej, jak każdy Rosjanin, był chłopem do rany przyłoż. Gorzej jak spotykał się z kolegami. Ten naród miał to do siebie, że w grupie stanowili zjawiskowy, encyklopedyczny wręcz przykład barbarzyńców. Jak nie mieli kogo bić, to bili się między sobą. A jak się nie bili, to śpiewali, pili, po czym już się bili.

– Stoliczna – powiedział nasz przyjaciel, wyjmując na stół butelkę 0,7.

– Jak interesy?

– Jak widać – wzruszył ramionami. – W tej chwili na chodzie mam może z sześć aut, wszystkie gdzieś na prowincji u pomniejszych radnych. Jedno trafiło do dyrektora szkoły zawodowej za świadectwo z czerwonym paskiem dla stryjecznego wnuka pewnego księdza. Nikt już nie chce przekupywać samochodami kogoś wyżej postawionego. Modne są zagraniczne konta i kupony rabatowe wymieniane w bankach szwajcarskich na gotówkę.

– Może benzyna jest za droga? – zauważyła ze śmiechem Magda.

– Dodajemy gratis karty na paliwo, a i to nie pomaga. Po prostu czasy się zmieniły.

– Co zamierzasz?

– Zbankrutować – odparł Siergiej z uśmiechem. – Ale z wielkim hukiem. Już mam jakieś pięćdziesiąt milionów długu.



– Banki nie upominają się o swoje?

– Boją się, bo nie wiedzą, czy jeszcze ktoś ze mną gra, czy nie. Jak dojdę do stowy na minusie, wysadzę ten cały bądziej w powietrze. A co mi tam?

Wypiliśmy flaszkę stolicznej, która nie wywołała na Siergieju żadnego wrażenia, więc wyjął kolejną. Magda spojrzała błagalnie. Niechętnie musiałem przyznać jej rację.

– Przepraszam, przyjacielu, ale mamy robotę.

– Robota, robota – schował flaszkę z ociąganiem, jakby liczył na to, że moje sumienie się opanuje. – Cóż, rozumiem. Chcecie maybacha?

– Wolimy coś mniej rzucającego się w oczy. – A8?

– Jeszcze mniej.

– Mogę pożyczyć wam mojego forda focusa, ale musicie oddać.

– To może być trudne.

Ostatecznie zdecydowaliśmy się na volvo S80. Luksus, ale takich aut jeździło po Warszawie całkiem sporo.

– Zostawcie go gdziekolwiek, z kluczykami w stacyjce. Może ktoś ukradnie.

Siergiej machał nam na pożegnanie, aż zniknęliśmy za zakrętem. Miły facet, choć Ruski.

Magda poleciła, żebym najpierw skierował S80 na ulicę Gwiazdzistą. Mogliśmy ze spokojem odwiedzić mieszkania Buczka, gdyż policja – dzięki bałaganowi w systemach komputerowych – trafi tam najwcześniej za tydzień.

W mieszkaniu Buczka nikogo nie było. Włamaliśmy się do niego za pomocą wytrychu, bo nie chciało nam się szukać właściwego klucza w pęku zabranym właścicielowi.

Był to ośmiopokojowy apartament urządzony jakby z folderu hotelu Hyatt.

– Pan Buczek miał gust – mruknęła Magda. – I skłonność do rozrzutności. Przez dwie godziny przeczesał wszystkie zakamarki, ale nic nie znaleźliśmy. Za to zostawiliśmy dla ewentualnych gospodarzy straszny burdel.

Na Rumuńskiej mieszkanie było bardziej skromne – cztery pokoje o łącznej powierzchni 120 metrów. Drzwi otworzył

wysoki gość w samych slipkach. Miał mocno opaloną skórę, gęste włosy na klatce piersiowej, a pod obcisłymi slipkami czał się do skoku półmetrowy pyton. Magda o mało co nie oblizła ust. Mimo to przystawiła mu rewolwer do piersi (do głowy nie dosięgała) i kazała nie odzywać się bez pytania.

– Ktoś jeszcze jest w domu? – zapytała, gdy ryglowałem drzwi.

– Nie.

– Co pan tu robi?

– Mieszkam.

– To mieszkanie pana Buczka, nie jest pan tu zameldowany – zablefowała Magda.

– Wynajmuję. Zaraz, coś tu jest nie tak? Magda wyjęła odznakę policyjną.

– Pan Buczek jest zamieszany w pewne ciemne interesy – zaczęła i wtedy dryblas przerwał jej wylewnie:

– Wiedziałem, kurwa, wiedziałem.

– Podejrzał pan o coś Buczka?

– Podejrzałem? Nie. Wiedziałem, że będę miał pecha. Nie opuszcza mnie od roku, od kiedy opuściła mnie żona.

Magda zerknęła na jego wybrzuszony slipki, jakby chciała powiedzieć: czyżby nie działał?

– Przykro nam. Proszę opowiedzieć nam o Buczku.

– Niewiele wiem. Mieszkam tu od miesiąca. Buczka widziałem dwa razy: kiedy oprowadzał mnie po mieszkaniu i kiedy odbierałem klucze po uiszczeniu opłaty.

– Dużo? – zapytałem z ciekawości.

– Niech pan lepiej nie pyta. Ale płaci moja firma.

– Czym się pan zajmuje?

– Robię zdjęcia. Jestem fotografem w magazynie mody.

Wyszliśmy po pięciu minutach. Magda zerknęła na mnie, a ja na nią.

– Pedał?

– Pedał, choć może o tym nie wie. Pół godziny później parkowaliśmy przed dwuhektarową posiadłością z willą przypominającą dworek i niewielką halą sportową z basenem.

– Buczek, urzędnik – mruknęła Magda. – Na pewno się nie

pomyliliśmy?

– Gdyby stała tu stodoła kryta strzechą, moglibyśmy mieć wątpliwości. Brakuje jeszcze porsche i hummera na podjeździe. Wchodzimy?

Przez dłuższą chwilę zastanawialiśmy się, jak dostać się do środka. Możliwości było tak wiele, że postanowiliśmy na początek spróbować najprostszym sposobem: zadzwonić do bramki przy wjeździe na posesję. Oczywiście nikt nie odpowiadał.

– Pchnij bramkę – zasugerowałem.

– Pewnie jest zamknięta.

– Jednak pchnij.

Była zamknięta. Wtedy przypomniałem sobie, jak któregoś dnia odbierałem Jacka z przedszkola. Wówczas również bramka była zamknięta i nikt nie odpowiadał na dzwonek. Miałem już sobie pójść, gdy obok przechodziła jakaś kobieta, która z uśmiechem wyjaśniła mi, że trzeba przełożyć dłoń przez bramkę i samemu sobie otworzyć z drugiej strony. Takie furtki często miały brzęczyk zwalniający zamek od strony domostwa, żeby za każdym razem nie trzeba było używać klucza czy korzystać z czyjejś uprzejmości.

Przełożyłem dłoń przez kraty i po chwili poszukiwań wymacałem brzęczyk.

– Jednak nie spaliłeś wszystkich szarych komórek – pochwaliła Magda.

Szliśmy alejką wysadzaną topolami przez jakieś trzysta metrów. Tuż przed wejściem stanęliśmy oniemiały. Przed gankiem domu mieścił się parking, który ktoś przeczornie przygotował na zjazd jakiś trzystu samochodów, a nad parkingiem widniał wielki billboard z czerwoną różą. Wyglądała przekoszmarnie, więc musiała zwrócić uwagę każdego, kto tu przyjeżdżał. -Co to jest?

– Nie wiem, podejźmy bliżej. Na dole billboardu była tabliczka. Napisano na niej:

FIRMA BILLBOARD W PODZIĘKOWANIU  
ZA SERCE DLA PANI PREZYDENTOWEJ  
I JEJ FUNDACJI.

– O kurwa – mruknęła Magda.

– No.

Miałem ochotę odwrócić się na pięcie i powędrować z powrotem, by czym prędzej udać się na lotnisko i kupić bez zniżki bilet na najbliższy lot do Kuala Lumpur. Magda chwyciła mnie jednak za ramię. -Aty gdzie?

Wzruszyłem ramionami i poszedłem za nią do drzwi. Pociągnęła za klamkę i drzwi o dziwo ustąpiły.

– Takiej hacjendy się nie zamyka?

– Najwyraźniej.

Już pierwszy kwadrans myszkowania w tym miejscu utwierdził mnie do słuszności pierwszej myśli: trzeba było spierdalać póki czas. W tym domu aż roilo się od zupełnie nie skrywanych pułapek.

Natrafiliśmy na zdjęcia jakiegoś gościa przypominającego Buczka, ale jednak jakoś innego, z papieżem, Georgem Bushem i królem Olafem. Wreszcie, w serdecznym uścisku witał się z prezydentem. Z naszym pierwszym fotek miał tyle, że mógłby otworzyć małą agencję fotograficzną specjalizującą się w obsłudze foto głowy państwa.

– Kim on jest, u diabła? – zapytała sama siebie Magda.

– Prezydent jest pedziem?

– Nie wiem. Ale słyszałam, że radzi sobie całkiem nieźle z kobietami.

Dalsze poszukiwania przyniosły kolejne odkrywczcze nagrody: zastaw teczek wypełnionych analizami i materiałami wystarczającymi do stworzenia raportu na temat całego rynku drzewnego w Polsce. Jedna z opasłych teczek zawierała serię zbiorów na temat firm działających na rynku. Większość miała zrobione szlaczki, które stawia się, gdy sprawa jest załatwiona. Właściwie tylko jedna została bez szlaczka – firma Piekus.

– No to część teoretyczną chyba mamy odrobioną – mruknąłem.

Magda spojrzała na zdjęcie prezydenta z Buczkiem.

– Czyżbyśmy mogli kogoś zaszantażować?

– Chcesz przesłuchać prezydenta?

Kiwnęła głową.

– To nie będzie łatwe, a zważywszy na okoliczności, może okazać się niemożliwe czy wręcz samobójcze.

– Spróbować nie zaszkodzi. Choć rzeczywiście, nie wydaje mi się, żeby prezydent był dla nas dostępny.

Okazało się, że w czasie kampanii wyborczej prezydent jest całkiem dostępny. Zadzwoniliśmy z domu Buczka. Bez większych problemów przedarliśmy się przez recepcję pałacu namiestnikowskiego, skąd przełączono nas pomyłkowo do kancelarii rady ministrów, która przerzuciła nas do szpitala Świętej Zofii, ale zaraz potem bezpośrednio na sekretariat Pierwszego. Kobieta o miłym głosie przedstawiła się i zapytała, w czym może pomóc. Powiedziałem, że jestem policjantem, nazywam się Merkel i chciałbym umówić się z panem prezydentem. -Oco chodzi?

- To sprawa osobista.

- Rozumiem.

Po chwili w słuchawce usłyszałem silny, władczy głos, który mógł należeć do głowy państwa. Trochę zbiło mnie z tropu, że tak łatwo poszło i zacząłem się płatać. Chcąc zrzucić z siebie te pęta, wypaliłem wprost, że muszę z nim się spotkać w niecierpiącej zwłoki sprawie, że chodzi o zabójstwa, przekręty i bezpieczeństwo energetyczne kraju.

- Proszę przyjechać o czwartej piętnaście – prezydent pożegnał się i odłożył słuchawkę.

Ja wpatrywałem się w swoją jeszcze dobre parę minut.

- Każdy może tak zadzwonić i pogadać z prezydentem? – zapytałem Magdy.

- Jak widać jest blisko obywateli. Jadąc do prezydenta naszym S80, zaczęły ogarniać mnie wątpliwości. A jeśli to pułapka? Jeśli właśnie dajemy się zwabić zorganizowanej grupie przestępczej, na której czele stoi sam prezydent? Jeśli o czwartej piętnaście zamiast na spotkanie z nim wpadniemy na pożegnalną stypę, której będziemy głównymi bohaterami? Atrakcją wieczoru czy raczej popołudnia? A jeśli – co gorsza – przed uśmierceniem, zechcą nas poturbować, a być może i potortuować.

Podzieliłem się z Magdą obawami, ale zamiast mnie

uspokoić, powiedziała, że ryzyko takiego scenariusza – ujmując to analitycznie – jest dość wysokie.

– Ale nie mamy wyjścia.

– Może więc powinniśmy się jakoś zabezpieczyć.

– Niby jak?

Zerknąłem do tyłu, gdzie za kanapą tylną w bagażniku drzemały materiały w teczkach.

– Moglibyśmy zabezpieczyć to u jakiegoś notariusza

– zasugerowałem – No wiesz, z zapisem, że jak coś się nam stanie, to trzeba to oddać...

– Komu?

– No właśnie.

– Za dużo oglądasz filmów. Po pierwsze, nie mamy komu tego przekazać, nawet jeśli notariusz byłby uczciwy. A nie znam takiego. Na taką klauzulę, jak tylko opuścilibyśmy jego biuro, przejrzałyby materiały i zaczął szukać po rynku kogoś, kto by je kupił. Poza tym, jak coś nam się stanie, to co cię obchodzi, czy ten materiał ujrzy światło dzienne czy nie.

– Zapomnijmy o tym.

Udało mi się trochę pomilczeć, lecz zaraz postanowiłem skonsultować z Magdą jeszcze jedną wątpliwość.

– Myślisz, że prezydent ma sobowtóra? Takiego na usługach, żeby go reprezentował podczas takich spotkań.

– Obawiasz się, że spotkamy się z sobowtorem?

– Może na to liczę.

Chcieliśmy zaparkować S80 gdzieś koło pałacu, ale kiedy strażnik zobaczył taką furę jeszcze z rejestracją firmy Benz, bez słowa otworzył nam szlaban. Podjechaliśmy pod bramkę i nawet nikt nas nie sprawdził. Mając w pamięci sytuacje związane z Bolsem, pomyślałem o tym, z jaką łatwością moglibyśmy podprowadzić wypakowany materiałami wybuchowymi pojazd pod same drzwi głowy naszego młodego państwa.

Kiedy przekroczyliśmy progi pałacu była 4. 00 po południu. Kwadrans później, a więc punktualnie, prezydent Rzeczypospolitej Polskiej osobiście otworzył nam drzwi. Ścisnął nasze dłonie z wyczuciem wytrawnego dyplomaty. Poczęstował

nas cukierkowym uśmiechem. Szepnął mi przyjacielsko jakieś niegroźne świństwo na ucho na temat Magdy.

Aż w końcu, gdy już weszliśmy do jego gabinetu, zatrzasnął dźwiękoszczelne drzwi i wtedy – jakby od niechcienia, a jednak z wystudiowaną wprawą – chwycił mnie z całej siły (a miał jej całkiem sporo, choć nie wyglądał) za szyję, a jego twarz przybrała wyraz mafioza dokonującego słodkiej wendetty.

Zrozumiałem, że nie mamy do czynienia z sobowtórem.



– Spokojnie, panie prezydencie. Kątem oka dojrzałem jakiegoś mężczyznę, który wydał mi się dziwnie znajomy mimo mgiełki zachodzącej na mój wzrok.

– Spokojnie – powtórzył człowiek, który wyglądał na wybawcę. – Oni nie należą do tej grupy. Próbują wyjaśnić sprawę. Można nawet powiedzieć, że tymczasowo są naszymi sprzymierzeńcami. Sugerowałbym więc, żeby ich udusić dopiero po przesłuchaniu, a najlepiej, jak cała sprawa już się zakończy.

Prezydent nieco zwolnił uścisk i wtedy rozpoznałem generała Stolarczyka, mimo że został ucharakteryzowany na Romana Polańskiego. Z twarzą można zrobić wszystko, ale jakim cudem charakteryzatorom udało się zmniejszyć go o jakieś dwadzieścia centymetrów?

– Przepraszam za wygląd – powiedział, zbliżając się do nas. – Ale zaraz wyruszam na festiwal do Wenecji, gdzie to przebranie nie wzbudzi niczyjego podejrzenia, a nawet większego zainteresowania. Notowania Romka spadają, choć ostatnio wygrał proces o zniesławienie z „Vanity Fair”. A może właśnie dlatego.

– Polański zawsze podróżuje z bardzo charakterystycznym ochroniarzem – wtrąciłem nieśmiało.

– To też zaleta tej postaci – wskazał na prawo, gdzie z głębokiego fotela uniósł się gość bliźniaczo podobny do ochroniarza Polańskiego.

Prezydent wciąż ścisnął moją szyję, którą z tego powodu coraz bardziej lubiłem.

– Panie prezydencie – upomniał Stolarczyk Pierwszego. Z ociąganiem postawił mnie z powrotem na ziemi. Wtedy zobaczyłem, że Magdę przytrzymuje za ramiona inny typ wyglądający jak świętej pamięci Jaś Himilsbach. Jak na zawołanie też ją puścił.

– Porozmawiajmy spokojnie – Stolarczyk podprowadził nas

do stołu o okrągłym kształcie. Ja z Magdą usiedliśmy po lewej stronie prezydenta, on, ochroniarz i Jaś po drugiej.

Ponieważ nie wiadomo, kto miał zacząć, przez chwilę panowało krępujące milczenie. W końcu Magda chrząknęła, a prezydent znacząco spojrzał na Stolarczyka, to spojrzenie zdawało się mówić: zaproponowałeś, to zacznij!

– Cóż – powiedział Stolarczyk. – Pan Stawiński i pani Tokarska zjawili się tutaj, podejrzewając zapewne, i od razu zaznaczymy: całkowicie bezpodstawnie, że osoba pana prezydenta może być wmieszana w sprawę tak zwanej afery drzewnej.

Spojrzał na mnie i na Magdę, na co delikatnie skinęliśmy głowami, a co miało oznaczać: racja, nie myli się pan, panie generale, choć z tymi uprawnieniami, to zobaczmy.

– Na ten trop naprowadziła pana Michała i panią Magdę osoba niejakiego pana Buczka, którego podejrzanie bogato wyglądająca posesja pod Warszawą wypełniona była, lub też być mogła, gadżetami świadczącymi jakoby o tym, że pan prezydent utrzymywał bliskie kontakty z owym panem Buczkiem.

Prezydent nerwowo zastukał palcami po blacie. Od najmniejszego do największego. W szalonym tempie. Zawsze chciałem tak umieć. Choć nigdy nie chciałem zostać prezydentem.

– Czy do tego momentu się zgadzamy? – zapytał Stolarczyk.

– Mniej więcej – mruknąłem.

Prezydent przeciągnął się jednym szarpnięciem, najzupełniej przypadkowo strzelając mnie w pysk.

– Panie prezydencie – upomniał nie po raz pierwszy generał.

– Ale oni wszyscy chcą mnie wpędzić w jakąś aferę. Najpierw jacyś ruscy agenci, potem chryja z papieżem, a ostatnio gangsterskie metody i przekupni dziennikarze z tą cholerną fundacją mojej żony. Zachciało jej się, kurwa, dobroczynności.

Zamierzył się prawym sierpowym, po którym jak nic znalazłbym się pod stołem albo na stole, w zależności, czy biłby z góry na dół czy w kierunku przeciwnym. Stolarczyk podniósł dłoń uspokajająco.

– Prezydent jest zdenerwowany. Nie znosi jak szarga się imię jego żony. Kocha swoją żonę.

– Całkowicie zrozumiałe. Ja też ją kocham. Na szczęście Magda chrząknęła, dzięki czemu prezydent nie zdzielił mnie w głowę, choć może fakt chrząknięcia nie miał tu nic do rzeczy.

– Wróćmy do głównego wątku – wtrąciła moja partnerka.

Prezydent skinął niechętnie głową. Stolarczyk kontynuował:

– Tak więc wpadły wam w ręce dokumenty, które mogłyby świadczyć o udziale w aferze drzewnej głowy państwa.

– Tak – przytaknąłem.

– Chcemy je otrzymać. -Ato dlaczego?

– Do analiz. W trosce o bezpieczeństwo narodowe.

– Rozumiem. Oczywiście natychmiast je prześlemy – powiedziałem, ignorując ostre spojrzenie Magdy. – W trosce o bezpieczeństwo narodowe nie mamy sobie równych. Jak tylko dotrzemy do prawnika w Gdańsku, gdzie je zostawiliśmy, prześlemy kurierem całą dokumentację.

Magda westchnęła uspokojona. Stolarczyk roześmiał się.

– Proszę nie sprawiać sobie kłopotu. Pozwoliliśmy sobie zabrać je już z waszego auta.

– Rozumiem – jęknąłem. Stolarczyk klasnął w dłonie.

– A więc wszystko jasne. Proszę zostawić dla własnej wiadomości treść naszych rozmów oraz moją nową tożsamość. Aha, żeby wszystko było jasne, powtórzę: prezydent z aferą drzewną nie ma nic wspólnego. Naprawdę. Próbuje się go wrobić.

– No tak, to możemy sobie pójść – powiedziałem, na co Magda zareagowała niezrozumiałym dla mnie początkowo wybuchem:

– Jak to możemy iść?

– Możemy. – I to wszystko?

– Jak to wszystko?

Stolarczyk chrząknął, jakby chciał powiedzieć, żebyśmy wyjaśnili to sobie na zewnątrz i nie zabierali dłużej czasu prezydentowi, który miał przecież na głowie strasznie dużo bajzlu związanego z wydarzeniami w Moskwie i Nairobi.

Magda jednak nie przejęła się. – A co z twoją klientką? Tak

po prostu wyjdiesz, bo powiedzieli ci, że nie mają z tym nic wspólnego. Zapomniałeś, że głównym naszym celem jest ochrona życia Danuty Piekus?

Cóż, trzeba było coś powiedzieć.

– No właśnie. Danuta Piekus. Naszej klientce grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, w związku z czym jesteśmy zmuszeni ją chronić.

– Jestem pewien, że wam się uda – Stolarczyk już wypychał nas za drzwi.

– Ale – zacząłem – nie możecie nam chociaż powiedzieć, skąd związek pana prezydenta z panem Buczkiem.

– Tajemnica – odparł spokojnie Stolarczyk, ale prezydent nie był taki spokojny.

– Wyjść!

– Ale.

– Won. Wynocha – ryknął porywczo Pierwszy.

Postanowiłem, że nie będę na niego głosował, zupełnie zapominając o tym, że on nie ma prawa kandydować, ponieważ przesiedział w pałacu już dwie kadencje, a nasza szanowna konstytucja jest w tej kwestii precyzyjna i jasna: dwa razy i fora ze dwora.

Nie tylko zabrali nam wszystkie dokumenty znalezione u Buczka, ale też zarekwirowali volvo. Strażnik przy bramie wyjaśnił, że już ktoś z kancelarii pojechał je przemaalować i zarejestrować na nowego właściciela.

Powinniśmy jednak być szczęśliwi, że nie oddano nas w ręce policji, gdzie Magda może nie miałaby tak przechlapane, jednak ja na pewno. – I co teraz? – zapytałem.

– Nic, pojedziemy autobusem.

– Kiepsko idzie mi jazda komunikacją miejską – rzuciłem, mając w pamięci wiele przygód z kanarami.

Jednak okazało się to wcale nietrudne. Wystarczyło poczekać na przystanku na spóźniony o godzinę autobus i wgramolić się do środka, przepychając łokciami z wnerwionym tabunem wracających do domu warszawian. Udało nam się zająć miejsce w środku i wcale nie przejęliśmy się losem młodego człowieka, który został pochwycony w połowie drogi przez zamykające się bezlitośnie drzwi, a potem ciągnięty za nogę po ulicy do następnej przecznicy.

Nie mieliśmy pojęcia, gdzie powinniśmy się udać, postanowiliśmy więc trochę pozwiedzać. Magda wyszła z założenia, że jeśli ktoś nas rozpozna, a na dodatek zechce ten fakt zgłosić na policję, dobrze będzie pokazać się w kilku miejscach, żeby zdeorientować organa ścigania. Rzecz jasna, nie było w tym żadnej logiki, ale po co od razu się klócić.

Warszawa o tej porze dnia nie była ani piękna, ani wystarczająco brzydka, by ją zwiedzać, jednak ostatecznie podróż minęła nam całkiem miło, bez przykrości i przygód, które moglibyśmy wspominać z dreszczykiem uwielbienia czy obrzydzenia.

W końcu, w porze dobranocki, zawitaliśmy z powrotem do centrum. Autobus wysadził nas na ulicy Marszałkowskiej, skąd udaliśmy się w kierunku pasaży handlowych. Przed studenckim klubem Hybrydy ustawiono afisz o darmowej

degustacji piwa. Trzydziestu żuli w łachmanach próbowało zgłosić swój akces, co utrudniało im skutecznie dziesięciu opasłych ochroniarzy.

– Masz ochotę na piwo? – zapytałem Magdy, która próbowała odciągnąć mnie na bezpieczną odległość.

Na szczęście byłem silniejszy, dzięki czemu oboje wpadliśmy w sam raz na pokaz pewnego młodzieńca, który pochłaniał piwo za piwem. Jakiś gość obok powiedział, że główny bohater pije trzydzieste trzecie. Bez sikania. Wychylił jeszcze trzy, a potem przy akompaniamencie burzy okłasków wstał ciężko i chciał udać się w stronę toalety, ale mu się to nie udało, gdyż droga była zatarasowana gapiami. Nieszczęśnik popuścił, co przyczyniło się zapewne do dalszych reakcji alergicznych, zakończonych potężną falą torsji.

– Było sacrum, jest profanum – mruknął osobnik koło nas, krzywiąc się z obrzydzenia.

Magda pociągnęła mnie w kierunku drzwi, w samą porę bym wpadł niemal w objęcia niewysokiej i niepozornej postaci Profesora.

– Musimy porozmawiać – syknął w moje ucho. I oddalił się w wiadomym kierunku.

– Muszę do toalety – zakomunikowałem Magdzie, która niczego nie dostrzegła, i zostawiłem ją przy barze.

Zamknęliśmy się w kabinie dla niepełnosprawnych. Profesor przycisnął palec do ust i napisał na karteczce:

„Jest wielce prawdopodobne, że jesteśmy podsłuchiwani”

Podał mi długopis. „Co proponujesz?” – zapisałem. „Rozmawiajmy na ucho. Po rosyjsku” – odpisał.

– W pariać – odpowiedziałem, szepcząc mu po rosyjsku w ucho. Prawdopodobnie liczył na to, że nasz kaleki rosyjski, nawet jeśli zostanie podsłuchany, będzie trudny do rozszyfrowania.

– Oco chodzi?

– Ta sprawa przestaje mi się podobać – syknął profesor.

– Rozumiem – skinąłem głową – służby specjalne, mafia, a na deser sam prezydent. Ja też bym wolał trzymać się od tego z daleka.

– Nie o to chodzi. -Aoco?

– Przestaję cokolwiek rozumieć. Nie mam nic przeciwko udziałowi służb, mafii czy samego prezydenta w jakiegokolwiek aferze, ale pod warunkiem, że wszystko to układa się w jakąś logiczną całość. A tu nic nie pasuje. Wszystko jest jakimś beznadziejnym zlepkiem klocków z różnych pudełek. Nie lubię takich sytuacji.

– Co mam zrobić? Ja też nie wiem, o co tu chodzi. Może, jak w dobrym kryminale, wszystko wyjaśni się na końcu.

– Dobre kryminały dobre są do poduszki. Żeby skutecznie wykonywać swój zawód czy też zawód zupełnie przeciwny, muszę mieć pełne dane do oceny sytuacji. Kiedy nic nie rozumiem, przestaję logicznie myśleć. Mogę tylko strzelać na lewo i prawo, licząc na to, że przy okazji dobrze trafię, co nie jest oczywiście wykluczone, ale poleganie na przypadku nie leży w mojej naturze.

– Chcesz powiedzieć, że rezygnujesz?

– Nie. Nie chodzi o to. Chcę tylko dać ci porządnego kopniaka w tyłek, żebyś zaczął robić to, za co ci płacą.

– Jakoś ostatnio zapomnieli o płatnościach. Westchnął ciężko.

– Jak przystało na porządnego detektywa, musisz zacząć rozwiązywać zagadkę.

– Niby jak mam to zrobić?

– Nie wiem. Postaw hipotezy i spróbuj je potwierdzić czy też wykluczać, zaczynając od tych najbardziej nieprawdopodobnych. Jak znam życie, wyjaśnienie będzie oczywiście banalnie proste, ale droga doń prowadząca musi biec przez najgorsze wertepy.

– Łatwo ci powiedzieć.

– Bierz się do roboty.

Zapytałem go jeszcze, co z Małym, informując mimochodem, że być może znalazłem milion dolarów, żeby zapłacić za usługę pozbycia się go. Odparł, że Mały wciąż jest zajęty przetargiem, a na dodatek zaczął przygotowania do maratonu niepodległości, w którym ma zamiar wygrać z byłym ministrem finansów, którego start finansuje ekonomiczne Bractwo

Tygrysków oraz jakaś kanadyjska uczelnia.

– Małym nie musimy się na razie przejmować. Poza tym z całym szacunkiem, ale nie masz miliona dolarów.

– Cóż... – zacząłem, lecz przerwał mi gestem dłoni, dając po raz kolejny świadectwo, że jest świetnie poinformowany.

– Nawet jeśli oddadzą ci forszę z komendy, to będziesz musiał zapłacić podatek od znaleźnego w wysokości 40 procent, a to oznacza, że masz zaledwie sześćset tysięcy dolarów. Od tego trzeba odjąć sto tysięcy za załatwienie gangstera w posiadłości Mrówy.

– Aż sto tysięcy?

– Musiałem użyć wyjątkowo drogiego sprzętu. Nic na to nie poradzę, ale zastrzelenie kogoś przez mur, na dodatek solidny, kosztuje.

– Nie musiałeś strzelać.

– To mam cię chronić czy nie? Zostawił mnie z tym pytaniem. Machnął tylko na pożegnanie rękę i wszedł do jednej z kabin. Stałem przez chwilę, patrząc za nim. Profesor spuścił wodę, ale nie wychodził. Delikatnie uchyliłem drzwi, jednak już go tam nie było. Nie miałem pojęcia jak mu się to udało: zniknął, mimo że w kabinie nie było żadnego ukrytego przejścia. Jedynym logicznym wytłumaczeniem była droga przez muszlę klozetową.



Jak tylko wyszliśmy z Hybryd, uzmysłowiłem sobie, że chyba powinienem zadzwonić do Weroniki. W końcu należała jej się choćby namiastka wyjaśnienia, dlaczego świadomie czy też nieświadomie rujnuję świetnie rokującą karierę polityczną jej ukochanego ojca. Poza tym należało zatelefonować do Ivo i Piekus.

– Potrzebujemy telefonu – zasugerowałem Magdzie. Nie zwróciła uwagi na moje słowa. Jakby mnie nie usłyszała. Jednak minutę później przystanąła i skinęła głową w kierunku jakiegoś wysokiego gościa, który pod kinem Atlantic gadał przez telefon komórkowy. Spojrzałem na Magdę nie bardzo wiedząc, o co jej chodzi.

– On ma telefon – wyjaśniła.

I co z tego – chciałem jej powiedzieć, ale wtedy przypomniałem sobie, w jaki sposób niedawno poznany przeze mnie gangster załatwiał trudne rozmowy telefoniczne.

– Sposób na Mrówę?

– No.

Łatwo było jej mówić. Gość miał dwa metry i nie wyglądał na takiego, który chciałby nam oddać telefon z grzeczności, a w takim wypadku nasze szanse na osiągnięcie sukcesu w postaci odebrania mu aparatu po walce, spadały o jakieś pięćdziesiąt procent (z zera, na minus pięćdziesiąt).

– Zawsze można zapytać – mruknąłem. Podeszliśmy do faceta, który, przestępując z nogi na nogę, wrzeszczał do aparatu:

„Nic mnie to nie obchodzi, chuju. Jak chcesz swoją furę, to bierz kasę, bo inaczej dostaniesz ją jako popiół w pudełku po marlboro”. Pech to pech.

– To złodziej samochodów – syknąłem do Magdy, chcąc się wycofać, ale natrafiłem na nieznoszące sprzeciwu spojrzenie. Zresztą na wycofanie było już za późno, bo dwumetrowiec zakończył pogawędkę ze swoim kontrahentem i patrzył na nas

z lekkim zdziwieniem.

– Czego?

– Czy nie miałby pan. – zacząłem, ale Magda przerwała mi, wyrrywając równocześnie broń z kabury.

– Dawaj, kurwa, komórkę! – wrzasnęła. Dwumetrowiec zamarł oniemiały. Zdaje się, że nie pierwszy raz widział wycelowaną w siebie broń, ale na pewno po raz pierwszy trzymała ją drobna, mierząca metr pięćdziesiąt kobiecina, na dodatek niezła laska. Magda, nie czekając, aż się otrząśnie z zaskoczenia, wystrzeliła mu tuż przy uchu, co oczyściło nam przedpole z przechodniów.

Kierujący radiowozem policji drogowej, który właśnie parkował opodal, nagle przypomniał sobie, że ma coś i to coś – sądząc po pisku opon – niecierpiącego zwłoki do załatwienia pięć kilometrów dalej, gdzieś w pobliżu placu Bankowego.

Dwumetrowiec skulił się lekko ogłuszony.

– Komórka, portfel, kluczyki od auta – warknęła Magda. – A jak będziesz dalej się ociągał, zostaniesz w samych majtkach.

– Dobra, dobra.

Dwumetrowiec rzucił zgodnie ze wskazaniem komórkę na ziemię, a potem wyjął portfel i kluczyki z breloczkiem jaguara. Magda dopytała, gdzie stoi auto, a potem kazała ofierze spierdalać w przeciwnym kierunku.

– Jak cię jeszcze raz dziś zobaczę, będę strzelać bez ostrzeżenia – syknęła, a potem rozkosznie słodkim barytonem zwróciła się do mnie. – Możesz teraz skorzystać z użyczonego nam z grzeczności aparatu, partnerze.

Weronika odebrała po trzecim sygnale. Zwykle witałem ją słowikowym ćwir-ćwirem z gatunku: cześć, różyczko, witaj radosne słoneczko czy też mrrrrr, aniołku migdałowy. Teraz jednak okoliczności były nader szczególne. Miałem oto wytłumaczyć się z całej lawiny zbiegów okoliczności. Żeby zabrzmiało to w miarę naturalnie, a co ważniejsze prawdopodobnie, powinienem wspiąć się na szczyty nieposkromionej wyobraźni i wyzutej z szczerości elokwencji. Zamiast więc zacząć, jak zwykle, ciężko westchnąłem, przez co, a może dzięki czemu, to Weronika odezwała się pierwsza:

– Franc, to ty? Franc? Co za Franc?  
– Franc? Mam nadzieję, że nie zgubiłeś palanta? Palanta? Zgubiłeś? Franc? Co, u licha miało to wszystko znaczyć? I skąd Weronice przyszło do głowy, że dzwoni jakiś Franc? Inaczej! Skąd właściwie była taka pewna, że dzwoni Franc?

Wtedy spojrziałem na telefon. Wybierałem numer z klawiatury, bo przecież dwumetrowiec nie mógł mieć w książce telefonicznej numeru mojej ukochanej. Tymczasem na ekraniku komórki wyraźnie teraz wyświetlał się nie numer połączenia, tak jak to być powinno, ale zakodowany pod nim opis: Pysio 1. Najwyraźniej numer mojej ukochanej tkwił jednak w jego książce, na dodatek pod dwuznacznie brzmiącym zdrobnieniem.

Pysio?

– Poczekaj Franc, mam kogoś na drugiej linii. Wtedy rozejrzałem się wokół i jakieś sto metrów dalej go zobaczyłem. Dwumetrowiec, któremu minutę wcześniej skosiliśmy komórkę, i który zapewne miał na imię Franc, patrzył mi prosto w oczy, ściskając inny telefon komórkowy i pośpiesznie szepcząc do mikrofonu. U jego stóp wił się znokautowany przed kilkoma sekundami małaś, zapewne właściciel telefonu tkwiącego teraz w dłoni dwumetrowca.

Mogłem sobie nawet wyobrazić, co Franc mówi do aparatu.

– Słuchaj uważnie i nie przerywaj Weronika. Właśnie napadł mnie twój facet, pardon, palant, i zabrał mi telefon. To zupełny przypadek, ale wybrał mnie sobie z tłumu, a teraz gdzieś dzwoni.

– Dzwoni do mnie – odparła pewnie Weronika.

– No tak, to zostaliśmy zdekonspirowani. Już wie.

– Nic nie wie. Poczekaj.

Weronika przerzuciła się na połączenie ze mną.

– Posłuchaj Kiciu...

Przerwałem jej. Po raz pierwszy, od kiedy się poznaliśmy, jej przerwałem.

– Oco w tym wszystkim chodzi?

– Zaraz ci wyjaśnię. Wszystko jest pod kontrolą. Jak media

zaczęły cię opluwać, tato pomyślał, że powinniśmy wynająć ochronę. Franc jest jednym z najlepszych ochroniarzy ojca i dba tylko o twoje bezpieczeństwo.

Tak, i dba o przyjemność Pysia 1. I nazywacie mnie palantem.

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Nie rozłączaj się.

Za późno. Rozłączyłem się i wskazałem Magdzie dwumetrowca.

– Zastrzel go – syknąłem błagalnie. Magda uniosła broń, ale dryblas padł w tej samej chwili na ziemię, znikając nam z oczu.

Magda niezbyt dobrze radziła sobie z prowadzeniem własnego fiata pandy, a co dopiero z jaguarem. Miała za krótkie nogi do takiego auta, więc żeby w ogóle panować nad kierownicą, przysunęła fotel tak, że dotykała skórzanego koła kierownicy piersiami. Samochód reagował na jej rozkazy z wyraźną niechęcią, której, szczerze mówiąc, niespecjalnie się dziwiłem.

– Opowiadałem ci anegdotę o jaguarze – zapytałem, chcąc ją pocieszyć.

– Nie – mruknęła, skupiając się na tym, żeby utrzymać pojazd na odpowiednim pasie ruchu i nie wjechać przy tym w tyłek ślimaczącej się przed nami toyocie.

– To dobry żart, więc trzymaj mocno kierownicę – upomniałem. – No więc pewien afrykański lew przechadzał się po sawannie i któregoś dnia wpadł do dołu. Zaczął wołać pomocy i pojawił się słoń, który zapytał, co lew tam robi. Lew wyjaśnił zgodnie z prawdą, że wpadł przez głupotę, a potem poprosił słonia o pomoc. Pomóż mi, a będę ci bardzo wdzięczny. Słoń zgodził się i starał się podać mu trąbę, jednak okazała się ona za krótka. Wtedy powiedział: słuchaj, widziałem opodał jaguara. On ma długi ogon. Poproszę go, żeby wspiął się na moją trąbę, podał ci ogon i w ten sposób spróbujemy cię wyciągnąć. Tak też zrobili. Następnego dnia słoń szedł przez sawannę i usłyszał ponownie wołanie o pomoc. Ten sam lew bezskutecznie próbował uwolnić się z tego samego dołu. Słoń, nie kryjąc zdumienia, zapytał: a ty, co tu robisz, przecież już wczoraj cię wyciągaliśmy? Głupi jestem – odparł lew – myślałem, że tym razem sam się wydostanę, skoro wczoraj mi się udało dzięki waszej pomocy, ale nie potrafię. Proszę, pomóż mi, a będę ci dozgonnie wdzięczny. Problem w tym – słoń podrapał się po głowie – że nigdzie nie widziałem jaguara. No tak – odparł smutno lew, ale słoń wpadł wtedy na pewien pomysł. Słuchaj – powiedział – nie widziałem nigdzie w

pobliżu jaguara, a moja trąba jest za krótka, ale mam za to długiego kutasa. Spuszczę go do dołu, a ty go chwycisz i wdrapiesz się na górę. Tak też zrobili. Lew chwycił kutasa słonia i wy dostał się na powierzchnię, i był do zgonnie wdzięczny.

– Uhm – mruknęła Magda.

– Jaki z tego wniosek?

– No? – Magda wzruszyła ramionami.

– Jak masz długiego kutasa, nie potrzebujesz jaguara. Magda wyprzedziła toyotę i jechała teraz za tirem.

Miała kropelkę potu na czole. Puenta jej nie rozśmieszyła.

– Dlaczego wciąż nie kupiłeś sobie jaguara? – zapytała jednak.

– Woląłem ukraść. Jak na załączonym obrazku. Wyjechaliśmy na Gdańską i Magda nieco przyspieszyła, ale i tak bała się przekroczyć sto dwadzieścia. Co chwila mijał nas jakiś zwyczajny samochód, którego kierowca ciekawie czy też z politowaniem oglądał się na nas. Na trasie zrobiło się nieco luźniej, więc Magda uznała, że może pogadać. Wybrała niewdzięczny temat.

– Co z Weroniką?

– To kurwa.

Popatrzyła nieco za długo, o mało nie pakując nas do rowu.

– Więc znowu.

– Znowu.

– No tak.

– No tak.

Tak sobie umilaliśmy drogę konwersacją.

Dwie godziny później westchnąłem z ulgą, gdy zjechaliśmy z Gdańskiej w kierunku wiejskiej posiadłości. Tak się rozluźniłem, że zamknąłem oczy. Nie dane mi było jednak zaznać odrobiny spokoju. Minęła ledwie chwila, gdy Magda zahamowała z piskiem tuż przed jakąś lekko oszołomioną postacią chudego, zarosniętego rolnika z grabiami w dłoni.

– A czemu to blokujecie drogę, ojcuzku? – zapytałem, wychylając się przez okno.

Zanim odpowiedział, przyjrzał się, czy aby mnie zna, czy też z

jakiegoś równie beznadziejnego powodu. Zadowolony z oględzin stwierdził: – A chuj cię to obchodzi.

Wyjaśniłem mu, że jeśli nie będziemy wiedzieć, o co chodzi, to nie będziemy mogli odnieść się do jego sprawy, a tym bardziej jej poprzeć. Żeby zabrzmiało bardziej zrozumiale użyłem w tym celu dialektu wiejskiego z wschodniopruskimi naleciałościami.

– Ślżak? – zapytał ojczulek.

– Kaszeb.

– Jeden pies – mruknął niezbyt przyjacielsko, ale jednocześnie machnął pojednawczo ręką. – Ja nie blokuje, ino przez jezdnię przechodzę. I nie moja wina, że ten wasz kierowca to pirat.

– Ato racja. Ale teraz, ojczulku, możecie nas puścić? -A mogę – odparł staruszek i zszedł z drogi. – Tylko uważajcie, bo kilka kilometrów dalej w domu jednego z tych choler z Warszawy zagnieździła się jakaś sekta.

– Sekta?

– Chuj wie co – wzruszył ramionami i wszedł w pole. Spojrzałem na Magdę.

– Sekta?

– Sekta – przytaknęła. – Ivo zaprosiła przyjaciół?

Pod czasowo zajęтым przez nas domem emerytowanego architekta, byłego partyjniaka i czynnego zbrojeńca zaparkowały dwa samochody terenowe, trzy czopery, tir i radiowóz policyjny marki Nysa. Akurat mieliśmy się załapać na grilla, przy którym rozsiadła się grupa jakiś trzydziestu wytatuowanych, niebudzących zaufania gości. Towarzyszyli im gliniarze o zakazanych gębach i ksiądz, który między nogami trzymał flaszkę maximusa. Łysy tłuścioch o łagodnych oczach przygrywał na gitarze. Ivo i Piekus robiły za panie domu i dzieliły kiełbaskami.

– Tylko nie rób żadnych awantur, a najlepiej w ogóle trzymaj się na uboczu – szepnęła mi na ucho Ivo, gdy już nie bez problemów zaparkowaliśmy koło nysy. – Mogłoby się to dla ciebie źle skończyć.

– Przecież to twoi przyjaciele – mruknąłem.

– Ale nie twoi.

Wyjaśniła, że od kiedy wyjechaliśmy z Magdą, moja osoba nie schodzi z telewizyjnej ramówki. Podkreścam oglądalność wszystkich stacji, ze szczególnym uwzględnieniem wieczornych wiadomości. A jej goście, którzy mają zapewnić nam wszystkim bezpieczeństwo, nie znoszą gwiazd telewizyjnych, szczególnie, jeśli są pseudogwiazdami lub oszustami, a mój profil psychologiczny na wizji pasował do grupy zarówno jednych, jak i drugich.

A przy okazji podkreślałem popularność Taty, a oni w większości chcą głosować na Kaczora lub Donalda.

– Najlepiej – dodała Piekus – jak pokazywali rankingi prezydenckie. Twój niedoszły teść stał się ostatnio prawdziwym bohaterem. Jak wyszła na jaw twoja sprawa, jego popularność, z granicy błędu statystycznego gwałtownie wzrosła do ponad 8 proc. , mimo że wszyscy trąbili, że ta historia z pewnością przyczyni się do spadku popularności tego kandydata.

– Sondáže to dziwna rzecz. A może ludzie lubią robić



dokładnie odwrotnie jak mówi telewizja. Jak telewizja im mówi: powinno spadać, to wszyscy robią odwrotnie i rośnie. W każdym razie z dnia na dzień popularność Ojczulka, jak go tu pieszczotliwie nazywamy, rośnie. Dzień po ujawnieniu twojej roli w wypadkach pod ministerstwem gospodarki było to już 10 proc. Potem Ojczulek wystąpił ze specjalnym orędziem, w którym stwierdził, że jesteś, uwaga, lepiej usiądź, żeby cię nie ścięło z nóg, dumą jego rodziny, osobą, którą zawsze darzył wielkim zaufaniem i jeśli to wszystko, co mówią media okaże się prawdą, to bardzo się na tobie zawiedzie, ale jako prezydent dołoży wszelkich starań, żeby cię przykładnie ukarać. Jest gotów nawet wystąpić z petycją do parlamentu o przywrócenie kary śmierci.

– I co, poparcie skoczyło?

– Jak cholera. A potem pokazali film o Ojczulku, jaki to jest prawy i rodzinny, jak bardzo dba o wszystkich. Gdy znów wystąpił, powiedział: „czarne owce wszędzie się zdarzają, w każdej rodzinie. Ale czy to znaczy, że należy się od nich odwracać, czy należy powiedzieć: nie, nie mam z tym kimś nic wspólnego? Ja nie mówię nie. Michał Stawiński jest moim, choć może jeszcze nieformalnym, zięciem. Nie wypieram się jego osoby, którą, w ciągu lat znajomości, szczerze polubiłem i obdarzyłem szacunkiem. Znam go jako człowieka prawego i wielkodusznego. Ale podkreślam, jeśli jest winny, poniesie zasłużoną karę”. Następnie Ojczulka złapano w kimono w jakimś japońskim klubie i znowu zapytano o ciebie. A on, trzaskając na lewo i prawo mieczem kendo, mówił: „Michał jest

Asurito, jest prawdziwym współczesnym siłaczem, atletą. Atletą cnoty. Nawet jeśli jest przy tym Sagishi, nieprawym aferzystą, to wciąż jego cnota wybija się ponad te nieprawości. Mój zięć jest Asurito Sagishi, atletycznym cnotliwym aferzystą”. Ciach, miecz trafia w kamerę.

– Co to za pierdolenie?

– Zostałeś Asurito Sagishi, cnotliwym aferzystą. Na twoich plecach ktoś chce wykonać samurajski skok życia – powiedziała Magda.

Ivo wzruszyła ramionami.

– Uważaj. Po tych oświadczeniach poparcie skoczyło do 12 proc. Przerazone media, podobnie jak przy sprawie Tymińskiego, próbowały wziąć sprawę w swoje ręce, i zaczęły nawoływać do bojkotu Ojczulka, ale jak zwykle zrobiły to wyjątkowo nieudolnie. Poparcie wzrosło do 15 proc. No i wtedy wybuchła prawdziwa bomba. Puszczono film, który musisz obejrzeć.

Przeszliśmy do sali kinowej. Film miał tytuł: „Przyjaciel Żubra, opowieść o niedoszłym zięciu prezydenta RP”.

– To o mnie?

– Oglądaj.

„Michał Stawiński, pijak i nieudacznik, ofiara czy bestia? Media próbują go przedstawić jako potwora, ale co jest prawdą?”

Tu nastąpiła seria zdjęć przykładowych. Rumuńskie dziecko i jego nadzwyczaj nieszczerze wzruszona matka. Córka sąsiada mówiąca: dał mi tysiąc złotych. Sąsiad, który nagle doszedł do wniosku, że telewizja jest świetnym medium pojednawczym. Kilku klientów rozplywających się nad moimi zaletami. Na koniec Ojczulek i jego Asurito Sagishi.

– I co ty na to?

– Jestem bohaterem?

– Poparcie, uwaga, wzrosło do 25 proc. Z dnia na dzień doktorowi R. przybywa zwolenników. Jeszcze tydzień i Ojczulek będzie liderem.

– Trzeba coś z tym zrobić, mam powody przypuszczać, że jestem centralną postacią jakiejś perfidnej mistyfikacji.

Następnie opowiedzieliśmy im wszystko, co się wydarzyło.

– Więc co – rzuciła Ivo, gdy skończyłem streszczać najważniejsze wydarzenia ostatnich godzin. – Wychodzi na to, że to wszystko sprawka Ojczulka?

– Musisz wiedzieć jeszcze o czymś – szepnęła Ivo i z ociąganiem poprowadziła nas do piwnic.

Piwnice były przestronne i urządzone w stylu średniowiecznych lochów, z tą różnicą, że wcale nie było w nich zimno i wilgotno. Centralne ogrzewanie i odpowiedni system wentylacyjny zapewniały świeżość i wygodę porównywalną z pomieszczeniami na górze. Zaraz przy schodach było pomieszczenie ze stołem bilardowym i dwoma barowymi stolikami, pod ścianą bar z półkami (niestety pustymi), na których powinien stać alkohol. Przy barku przejście do kolejnego pomieszczenia. To wyglądało już jak prawdziwy loch. Na środku pokoju stał stół z całym asortymentem narzędzi tortur, madejowe łoże, dyby, a w ścianach zainstalowano ciężkie łańcuchy i ramiona kajdan.

Właśnie w nie zakuto niewysokiego (jakieś metr sześćdziesiąt), grubego i brzydkiego jak noc gnoma o wielkich uszach i jajowatej, łysej głowie. Pokraczna istota była pozbawiona odzienia, a ten podkreślał jeszcze jej nietuzinkową brzydotę. Ktoś, kto potraktował ją w ten sposób, musiał być pozbawionym serca okrutnikiem.

– To twoja sprawka, Ivo? Moja partnerka wzruszyła ramionami. Gnom podniósł jadowne spojrzenie i wtedy go rozpoznałem. Trudno było go nie rozpoznać. Tę gębę widywałem od dziecka, czasy się zmieniały, a on i tak pozostawał na tapecie.

– Czy to... – zacząłem, ale Ivo przerwała mi potakującym skinieniem.

– Przykuwanie go do ściany nie było najlepszym pomysłem. Teraz musimy się go pozbyć, co oznacza pozbawienie życia, poćwiartowanie członków i zakopanie każdej części ciała oddzielnie w rozsądnej odległości od siebie, żeby przypadkiem się nie odszukały i nie zrosły. Czemu to zrobiłaś?

– Nie będzie tak źle.

– Przykułaś do ściany byłego ministra propagandy i agenta służb specjalnych, który wciąż ma w nich odpowiednie koneksje, na dodatek nago, profanując jego i tak sprofanowane ciało, i mówisz, że nie będzie tak źle?

– Sam chciałem.

Jajogłowy gnom chrząknął.

– Panie Stawiński, mister Asurito – syknął. – Proszę się nie obawiać, pani Ivo mówi prawdę.

– ?

– Nie ma co ukrywać: od kilku lat przyjeżdżam do tego domu, żeby trochę sobie popożyczyć. I proszę mi wierzyć, w dzisiejszych niespokojnych i pełnych zdarzeń czasach, nie ma to jak dla rozrywki postać sobie przykutym do ściany na golasa, szczególnie, jeśli nie ma szans na jakieś miłe towarzystwo dwunastoletniej dziewczyny z wąsami.

– Świnia – syknęła Ivo.

– Nie wątpię.

Magda o mało co nie puściła pawia.

– Ale teraz – kontynuował gnom – możecie już mnie państwo rozwiązać.

Nikt z nas, co chyba zrozumiałe, się nie ruszył.

– Sam nie wiem – zacząłem ostrożnie. – Zaczynam dostrzegać pozytywy całej sytuacji. Skoro już jest pan związany, to może sprawimy panu jeszcze odrobinę przyjemności za pomocą tych oto (zerknąłem na stół pełen katowskich akcesoriów) narzędzi tortur.

– Ale co państwo chcą uzyskać?

– A może coś o historii na temat Trzeciej Rzeczypospolitej dla potomnych.

– Trzecia Rzeczpospolita ponoć odchodzi w dal, po co to komu?

– Dla prawdy historycznej?

– Prawda? – smutno pokiwał głową gnom, jakby chciał dać nam do zrozumienia, że o czym jak o czym, ale o prawdzie to on nie ma za wiele pojęcia. – Może w zamian wyjaśnię państwu co nieco na temat afery drzewnej, w którą żeście wdepnęli.

Popatrzyliśmy zdumieni po sobie.

Zdaje się, że wszyscy wokół – a przynajmniej wszyscy powiązani ze służbami – wiedzieli całkiem sporo o naszych problemach, o których my sami mieliśmy wciąż znikome pojęcie. Ale tak to już jest. Najbardziej zainteresowani dowiadują się na końcu.

– Co pan o niej wie?

– Jednak proszę mnie rozwiązać.

Rozsiedliśmy się w salonie. Gnom zajął i wychylił trzy szklaneczki burbona, którego szczęśliwie znalazłem w barku. Już zacząłem się obawiać, że zamiast wyjawić nam TAJEMNICĘ, skrzętnie wykorzysta naszą naiwność do samoznieczulenia na jakiegokolwiek argumenty, w którym to celu burbon, co wiedziałem z własnego doświadczenia, nadawał się doskonale. Ale gdy tylko otworzyłem usta z zamiarem zaprotestowania, podniósł dłoń w pojednawczo mentorskim geście i sam zaczął:

– Co myślicie o naszym Pierwszym? Spojrzeliśmy po sobie.

– Jak to?

– No. co myślicie? Co wam się rzuca na język jako pierwsze.

Ivo wzruszyła ramionami, a ja pomyślałem, że nigdy nie zastanawialiśmy się nad prezydentem.

– Niektórzy mówią: grubas. Inni: przystojny. Jeszcze inni: elokwentny. Zabawny. Jednym słowem: przywoity, sympatyczny człowiek, jeden z nas, a jednocześnie człowiek sukcesu. Taki, jakim każdy chciałby być. Za takiego go mają. Taki jak panasurito, choć może bardziej sagishi. Prawdziwy no menba, kutas pierwszej wody. Co nie?

– No.

– Nikt już nie pamięta, że to twardy partyjny beton z młodego pokolenia. Nikt nie mówi: czerwony diabeł, antychryst. Nie, teraz na tapecie jest: 90 proc. poparcia społeczeństwa, światowiec, znający języki, potrafiący się zachować w każdej sytuacji.

Chciałem zaprotestować, mając w pamięci jego niedawne zachowanie, ale Gnom wyprostował:

– Nie chodzi mi o prawdę, ale o postrzeganie. Rozumiecie: ciemny lud to chwyci. Jak myślicie, kto wygrałby wybory, gdyby obecny prezydent mógł w nich wystartować?

– On? – mruknęliśmy jednocześnie.

– Nie On, tylko ON. Bez dwóch zdań. Żaden rywal nie miałby

najmniejszych szans. Gdyby tylko mógł wystartować nasz sagishi, pozostawiłby wszystkich przeciwników daleko w tyle.

– Ale nie może.

– Właśnie – przyznał gnom. – Nie może. Nie znaczy to jednak, że owe wspomniane już 90 proc. poparcia automatycznie przechodzi na innych. Nie, ono zostaje, a to z kolei sprawia, że pozostali kandydaci, niedorastający do pięt obecnemu prezydentowi muszą na śmierć i życie walczyć o skrawek tych dziesięciu procent, które im pozostawił łaskawca. 10 procent – dwudziestu chętnych, kawałek tortu wart wielokrotnie więcej tuż obok, ale nie do ruszenia.

– Więc niby ktoś pomyślał, że można go ruszyć?

– Właśnie. Przecież to nic prostszego. Po co napierdalać się na najgorsze chwytły o byle jakie 10 proc. , gdy obok leży rozkraczona i chętna łatwizna. Może i nie najładniejsza, żadna tam miss, może nawet koszmarna i szpetna. Ale za to ochocza i otwarta na nowe propozycje. Tylko skoczyć i wydymać.

Gnom z zadowoleniem profesora filozofii, który właśnie rzucił w tłum słuchaczy pytanie i zawiesił je w próżni, uczynił pauzę i wychylił kolejną szklaneczkę, czym zyskał sobie moją sympatię, a nawet podziw. Ivo pierwsza wpadła na oczywistą odpowiedź.

– Chce pan powiedzieć, że jeden z kandydatów próbuje skompromitować byłego prezydenta, żeby przenieść na siebie jego głosy?

Gnom milczał.

– To nie ma sensu – warknęła Magda.

– To ma wiele sensu, wystarczy spojrzeć na sondaże. Ujawniając aferę, w którą zamieszana jest najpopularniejsza w tym kraju osoba, osoba ciesząca się powszechnym zaufaniem, doprowadzamy do klasycznej polskiej sytuacji bez wyjścia. Z jednej strony narażamy się opinii publicznej, godząc w autorytet, z drugiej jednak po cichu podkradając poparcie i szacunek dla niego.

– A co z firmami drzewnymi i całą ustawą? Naprawią ją i dadzą im spokój?

Gnom cmoknął z niesmakiem.

– Obawiam się, że to nie takie proste. Nie jestem

jasnowidzem, ale mam niejasne przeczucie, że raz pobranego podatku, nawet jeśli niesłusznie, już się nie oddaje.

Spojrzeliśmy z dziewczętami po sobie.

– Więc co, trzeba odwiedzić Ojczulka?



Domu Ojczulka strzegła agencja ochrony Garda, którą w telewizji reklamował były mistrz świata w boksie zawodowym. Garda była Ivo dobrze znana, dzięki czemu na wejściu obyło się bez zbędnego rozlewu krwi. Kiedy tylko wyjaśniliśmy ochroniarzom, jaki jest cel naszej wizyty i dlaczego jesteśmy zmuszeni do użycia tak drastycznych środków, jak nocne najście domu kandydata na prezydenta, przyznali nam rację.

Opisali nam precyzyjnie cały system ochrony posesji, wszelkie zabezpieczenia i pułapki.

– Musicie jednak uważać na osobistą ochronę. Dwóch ludzi, bardzo niebezpiecznych. No i ten sekretarz. Dałbym głowę, że szkolili go w Moskwie.

– Ja też – pokiwałem głową.

Następnie rozważyliśmy najlepszy sposób na pozbawienie przytomności ochrony Gardy, naszych nowych przyjaciół. Miałem pomysł, żeby dać im po prostu po głowie, co wywołało niegrzeczne spojrzenia ochroniarzy.

– Skąd ty go wytrzasnąłeś? – zapytał jeden z nich. -Z telewizji?

Ivo wzruszyła ramionami.

W końcu uzgodnili, że najlepszy będzie gaz usypiający. Nikt nie będzie mógł mieć pretensji. Musieli meldować się o równych godzinach, więc zrobiliśmy to jak trzeba, minutę po meldunku.

Gdy wychodziliśmy, zapytałem szeptem Ivo, dlaczego tak się zdziwili moją propozycją ogluszenia.

– Ten z wielkim nosem to mistrz świata w kaj-do, technice walki, która charakteryzuje się dużą urazowością.

Ci, którzy ją trenują, mają dość dużą odporność na ciosy. Drugi zarabiał do niedawna, rozbijając cegły głową. Takich ludzi niełatwo po prostu ogluszyć. To byłoby podejrzane. Poza tym w ogóle niełatwo jest kogoś ogluszyć. Trzeba trafić w szczękę albo w ucho. A to wymaga precyzji. To jest możliwe w

bokserkim pojedynku, ale nie tutaj. Poza tym teraz stosują daleko bardziej wyrafinowane metody. Nikt by się nie bawił w ogłuszanie.

– Rozumiem – zrobiło mi się głupio, bo w końcu powinienem to wiedzieć. Oczywiście mogłem powiedzieć, że specjalizuję się w sprawach gospodarczych, ale chyba nie była to w tym momencie najlepsza linia obrony.

Pięć minut później dochodziliśmy do posesji. Było nas pięcioro: ja, Magda, Ivo oraz dwóch braci bliźniaków – niezbyt roślących, ale za to niezwykle sprawnych mistrzów dżudżitsu, którzy dla rozrywki występowali czasem w cyrku i pracowali na pół etatu w biurze prokuratora jako osobnicy do okazań dla świadków (znacie to, mieszano ich z przestępcami, żeby utrudnić wskazanie winnych) . No i gdzieś w ciemnościach czaił się Profesor. Spod bramy do domu mieliśmy do przebycia jakieś pięćset metrów, w tym sto zupełnie niezadrzewionych, przez który to fragment terenu zmuszeni byliśmy się przeczołgać. Godzinę wcześniej padało, więc dotarliśmy do drzwi umorusani w błocie i przyciągaliśmy zgraję komarów.

Dzięki wskazówkom strażników z Gardy bez trudu dezaktywowaliśmy alarm i znaleźliśmy się w środku. Dom był dość nietypową w naszych warunkach imitacją amerykańskiej, kolonialnej rezydencji. O tej porze było tu cicho i spokojnie.

Właśnie na paluszkach przemierzaliśmy hol, gdy to poczułem. Dziwne, rosnące od środka przeczucie, że za chwilę coś się wydarzy.

Czarny kształt przeciął powietrze, przekoziółkował, wykonał kilka innych akrobacji, lądując na koniec w centrum naszej gromadki jednocześnie rozdając ciosy na prawo i lewo, które miały na celu pozbawienie naszej piątki świadomości na parę chwili. I pewnie by mu się to udało, gdyby w naszym towarzystwie nie znajdowali się obdarzeni równym potencjałem środków wyrazu cyrkowcy.

Bracia bliźniacy bez trudu sparowali przeznaczone dla nich samych, a także dla mnie, Ivo i Magdy ciosy, po czym wyprowadzili z animuszem kontratak.

Przeciwnik najwyraźniej był pod wrażeniem, gdyż już

pierwsze uderzenia bliźniaków doszły celu. Oszołomiona postać odleciała na dwa metry, zarzuciła z lekka zszokowaną łepetyną, po czym wydała z siebie złowrogi okrzyk przypominający nieco najlepsze kwestie Bruce Lee. Na to wezwanie spod ściany oderwał się bliźniaczy kształt, który wykonał kilkanaście salt, odwracając naszą uwagę od pierwszej postaci. Ta tymczasem ze zdwojoną energią zaatakowała jednego z bliźniaków. Drugi bliźniak sprężył się i dwoma saltami dopadł do czarnej postaci drugiego pajaca.

Magda wyciągnęła rewolwer, ale Ivo powstrzymała ją gestem. I tak nie było wiadomo, kto jest kim. Przez następną minutę cztery poruszające się jak pantery cienie dały nam niezwykle widowiskowy pokaz mieszanki dalekowschodnich sztuk walki.

Kiedy już wydawało mi się, że nadchodzi chwila, w której ktoś musi wygrać, a ktoś inny przegrać, mrok rozświetliło nagle zapalone światło.

Na antresoli ponad nami Ojczulek w szlafroku mierzył z winchestera. Obok niego stał Tom z giwerą przypominającą nieco karabin M16, z tym, że lufa była dwa razy grubsza. Za zapalenie światła odpowiadała Weronika, która w pidżamie miała strasznie wielki tyłek. Za nią krył się Franc z magnum w dłoni.

Cyrkowcy i dwaj ochroniarze Ojczulka zamarli. Ivo wymierzyła w Ojczulka, Magda w Toma, a ja zastanawiałem się, czy skierować broń na Franca czy na Weronikę.

– Rzućcie broń – zawołał Ojczulek, ale zupełnie bez przekonania.

Ivo chrząknęła, ale nie odezwała się. Zamierzałem rzec coś pojednawczego, jednak wyręczyła mnie Magda.

– To wy rzućcie broń.

Ojczulek uśmiechnął się. Tom wziął Magdę na muszkę.

– Mamy przewagę w postaci dwóch sztuk broni długiej, magnum też ma większą siłę rażenia niż te wasze pukawki, które, co tu dużo mówić, nie wyglądają imponująco.

– Wystarczająco, żeby zrobić sito z przynajmniej jednego z szanownych panów. Poza tym dwóch snajperów na zewnątrz tylko czeka na sygnał, żeby rozpocząć ostrzał.

– Moglibyśmy się tak licytować, ale może w zamian wszyscy opuścimy broń. Przyszliśmy tylko porozmawiać.

Podniosłem obie dłonie, a następnie opuściłem rewolwer.

– Wykluczone – zaproponował Tom. – Nie damy pozbawić się przewagi.

– No to się wystrzelajmy.

Ojczulek powoli opuścił winchestera. Tom spojrzał na niego zdziwiony i mocniej ścisnął karabin. Spojrzenie kandydata na prezydenta było jednak stanowcze i nie znoszące sprzeciwu. Nawet osobistego doradcy szkolonego w Moskwie czy gdzie tam bądź.

– Dobra, to chyba rozsądny pomysł. Opuścimy wszyscy broń i... porozmawiamy. O czym chcecie rozmawiać?

W kilku zwięzłych zdaniach wyjaśniłem, że pragniemy dowiedzieć się, czemu Tato chce przejąć interesy w branży drzewnej i zagraża naszej klientce, ubiegając się jednocześnie o urząd głowy państwa, czym zasługuje na nagrodę w zakresie szczytu bezczelności.

Ojczulek spojrzał na Toma ze zdziwieniem pomieszanym z rozbawieniem.

– Więc o to chodzi – powiedział jakby uspokojony. – W takim razie możemy pogadać.

Zasiedliśmy w salonie, a Tom rozpałił w kominku, po czym usunął się na bok, żeby w ciszy i spokoju ścisnąć granat ręczny, który jawił mu się jako coś w rodzaju gwarancji bezpieczeństwa.

Blizniacy gaworzyli wesoło z ochroniarzami R., którzy okazali się także niedoszłymi cyrkowcami. Franc z Weroniką zasiedli po prawicy szefa.

– Przyznaję, to ja staram się nagłośnić sprawę afery drzewnej – zaczął spokojnie, wręcz wylewnie doktor. – Nie mam jednak z nią nic wspólnego. Chcę jedynie upowszechnić wiedzę na ten temat, żeby pozbawić szans na powtórny wybór obecnego prezydenta.

– Przecież on nie kandyduje – wtrąciłem.

– Nawet nie może – dodała Magda. – A kto wie, czy nie zmieni konstytucji? A może zamiast siebie wystawi żonę. Ona może nawet miałaby większe szanse niż ktokolwiek inny.

– Żona nie chce kandydować. Publicznie powiedziała, że będzie hodować tulipany.

– A jak zmieni zdanie. Jeśli ktoś nakłoni ją do tego. Jest wiele sposobów. W trosce o dobro kraju, społeczeństwa, takie tam...

Przypomniało mi się, co powiedział Gnom.

– Poza tym można się dobrać do poparcia Pierwszego?

– Przyznaję, nasz sztab wziął to pod uwagę. Szklaneczkę whisky?

– Chętnie – przytaknąłem, zanim dziewczęta zamknęły mi jadaczkę.

Doktor wstał i nalał nam po szklaneczce. Na dodatek – z socjotechniczną przenikliwością – flaszkę zostawił pod ręką.

– Nasz sztab wymyślił sobie, że pana osoba będzie doskonałym pomostem dla wyjaśnienia całej afery drzewnej i jednocześnie wypromowania mojej osoby na przyszłego szefa państwa. Przykro mi, że cię wykorzystaliśmy, ale musisz zrozumieć synu, jeśli mogę tak do ciebie mówić, że polityka to

nie zabawa dla grzecznych dzieci. Ale powtarzam, z aferą nie mamy nic wspólnego.

– W takim razie, kto ma?

– Przecież wszystko prowadzi do prezydenta – wzruszył ramionami R. – To w końcu jego syn podpisał to rozporządzenie.

– Syn?

– To nie wiedzieliście. Buczek jest nieślubnym synem prezydenta. Podczas mistrzostw świata w piłce nożnej w Korei nasz Pierwszy zafundował sobie romansik z jedną z gwiazd muzyki pop, która odśpiewywała mu do poduszki hymn, żeby go nie zapomniał i nie klaskał przy aranżacjach przeciwników. Nie słyszeliście?

Pokręciliśmy przecząco głowami.

– Swego czasu rozpisywały się o tym brukowce. Z tego związku narodził się pan Buczek. Tak więc pan prezydent włożył na stanowisko swojego syna, który nagle doszedł do wniosku, że pensja urzędnicza mu nie wystarczy. W porozumieniu z kilkoma agentami służb specjalnych stworzył plan przejęcia kontroli nad sektorem drzewnym i wydał pakiet rozporządzeń, który pozwoli mu w przyszłości dobrze na tym zarobić.

– Skąd pan się o tym dowiedział?

– Nie będę ukrywał, od służb.

– Przecież oni, jak pan mówi, współpracują z Buczkiem.

– W służbach dba się o różne interesy. Pewnej frakcji nie spodobała się ta współpraca. Cóż, dzięki pozbawieniu władzy kilku ludzi, inni dojdą do stołków.

– Nie boi się pan flirtować ze służbami. Jeśli dojdzie pan do władzy, z pewnością wystawią rachunek.

– Nie przesadzajmy z tymi służbami. Tam jest wiele porządnych osób. Poza tym, jak wygram wybory i tak będziemy współpracować.

No tak, kolejny prezydent, którym będą manipulować służby – pomyślałem.

– Jest jeden słaby punkt w pana opowieści. Mistrzostwa świata były przecież trzy lata temu?

– I co z tego?

– Jeśli Buczek miałby być owocem związku pana prezydenta

z gwiazdą pop, powinien właśnie przestać szczać w pieluchy. Zupełnie niemożliwe jest, żeby w ciągu trzech lat osiągnął wiek trzydziestu, a już na pewno, żeby skończył wszystkie potrzebne szkoły i stał się urzędnikiem państwowym.

Ojczulek wzruszył ramionami.

– Proszę pamiętać, że prezydent jest czerwony.

– Nie rozumiem.

– Oni mają pakt z diabłem. A diabeł ma swoje sposoby na rozwiązywanie problemów wieku, nie mówiąc już o jakiś tam papierkach ukończenia szkół.

– Buczek nie żyje – wtrąciłem.

– Więc dla państwa klientki nie ma problemu. Chyba wszyscy możemy zapomnieć o tej sprawie. Mogę tylko podziękować za pomoc.

– I to wszystko? – spojrzałem na Weronikę, która uciekła wzrokiem w bok.

– Proszę nie mieć do niej pretensji. Zawsze wypowiadała się o panu z atencją. Może tylko za dużo pan pije.

– A więc nasze pozornie przypadkowe spotkanie było ukartowane?

Cała ta wielka miłość okazała się wielkim oszustwem, kłamstwem, rozczarowaniem? Jak to możliwe? Czyż moje serce nie roztaczało rozmiękczonego niewieście serce aromatu?

Nikt nie odpowiedział. Weronika potem podeszła do Franca i zwiesiła się na jego ramieniu. Tom rozmarzonym wzrokiem powiódł po obu postaciach, zagadkowo zawieszając wzrok na skrywającym pewnie jakieś skarby kroczu Franca.

– Teraz może pan o wszystkim zapomnieć. Weźmiemy się za uporządkowanie sektora drzewnego. Pana klientka będzie mogła spokojnie działać na rynku. Nic jej już nie grozi. Mam nadzieję, że będziecie na mnie głosować. Dla Polski. To znaczy dla jej dobra.



Wracaliśmy bez humoru. Jakby ten ostatni akt tragedii wszystkich zmroził. Bliźniacy nikogo nie zabili, więc byli nieszczęśliwi. Iwo miała niesmak z powodu wyrachowanej gry rządzącej nawet zupełnie prozaicznymi kwestiami. Magda zaczęła zastanawiać się nad własną misją, a ja z oczywistych powodów rozczulałem się nad moim umęczonym sercem. Nie czułem się już sagishi, lecz daleko mi było też do asurito.

– Więc to koniec? – zapytała w końcu Iwo.

– Koniec – przytaknałem. – Możesz powiedzieć Piekus, że już jest bezpieczna, a ze swoim tyłkiem może nawet zabiegać o specjalne względy u przyszłej głowy państwa.

– Szowinista – mruknęła Magda.

– Jest zraniony – Iwo pogłaskała mnie po głowie. – Dostał kopa prosto w jaja, a potem kolejnego niby w geście przeprosin, by następnie rozgnieść swoje klejnoty na rozżarzonej patelni jak na jakiejś cholernej komedii slapstickowej. Kogo obchodzi, czy przez przypadek, czy całkowicie świadomie, choćby z takiej ludzkiej głupoty.

– Należało mu się – zauważyła Magda. Odniosłem dziwne wrażenie, jakby moje dwie partnerki zupełnie nieoczekiwanie trafiły do tej samej łoży szyderców i na dodatek znalazły w niej wspólny język.

– Pewnie, ale czy to znaczy, że nie możemy mu trochę współczuć?

Roześmiały się.

Zerknąłem na bliźniaków, ale ci mieli wszystko jakieś półtora kilometra dalej w swoich jelitach, czyli bardzo głęboko w dupie.

Kiedy tylko – uporządkowawszy sprawy – rozjechaliśmy się do własnych domów, pomyślałem, że to strasznie smutne, że nie mogę zakończyć tej historii jakimś porządnym, dramatycznym finałem. Takim ze strzelaniną, setką trupów, pościgiem samochodowym, zburzoną wieżą ciśnień, wylaną na ulicach toną czerwonej farby pierwszej jakości etc., etc., etc.

I wtedy właśnie – jakby na zawołanie – rozległo się pukanie do drzwi.

Stał za nimi Buczek, co powinno mnie zaskoczyć, ale – nie wiedzieć czemu – wcale mnie nie zaskoczyło.

– Przecież pan nie żyje – rzuciłem, starając się sprawić wrażenie zupełnie oniemiałego, co wyszło mi średnio, a właściwie bezbarwnie.

Buczek odpowiedział kombinacją prawego prostego, lewego podbródkowego i zupełnie nietaktownego kopnięcia w krocze. Następnie, wyraźnie usatysfakcjonowany, zasiadł nad moim powyginanym w bólach ciałem.

– Nie żyję?

Poczekał, aż nieco ochłoneę po kopnięciu w krocze, po czym z nieskrywaną satysfakcją dokonał prezentacji swoich niecodziennych, jak sądzę, umiejętności. Uniósł nieznacznie jedną dłoń, gmerając przy nadgarstku, a po chwili jego pierś rozerwała się w dwóch stłumionych wybuchach.

Poczułem zapach siarki, a huk dzwonił mi w uszach. Buczek z wyraźnym rozbawieniem zatańczył, symulując ugodzenie dwoma pociskami i padł na posadzkę, a jego koszula niezwykle szybko zabarwiła się czerwoną farbą. Leżał tak przez chwilę, a potem ożył, podniósł się, zdjął koszulę i wytarł ciało z krwi. – I jak?

– Nieźle – przyznałem.

– Zawsze działa. Umierałem tak już z tuzin razy. Wszyscy świadkowie do dziś mają mnie za trupa. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to wygodne.

– Bez wątpienia – odparłem niechętnie, czując jak wraca mi uczucie w szczęce i kroczu, co wcale nie było przyjemne. – Całkiem dużo jak na trzy lata życia.

– Trzy lata? – zapytał z lekkim zdziwieniem, które można było odbierać równie dobrze jako zaskoczenie, jak i rozbawienie. – A więc tobie też opowiedzieli tę bajeczkę.

– Bajeczkę?

– Że niby jestem synem Pierwszego spledzonym podczas mistrzostw świata w Korei?

– No tak.

– Bzdura. Choć nie całkiem. Niby jak w ciągu trzech lat miałbym stać się tym, kim jestem?

– Wspominali coś o czarach...

– Aha – Buczek pokiwał głową coraz bardziej rozbawiony. – Prawda jest taka, że zdarzenia w Korei nie mają z tym nic wspólnego. Rzeczywiście jestem synem Pierwszego, ale spledzono mnie trzydzieści pięć lat temu w Łebie. Moja matka miała słabość do przygodnych znajomości.

– A więc pańska matka nie jest gwiazdą pop?

– Jest. Ale jak się stała moją matką, to nią nie była. Była cyganką. Nastoletnią. Pierwszy, wówczas młody i prężny działacz młodzieżówki socjalistycznej, wdał się z nią w przygodę w przydrożnej tancbudzie, po czym – niczym wdzięczny czytelnik powieści Nabokova – natychmiast o owej przyjemności zapomniał. Przez lata wychowywałem się ze świadomością, że mój ojciec był wysokim rangą oficerem wywiadu, który zginął w akcji. Aż tu któregoś dnia włączamy telewizor i co widzimy? Tato jako szef partii i przyszedł prezydent. Mama z oporami do niego zadzwoniła, a on zrobił z niej gwiazdkę pop, a ze mnie doradcę w ministerstwie gospodarki. Myślał, że się wyłga takim ochłapem. Wiesz, jakie psie pensje mają urzędnicy ministerialni?

– Domyślam się.

– Pierdolenie – rzucił z niesmakiem. Skinąłem tylko głową, oblizując krew z wargi.

– Tak więc postanowiłeś – skorzystałem z okazji do przejścia na per ty – pod bokiem prezydenta trochę dorobić, zakładając

mafię drzewną?

– Dorobić? – roześmiał się. – Skąd. Dorobiłem się już na innych paliwach. Przecież byłeś u mnie, widziałeś jak mieszkam. Myślisz, że dałoby się to wszystko kupić z drewna. Nie, kochany. Umiejętnie wykorzystałem stanowisko. A teraz. Teraz chcę go zniszczyć.

– Kogo?

– Jak to kogo – zawył ze złością. – Przecież wiadomo, że prezydenta. Tatusia.

– A jak zamierzasz to zrobić i dlaczego mnie się z tego zwierzasz?

Buczek podrapał się po głowie.

– Bo ty jesteś centralną postacią całej tej sprawy. Badasz aferę, o czym już wszyscy wiedzą. Na dodatek jesteś przyszlým, choć może niedoszłym, zięciem jednego z kandydatów, co ten skrzętnie wykorzystuje dla własnej kampanii. Niestety, mimo że nic do ciebie nie mam, będę zmuszony cię zabić.

– Ale po co? – starałem się sprawiać wrażenie szczerze zainteresowanego jego wyjaśnieniami, choć – prawdę mówiąc – w ogóle ich nie słuchałem, za to grałem na zwłokę, intensywnie zastanawiając się, co mogę zrobić, żeby pokrzyżować plany Buczka. Owo pokrzyżowanie było tym bardziej niezbędne, że już nie chodziło o jakąś tam aferę, ale o życie, i to – co gorsza – moje własne. Pomyślałem o Profesorze, którego przed godziną zwolniłem z pracy, upoważniając do odbioru miliona dolarów, znaczy się sześciuset tysięcy pozostałych po odtruceniu podatku, z policyjnej kasy. W zamian za te pieniądze obiecał porozmawiać z Małym (na bardziej stanowcze działania wyłączenia tego osobnika z całej historii miałem – jak już wspomniałem – za mało kasy), żeby tak zechciał dla własnej satysfakcji jeszcze trochę mnie popilnować.

– Jest to konieczne – tymczasem kontynuował Buczek – żeby cała sprawa ujrzała światło dzienne. Żeby zniszczyć prezydenta, potrzebny nam jest spektakularny mord, tu i teraz. Jak odejdzie z urzędu, nikt już go nie będzie chciał ruszyć. Tylko twoja śmierć może to zmienić.

– Anie martwi cię to, że dzięki takiemu obrotowi sprawy, doktor R. zdobędzie prezydenturę?

– A co mnie to obchodzi? – Buczek wzruszył ramionami. – Jeden wart drugiego. Cóż za brak patriotyzmu.

– Jak zginę? – zapytałem, jednocześnie modląc się, żeby sterany sufit mojego mieszkania nagle zwalił nam się na głowy.

Można by też zaryzykować szybki unik i skok przez okno. Może i szanse przeżycia takiego upadku były marne, ale zawsze jakieś. No tak, tyle tylko, że to rozwiązanie dla odważnych, a ja, cóż, byłem zwolennikiem rozsądku, nie odwagi.

– Trudna sprawa. Zwykle morderstwo pewnie by wystarczyło, ale morderstwo ze szczególnym okrucieństwem z pewnością przyczyni się do upowszechnienia naszej sprawy w mediach i na arenie politycznej. Dla powszechnego zainteresowania nie ma niczego lepszego niż rytualny mord z domieszką szatańskiej wirtuozerii popełniony na odpowiedniej osobie.

– Więc jak?

Buczek wstał i przeszedł do drzwi, przy których zostawił wielką walizkę, która jak się miałem przekonać, zawierała całkiem pokaźny rzeźnicki arsenał. Noże, tasaki, powyginane widelce, takie tam pierdoły. Buczek jednak uznał, że te powszechnie stosowane narzędzia zbrodni wcale nie muszą wywrzeć na mnie paraliżującego efektu. Dużo ciekawsze wydały mu się przyrządy, umieszczone w drugiej części walizki, które były zdecydowanie bardziej wymyślne i technologicznie zaawansowane niż proste tasaki. Buczek wyciągnął z nich przyrząd, który wyglądał jak połączone ze sobą pompki do roweru, z tym, że prawie wszystkie elementy były wykonane z przezroczystych materiałów.

– Pewnie wystarczyłoby obciąć ci łeb tasakiem – zaczął Buczek prezentację. – Ale jak usłyszysz, co potrafi to narzędzie, to dam głowę, że zawyjesz z rozkoszy.

– Co to takiego? – zapytałem niepewnie, całkiem zapominając o tym, że miałem jednocześnie poszukiwać dróg ucieczki.

– Odsączacz tłuszczu. Służył niegdyś do pobierania próbek diagnostycznych w rzeźniach, stosowany u padłych, nieżywych

zwierząt, ze względów humanitarnych zakazany od 1980 roku.

– Chcesz odsączyć ze mnie tłuszcz?

– Nie – Buczek wyciągnął z walizki woreczek z jakąś półciekłą substancją. – To urządzenie szczęśliwie działa w dwie strony. Chcę cię nasączyć tłuszczem.

Oto jak jedno zdanie może uczynić z tchórza bohatera. Wykonałem unik w prawo i rzuciłem się w kierunku okna. Moim zamiarem był skok szczupakiem, przebicie szyby głową i kilkusekundowy lot koszący w kierunku trawnika. Jeśli miałbym fart, może nie trafiłbym na kamień czy kawałek betonu i uderzył w miękką glebę. Skończyłoby się złamaniami, pękniętą śledziona, obtłuczeniami, a w najgorszym (a może najlepszym) razie śmiercią na miejscu. Lepsze to, niż zginąć z powodu nasączenia tłuszczem.

Buczek nie zareagował. Kątem oka dostrzegłem na jego ustach zabłąkany grymas. Czyżby się uśmiechał? Za chwilę zrozumiałem, dlaczego.

Dla pewności sukcesu odbiłem się jakieś dwa metry od okna. Z ułożeniem ciała do szczupaka nie miałem większych problemów, bo grałem w siatkówkę. Ważyłem wystarczająco, żeby rozbić szybę impetem takiego uderzenia. Zwykłą szybę.

Moje wyciągnięte jak struna szczupacze ciało z hukiem odbiło się od powierzchni, która w dotyku przypominała hartowaną stal. Spadłem z jękiem, trzymając się za ramię, które w wyniku impetu uderzenia chrupnęło, pękając w nadgarstku.

– Zapomniałeś, że kazałeś Ivo wstawić pancerne szyby? – zachichotał Buczek, kręcąc z niedowierzaniem głową nad moją bezmierną głupotą. – Takie szyby od zewnątrz stanowią znakomitą osłonę, od środka zaś jeszcze lepszą pułapkę. Cóż, do roboty.

Na moich oczach rozciął worek i przystąpił do ładowania diabelskiego urządzenia. Przezroczyście naczynia szybko zaczęły wypełniać się oleistą mazią o wyjątkowo nieprzyjemnym zapachu.

– To tłuszcz wołowy, rozcieńczony jakimś chemicznym gównem. Sprawdzony pod kątem BSE, więc nie masz co się martwić. Ruscy stosowali to w Afganistanie. Podobno

kurewsko szczypie, wywołuje czterdziestostopniową gorączkę, ale chemiczne odczynniki nie pozwalają pacjentowi na odplynięcie w zamroczenie. Będzie bolało.

Po sekundzie był przy mnie i przystawiał końcówkę zakończoną wielką igłą do mojej skóry.

– Jak skończymy, będziesz wyglądał niczym grzesznik notorycznie łamiący przykazanie o wstrzemięźliwości w jedzeniu i piciu, ze szczególnym naciskiem na jedzenie – zapewnił Buczek.

Pomyślałem, że to straszna niesprawiedliwość i podłość, ale cóż miałem zrobić, jeśli główny strateg właśnie tak to sobie zaplanował.

– Powiem ci jeszcze coś – mruknął Buczek. – Coś, co mnie najbardziej bawi.

– Co takiego?

– Jak już będziesz się meldował, tam na górze, twoje ciało będzie składać się jedynie w jakiś 30 procentach z tkanek ludzkich, a w 70 ze zwierzęcych. Jeśli przeniesie się to na duszę, to możesz trafić do przejścia dla zwierzaków. Wiesz, tak jak u nas, tu obywatele UE, przechodzą sobie jak chcą, a tam pozostali, w kilometrowych kolejkach. Tak już jest. Niektórzy mówią, że niesprawiedliwie.

Czułem już nacisk igły, gdy raptem – jak to zwykle bywa w pełnych napięcia momentach finałowych – rozległ się dźwięk dzwonka. Początkowo tylko odrobinę pocieszający, ale słyszalny, a nawet mocno upierdliwy.

– A to kto? – Buczek spojrzał na mnie, oczekując wyjaśnień.

– Skąd mam wiedzieć? – odparłem pytaniem. Przycisnął palec do ust, wyciągnął zza pazuchy rewolwer, zawahał się, po czym nachylił jeszcze raz nade mną, przyciskając kciukiem jakiś nerw przy uchu. Zawyłem z bólu, czując, jak tracę czucie w szczęce.

– Dzing dzu. To nie pozwoli ci mówić i krzyczeć przez najbliższy kwadrans.

Zniknął w przedpokoju, a ja – leżąc bezwładnie w wyniku paraliżu dzing dzu na dywanie – mogłem tylko domyślać się, co dzieje się przy drzwiach wejściowych.

Buczek prawdopodobnie wyjrzał przez wizjer i zobaczył tam niepozornego małego człowieka o łysej głowie, który wyglądał na tyle niegroźnie, że mój oprawca bez namysłu zdecydował się otworzyć drzwi. Szamotanina i dźwięki, które potem nastąpiły, świadczyły o tym, że był to błąd prezydenckiego syna.

Mały – jak się niedługo później domyśliłem – bez żadnych wyjaśnień poczęstował Buczka serią nieczystych uderzeń, a pomogły mu w tym dwa tępe i wielkie osiłki, które zapewne wychynęły z cienia za drzwiami. Buczek, choć z pewnością był biegły w sztukach walki, przeciwko tak huraganowemu i niespodziewanemu atakowi nie był w stanie nic wskórać.

Następnie usłyszałem znajomy głos Małego.

– Połóżcie go w kuchni i przygotujcie palniki.

– Ta jest szefie – odezwał się jeden z osiłków. Głos był jakby znajomy.

– Szefie... – powiedział drugi głos, też jakby znajomy.

– Co znowu?

– Ten koleś. -No co?

– Wygląda jakby nie on.

Nastąpiła chwila ciszy, w której pewno wszyscy trzej oglądali sobie Buczka.

– Może zrobił operację plastyczną? Amoże za bardzo mu przyłożyliśmy?

– Ale tamten był biały. Aten to prawie Murzyn. Czarnuch. Asfalt. Taki europejski.

– Cygan.

– Właśnie. Tamten to prawie Aryjczyk. Błady jak ściana u mojej babki. Okay, zły przykład. Jak u twojej.

– Och. – No, och.

– Pilnujcie go – zakończył Mały. Domyśliłem się już, że towarzyszyli mu Goły i Myszkini, którzy po porażce Mrówki musieli zapewne poszukać u Małego pracy i w jakiś sposób zdołali zmienić zdanie gangstera co do własnej użyteczności. Teraz czekali w kuchni, trzymając na muszce Buczka, podczas gdy Mały stanął twarzą w twarz z moją wymęczoną, skromną osobą.



Gęba Małego rozwarła się w takim uśmiechu, bił z niej taki rozkoszny optymizm, że i mnie zrobiło się miło na duszy.

– Tu żeś robaczku. Hej...

Nie zdążył wykrzyknąć nic więcej, gdy powietrze przecięły dwa donośne odgłosy wystrzałów. Nie trzeba było być detektywem, żeby domyślić się, że Buczek wykonał swój efektowny numer specjalny. Mały, Myszkini i Goły o nim jednak nie wiedzieli.

– Co jest, kurwa? Kazałem wam go pilnować, a nie likwidować – zawołał Mały.

– Ale szefie.

– Co za: ale szefie? Czy tak trudno wykonywać moje polecenia?

– Ale to nie my.

– Jak to nie wy?

– To on sam.

– Sam? Sam się zastrzelił.

– No nie. Ale wybuchł. Sam wybuchł.

– Sam wybuchł? Jełopy – warknął Mały, ale najwyraźniej fakt znajdowania się w pobliżu mojej osoby działał na jego nerwy kojąco. – Zostawcie ten wywłok. Mam dla was niespodziankę.

Po chwili trzy złowrogie postacie przekroczyły próg pokoju, w którym oddawałem się całkowitej i beznamiętnej rezygnacji.

To chyba jest tak, że człowiek nie lubi myśleć o własnej śmierci. Jak tylko zastanawia się, jak przyjdzie mu umrzeć, to zaraz znajduje lepszy temat. Ato wymyśla sobie audiencję u papieża, a to jest na zakupach w sklepie, a to poszedł do kina, a to dmucha Hally Bery.

Ja myślałem o rybkach akwariowych i dwudziesto-pięcioletniej nalewce, którą dostałem od przyjaciela prawnika na trzydzieste urodziny, i która miała poczekać do dnia na kilka dni przed śmiercią. Myślałem, że wytrzyma jeszcze ze trzydzieści lat, a tu taki niefort. Na dodatek może nawet nie uda mi się jej spróbować.

– O kurwa – zawołał Myszkin na mój widok. – To ten chuj.

– Ten sam – z satysfakcją jęknął Mały. Goły chyba zamierzał zdzielić mnie w nos zamiast komentarza, ale Mały powstrzymał go gestem dłoni. Zasiadł na krzeselku tuż nad moją głową i z uwielbieniem wpatrywał się mi w gębę. Kiedy się odezwał, jego struny głosowe drżały z satysfakcji, jakby był wygłodzonym lwem, któremu rzucono do klatki świeżo obdarte ze skóry jagnię.

– A niech mnie. Czyżbym znów uratował ci życie? – zaryczał i wskazał na narzędzia rzeźnicze, a potem na kuchnię. – Ten tam zamierzał cię wypatroszyć? To znowu masz u mnie dług. Jak ty się wypłacisz?

– Może na dobry początek połamiemy mu nogi – zaproponował Goły, wykazując świadomie inicjatywę.

Mały pewnie najchętniej by nie odpowiedział.

– Daj się napatrzeć. Nie umiesz przez pięć minut siedzieć cicho?

– Kiedy.

– Pomyśl, że jesteś w kościele i właśnie wnoszą żywego Jezusa Chrystusa. Pięć minut ciszy.

– Dobra, dobra.

Kiedy zakończyli kontemplować, akurat wracało mi czucie w

szczęce. Pewnie w sam raz, żeby rzucić im ostrzeżenie, że ten numer z samozastrzeleniem Buczka to blef. Ale wcale nie zamierzałem ich ostrzegać. Tym bardziej że Buczek wchodził właśnie do pokoju, trzymając wysoko uniesiony nad głową składany miecz samurajski, który wystraszał nie wiadomo skąd.

Myszkin powiódł za moim wzrokiem i pierwszy go zobaczył. Zdążył sięgnąć po broń, ale nic więcej. Jego głowa potoczyła się pod moje nogi, a z szyi wytrysnął gejzer czerwieni, co przywodziło na myśl filmy Kurosawy, które zawsze wydawały mi się straszliwie przerysowane i nieprawdziwe, ale mimo to piękne i ujmujące (taki ze mnie krwisty romantyk) .

Ciało Myszkina wciąż jeszcze stało, gdy Buczek podzielił przez dwa Gołego. Oczy biedaka nagle dostały zeza, jedno spojrzęło w lewo, a drugie w prawo, po czym dwie niemal idealne połówki runęły na boki, jak przekrój manekina z akademii medycznej.

Mały tymczasem, jak przystało na gangstera z górnej półki, nie uległ paraliżowi i stał już z wymierzonym w Buczka srebrnym s&w. Strzelił dwukrotnie, ale Buczek z niezwykłą sprawnością uniknął kul, uciekając w bok. Przyklęknął jednocześnie, sięgnął za pazuchę, wyciągając sztylet o cienkim ostrzu i cisnął nim wprost w serce Małego.

Twarz gangstera przybrała zimny, bezbarwny odcień zrozumienia. Dostrzegłem w niej coś na kształt ulgi, jakby chciał powiedzieć:

– Nareszcie komuś się udało.

Sekundę później po raz ostatni, wielkim wysiłkiem woli, przeznaczenia i zapewne nieświadomej litości nade mną, nacisnął spust.

Kula wbiła się dokładnie między oczy Buczka, raz na zawsze pozbawiając go złudzeń co do ważkości takich kwestii jak: zemsta, honor czy urażona męska duma. Ciężar spadł mu z serca i po chwili pociągnął za sobą na ziemię ciało mojego oprawcy.

Było po wszystkim. Koniec.

Nader szczęśliwy.

## Epilog

Czy to, co było dalej, ma jeszcze znaczenie? Jak tylko ochłonąłem, postanowiłem wypić duszkiem rzeczoną już flaszkę wiekowej nalewki, a następnie zadzwoniłem do Chudego, który niechętnie, po namowach i obietnicach popartych wekslem in blanco, zgodził się zrelacjonować w swojej poczytnej gazecie zaistniałe fakty, a że nie wymagały one żadnych ubarwień, to jeszcze zdobył jakąś nagrodę przyznawaną prasie niezależnej.

Dzięki temu (a może to było bez znaczenia) doktor R. nie został – pewnie jak wiadomo – prezydentem, a wskutek groźby skandalu dużej wagi, historycy w ogóle wykreślili go z annałów.

Weronika, jak udało mi się dowiedzieć, zrezygnowała z pracy w pogotowiu i wyszła za mąż za dobrze uposażonego we wszystkich ważnych kwestiach szejka arabskiego, po czym została – zapewne zupełnie przypadkiem i niesłusznie (choć Bóg mi świadkiem, należało jej się) – wplątana w aferę zamachu stanu w jednym z Emiratów.

Były prezydent nawet nie zapłakał z powodu utraty nieślubnego syna Buczka, poniósł porażkę w staraniach o fotel sekretarza generalnego ONZ i zamieszkał z żoną na wsi. W okolicy natychmiast wzrósł odsetek przestępstw na tle seksualnym.

Generał Stolarczyk po wyborach został zwolniony z pracy i przeszedł na stronę biznesu. Dziwnym trafem biznesmen Kawalek zatrudnił go na stanowisku wyspecjalizowanego czyściciela akwarium z rekinami z pensją 50 tys. miesięcznie. Odwiedził mnie któregoś dnia w szpitalu, gdzie miałem poddać się operacji przeczyszczenia wątroby. Przyszedł ucharakteryzowany na siostrę oddziałową i przyniósł ze sobą butelkę podłej wódki, kurczaka z rożna z azjatyckiego baru znanego z powtarzających się przypadków ptasiej grypy oraz kolejne zdjęcia mister Bolsa. Zanim mi je pokazał, uprzedził, że to wciąż tajemnica wagi bezpieczeństwa narodowego.

– Muszę jednak panu powiedzieć, że wszyscy myliliśmy się co do tej osoby, czego świadectwem są te oto fotografie.

Jakby od niechcenia rzucił na mój stolik parę nie najlepszej jakości fotek oznaczonych logo ściśle tajne.

– To zdjęcia amatorskie, sam nie wiem, kto i jak je wykonał, ale ich autentyczność nie budzi wątpliwości.

Na zdjęciu pan Bols, czy jak się tam zwał, stał na tle jasnego rozbłysku majającego w oddali. Na tyle fotografii widniał podpis: Nagasaki, 1945.

– Jakim cudem? – zapytałem, choć nie powinienem się dziwić i wcale się nie dziwiłem.

Stolarczyk wzruszył ramionami.

– Ważne, że nas to już nie dotyczy. To zdjęcie oczyszcza nas z zarzutu o wyszkolenie tego agenta.

Mój ojciec po raz kolejny złapał piętnastolatka, który próbował ukraść mu kłódkę, i go zastrzelił, po czym sam popełnił samobójstwo. W trosce o własną głowę nie mogłem pojawić się na jego pogrzebie, co uświadomiło mi poziom własnej podłości i tchórzostwa. Ojciec miał rację: jestem draniem. Jakaś dziennikarka zadzwoniła do mnie tego samego dnia i zapytała, jak skomentuję czyn ojca.

– To pomyłka – powiedziałem. – Mój ojciec zmarł tragicznie dziesięć lat temu, razem z matką.

– Ale.

– Mój ojciec nie żyje. Musicie poszukać innego Stawińskiego.

Danuta Piekus zrezygnowała z prowadzenia firmy w branży drzewnej i zajęła się handlem olejem opałowym, mimo że wszyscy tłumaczyli jej, że znacznie bardziej pasuje do koronek i fistaszków.

– Nie jestem dziwką, a drobny biznes mnie nie interesuje – odpowiadała i trzeba przyznać, że nie bez racji, bo – jak donoszą media – osiągnęła znaczny sukces dzięki umowom wzajemnym ze stroną rosyjską.

Ivo podobno bzyka się z Merkle, na domiar złego utrzymując, że robi to tylko dla mnie (chroniąc mój tyłek przed zemstą mundurowych), a Magda potajemnie spotyka się z Profesorem, choć Bóg mi świadkiem, że robiłem wszystko, żeby

ta zażyłość nie przekroczyła ram wyznaczonych zawodową etykietą.

Profesor powoli przechodzi na emeryturę, a wskutek doświadczeń z moją skromną osobą zainwestował w dwie agencje ochrony na prowincji blisko granicy z Ukrainą.

A ja? Zajmuję się kontemplowaniem piękna przyrody, oglądam stare filmy i słucham płyt winylowych. Czasem pójde na dyskotekę, żeby poderwać jakąś nastolatkę, ale zwykle kończy się to bezowocnie, nie licząc udanych lub nie prób obicia mnie po pysku. Poza tym wszystko w normie.

Wyjeżdżam wkrótce na trzy miesiące na Karaiby. Dostałem cynk z wiarygodnych źródeł, że mister Bols zamierza w najbliższych dniach odwiedzić Warszawę. Lepiej być wówczas gdzieś daleko, co oczywiście wcale nie daje gwarancji bezpieczeństwa.

Aha, interesy – same sobie – idą doskonale.

Neurotyczny detektyw, zbrodnia, seks i tajemnica...

Mariusz Zielke

# Asurite Gishki

Groteskowy thriller z potężną dawką czarnego humoru



**VIRTUALO**  
Księgarnia Internetowa

**empik**